# CZAS

## Dodatek miesięczny.

ROK CZWARTY.

Tom XVI — Zeszyt 46.

Październik.



KRAKÓW.

CZCIONKAMI I NAKŁADEM DRUKARNI „CZASU".

1859.

287

Listopad — 1859.

# SPRAWOZDANIE

## ZE STANU POLITYCZNEGO I WOJSKOWEGO POLSKI

**przez JMć Pana Sebastyana Cefali**

*Sekretarza Jerzego Lubomirskiego Marszałka W. Kor.*

---

**(Przekład z dotąd niewydanego rękopismu w języku włoskim istniejącego we florenckiéj książnicy *la Magliabechiana Class.* XXIV, *n.* 53. *).**

---

Królestwo Polskie jest czysto obieralnem, a jeśli nawet król umierając zostawia synów lub braci, ci nie odziedziczają po nim innego dostojeństwa, krom uszanowania powinnego krwi królewskiéj; co się zaś tyczy władzy, ta przechodzi całkowicie w ręce arcybiskupa gnieźnień- N. I N. II.

*) W niniejszym wiernym naszym bez komentarzy przekładzie, zachowaliśmy numera i tytuły na marginesach istniejące w rękopiśmie włoskim. (*Przyp. tłómacza*).

skiego, który ma przywiléj być legatem urodzonym, prymasem, pierwszym książęciem i wicekrólem dożywotnym państwa.

N. III. Ten podczas bezkrólewia listami okólnemi oznajmuje zgon królewski wszystkim ziemiom i powiatom, i nakazuje zjazd stanów do Warszawy, dokąd każda prowincya wyprawia swych

N. IV. posłów stósownie do sejmowego obyczaju; to zaś ogólne zgromadzenie przybiera nazwę sejmu konwokacyjnego, a na nim się stanowi o obronie królestwa, rozsyłają się ordynanse do wojsk i odpowiednio do przepisów prawa oznacza się czas na elekcyę, który bywa zwykle, trzech miesięcy licząc od końca sejmu, ażeby posłowie z najdalszych województw mogli wygodnie nań zjechać.

Niebawem po zgonie króla i po obwieszczeniu onego stanom koronnym przez prymasa, ustają sądy tak grodzkie jak ziemskie w całem królestwie. Każde województwo ustanawia nowy try-

N. V. bunał straszny i nieodwołalny zwany *kapturum* *),

*Kaptur.* (od słowa, co oznacza zasłonę spuszczającą się na oblicze), dla wyrażenia surowości tego urzędu, który sądzi nieodrocznie i wedle formy z góry przepisanéj, zakładając swą stolicę w głównem województwa mieście. Składa się zaś ze szlachty, a w wyborze jego członków ma się zazwyczaj wzgląd na znakomitość, cnotę i uczciwość osób, któreby w piastowaniu nieograniczonéj władzy tak w cywilnem jako i w kryminalnem forum umiały i chciały się stósować do praw krajowych, nie zaś postępować według własnego uwidzenia i uporu. Sprawy przeto wy-

---

*) Po polsku w tekscie.

toczone poprzednio przed inne sądy zostają w zawieszeniu aż do elekcyi nowego króla.

Na elekcyą zaś każde województwo i każdy powiat śle posłów swoich, obranych pierwéj na zgromadzeniu wszystkiéj szlachty posiadającéj dobra ziemskie, (albowiem ta tylko na sejmikach, sejmach i obradach publicznych miewa wotum), podług form zachowywanych powszechnie na sejmach walnych. Ci zaś posłowie nie N. VI. są obdarzeni inną władzą ze strony swych prowincyj i ziem krom mocy pisania się na elekcyi, gdyż wszelakiemu szlachcicowi posiadającemu dobra ziemskie zostawia się całkowitą swobodę do brania w niéj udziału i do głosowania na niéj.

Miasta polskie albo są własnością Rzpltej i zależą bezpośrednio od króla, albo też zostają w posiadaniu prywatnych; takowe zaś nie mają innych przywilejów nad te, jakie otrzymały z łaski swych panów z pewnością używania onych dopóty, dopóki trwa dobra wola pańska. W liczbie zaś tamtych, co się wszystkie nazywają N. VII. królewskiemi, pewne główne zaszczycone są prerogatywą wyprawiania posłów tak na elekcyą jako i na sejmy, a temi są: Kraków, stółeczne miasto całego królestwa, Toruń i Gdańsk; inni zaś nie biorą żadnego udziału ani mają głosu na pospolitych zgromadzeniach.

W czasie elekcyi książę prymas z senatem, toż najznakomitsza część stanu rycerskiego udają się na miejsce przeznaczone ku temu obrzędowi, a jestto rozległa płaszczyzna o pół mili od Warszawy, gdzie stawiają szopę i obyczajem wojennym rozkładają się obozem. Po zwykłem nabożeństwie książę prymas przedstawia pospo-

litą potrzebę i upomina szlachtę, aby takowéj nie traciła z oczu a wyrzekła się prywaty; poczem przyjmują się poselstwa od zagranicznych książąt, kandydatów lub zaleconych, ale posłom samym niewolno opuszczać miasta.

Obrady odbywają się pod gołem niebem, i bar-
dziéj wyglądają na tumułt niż na regularne ze-
branie, a jednak właśnie to, co się w nich zgieł-
N. VIII. kiem widzi jest treścią najsubtelniejszéj i naj-
wygórowańszéj polityki możnowładców, obraca-
jących całą tą wielką machiną; albowiem dawszy
się nasamprzód wyszumieć niższéj szlachcie, na-
bawić podawaniem jednych a wykluczaniem dru-
N. IX. gich, napopisywać dowoli z właściwą sobie za-
rozumiałością, iż jeden może obrócić w niwecz
wszystko, cokolwiek ogół pochwalił, i że każdy
jest równien głosem i zacnością najpierwszemu
książęciu, a potem udobruchawszy te pierwsze
zapędy dzikości gęstemi uczty i rozmyślną hoj-
nością, wśród biesiadowania i licznie spełnia-
nych kielichów, wtaczają się rozmowy o polity-
cznych przygodach, miękczą się powoli naj-
twardsze i najzapamiętalsze mózgi, i frymarczy
się głosami z puharem w ręku. Jakoż książęta
i magnaci zwykli tam zjeżdżać dworno, i z po-
cztem szlachty o wiele liczniejszym od zwykłe-
go, ażeby mieć tem większą liczbę przyjaciół
i popleczników.

Gdy zaś wszystka już szlachta podzieli się na kilka stronnictw, a te nie mogą się jeszcze zgodzić między sobą, wtedy za pomocą zabiegów i uczt przywodzi się ich do jednomyślności względem kandydata, którego się obrać żąda, osobliwie jeżeli ten pochodzi ze krwi kró-

lewskiéj, jak się to działo na niedawnych elekcyach Władysława i dziś panującego Jana Kazimierza, nie iżby tym książętom zostało było jakiebądź *jus* do królewskiéj władzy, ale przez samą wdzięczność i dobroć wrodzoną polskiemu narodowi, który dopóki trwa ród jego królów przekłada go zawsze nad obce rody.

Nierównie trudniejszemi do pojednania bywają stronnictwa ilekroć wybór pada na zagranicznego książęcia, jeżeli są zaś tak dalece potężnemi iż jedno przed drugiem ustąpić niechce, naówczas elekcya się odbywa z dobytą szablą, i każde z nich obwołuje swego kandydata i usiłuje utrzymać go gwałtem, jak to się stało po śmierci króla Stefana, kiedy się wszystka szlachta rozpadła na dwa stronnictwa, z których jedno pod wodzą Jana Zamojskiego, podówczas kanclerza i hetmana wielkiego koronnego, a krewnego zmarłego króla, obrało Zygmunta króla szwedzkiego, ojca dziś panującego Jana Kazimierza, z powodu iż pochodził ze krwi królów polskich i był synem Jagiellonki; drugie zaś pod Zebrzydowskim wojewodą krakowskim, (dziadem dzisiejszego miecznika koronnego, który otrzymał kasztelanią krakowską odebraną marszałkowi w. k.), obrało Maxymiliana Rakuskiego. Zaczem oba te stronnictwa starły się w pobliżu Krakowa, z klęską Zebrzydowskiego i niewolą Maxymiliana, wypuszczonego późniéj po wyrzeczeniu się wszelkiéj pretensyi do tronu. Jakoż w rychle królestwo całe przystąpiło do Zygmunta.

Po jednomyślnem obwołaniu króla *nemine penitus, penitus discrepante*, (albowiem jeżeli się znalazł jaki zapamiętalec nazbyt ocięty, tedy

się zwykło zyskiwać jego konsens już prożbą już groźbą), prymas ogłasza dokonanie elekcyi, i piszą się porządkiem wszyscy senatorowie, którzy głosowali, toż posłowie ziemscy w imieniu swych prowincyj. Wszystkie stany spieszą powitać nowego króla, a on zaś w zamian obowiązuje się zachowywać prawa i przywileje Królestwa, z warunkami podanemi sobie w imieniu pospolitości, a z góry przez siebie przyjętemi jako też nie przywłaszczać sobie, mianowicie nad życiem szlachty, władzy rozciąglejszéj od téj, jaką mu stany konferowały; przyczem wyrzeka te słowa: *Neminem captivabimus nisi jure victum.*

Po spełnionéj elekcyi król zapowiada koronacyą swoją w Krakowie, tudzież sejm walny, na którym każda prowincya rozkłada swoje żale, i gdzie się o nic bardziéj nie ubiegają jak o osłabienie władzy z utwierdzeniem własnéj.

Gdy nadchodzi czas koronacyi w Krakowie wyprawia się nasamprzód wspaniały pogrzeb zmarłemu królowi, na którym ma miejsce ceremonia łamania laski marszałka wielkiego, i pieczęci kanclerza, jako też wszelkiego godła oznaczającego urząd publiczny. W sam zaś dzień koronacyi składają żałobę, i każdy przybiera napowrót godło swego dostojeństwa z herbami i nowego króla imieniem.

**Koronacya.** Obrzęd koronacyjny odbywa się w kościele zamkowym, który jest krakowską farą. Spełnia go arcybiskup gnieźnieński z niesłychaną okazałością. Przyciąga nań wszystka szlachta królestwa, nie wyjmując najdalszych stron Litwy i Ukrainy, dworno i nadzwyczaj wystawnie.

W dzień następny po koronacyi wznoszą tron na krakowskim rynku, a król poprzedzony przez niezliczoną szlachtę konno jadącą i przez urzęda koronne i litewskie niosące godła królewskiego dostojeństwa, pod baldachimem trzymanym od ławników i starszyzny miejskiéj udaje się z zamku do ratusza, gdzie ubrany w płaszcz, z koroną na skroniach i berłem w prawicy, zasiada na tronie w obec wszystkiego ludu. Wtedy burmistrz krakowski podaje mu klucze stolicy i składa mu przysięgę na wierność, a król ze swojéj strony przyrzeka zachować miastu starodawne jego przywileje, i na tem się kończą uroczystości koronacyjne. Następuje potem w Krakowie sejm, który różnie od innych zowie się sejmem koronacyi.

N. X Władza królewska.

One dwie osie na których się obraca wszelka polityczna całość, to jest kara i nagroda, podpadają w Polsce odrębnéj całkiem juryzdykcyi, albowiem ta zawisła całkiem od królewskiego upodobania, tamta zaś od stanowienia trybunałów niezależnych od króla.

Wszystkie dostojeństwa, posady, starostwa i urzędy tak duchowne jak cywilne i wojskowe, od pierwszego do ostatniego, są rozdawnictwa królewskiego, całkowicie swobodnego i dowolnego, wyjąwszy wtedy, kiedy prawo cudzoziemców niesposobnymi do nich ogłasza, i przeznacza je wyłącznie krajowcom w nagrodę zasług, których wszelako jedynym sędzią jest król. Jakoż liczy się, że dwie trzecie ziem koronnych są dobrami królewskiemi, albowiem tak się nazywają te, których rozdawnictwo należy do króla.

Zwyczajne dochody królewskie.

Zwyczajne osobiste dochody królewskie składają się z niektórych dóbr i starostw znanych pod nazwą ekonomii królewskich, (a te są liczne i dostatnie); z żup solnych w Wieliczce i Bochni, z dziesięcin pobieranych z rud srebra i ołowiu w Olkuszu, z niektórych ceł królewskich tak w Polsce jako i w Prusiech, toż z intrat neapolitańskich wynoszących 40 tysięcy szkudów rocznych ufundowanych na komorze celnéj w Foggia, w skutek odstąpienia królom hiszpańskim przez królów polskich księstwa Baru, posagu królowéj Bony z domu Sforzów, która była żoną Zygmunta I Jagiellończyka a matką Zygmunta Augusta.

N. XI.

Nadzwyczajne zaś bywają mniejsze lub większe wedle okoliczności i trybu używanego przez króla w szafowaniu urzędami; albowiem w czasie wakansu starostw, z których niejedno daje czystego dochodu 20 i 30 tysięcy talarów rocznie, król może je zatrzymywać przy sobie rok i sześć niedziel zanim je rozda, a przy samem jeszcze rozdaniu może z nich inne ciągnąć zyski, jak to czynił ś. p. Zygmunt trzeci, który pomimo tylu wojen z Turkiem, Tatarami, Moskwą i Szwedem, i pomimo wewnętrznych rokoszów potrafił zostawić dzieciom skarby ogromne w gotowiźnie.

Nawet w rozdawaniu krzeseł senatorskich i innych urzędów koronnych, ambicya ubiegających się o nie zwykła znacznie pomnażać królewskie dochody, których dla téj niepewności niepodobna należycie obliczyć.

Straż królewska ograniczoną została do pocztu 1200 żołnierza na sejmie złożonym 1646 roku, kiedy król Władysław przyjął był na swój żołd całe prawie wojsko cudzoziemskie dla pro-

wadzenia wojny z Turkiem, i widział się zniewolonym rozpuścić one z niemałą ujmą królewskiéj powagi, która zniszczała niemal przez to, a krzywdą tak chwalebnego króla, który nie długo potem dokonał żywota.

Okrom zwyż pomienionych 1200 ludzi składających pułk jeden, jestci jeszcze kompania halabardników, prawie wszystkich oficerów zreformowanych, którym powierzona najbliższa straż około osoby królewskiéj, toż kompania dragonów, których nazwać można strzelcami konnymi, albowiem mają tęgie pod sobą konie, a zamiast rusznic krótkie muszkiety ze skałką, i kompania stu hajduków, (to jest piechoty węgierskiéj), którzy użyci bywają do posług raczéj dworskich jak do wojskowéj służby.

Utrzymanie straży opłacane bywa przez Rzpltę, co się ma też rozumieć o załogach fortec. N. XIII.

Wydatki królewskie.

Komora królewska składała się dawniéj z najprzedniejszéj szlachty, co przysparzało wystawy a ujmowało wydatków: odkąd zaś przeciwnie większa część komorników i dworzan pochodzi z ubogiéj szlachty, przybyło rozchodu na nich tak właśnie jak na cudzoziemców zaciągających się do służby. W dawniejszym czasie słynęła kapela królewska złożona z muzykantów włoskich.

Inne zaś wydatki ograniczają się na stole królewskim i na innych potrzebach domowych odnośnych do ozdoby i wspaniałości dworu.

Sądy królewskie.

Miasta królewskie mają osobne sądy z appelacyą do kanclerza koronnego, a od tego do króla, który sądzi pospołu z ministrami stanu i z referendarzem koronnym wytaczającymi sprawy, a sądy te zowią się asesorskiemi. Przewodniczy podobnież sądom sejmowym z udziałem

Sądy asesorskie.

senatu i posłów rycerskiego stanu, a na nich król ma wotum rozstrzygające.

Król nie może pojąć małżonki bez dołożenia się Rzpltéj; królowe zaś po ślubie koronowane bywają w Krakowie przez arcybiskupa z nadzwyczajną uroczystością. Na pierwszym sejmie po koronacyi uchwala się zabezpieczenie posagu znane pod nazwą reformacyi, a takowa polega jedynie na wyznaczeniu intrat z niektórych starostw królowéj; ale ta nie może ich używać aż po zgonie osób co je obecnie dzierżą.

**Królowa.**

**Bracia królewscy.**

Bracia królewscy świeckiego stanu są uposażeni w ten sam sposób; duchownym zaś nadają się biskupstwa. Wprawdzie zostając biskupami nie mogą dawać kreski jako senatorowie, aż chyba gdy osiędą swe stolice, i to głosując z kolei po tych, którzy ich poprzedzają wedle porządku; z tych to tedy powodów stają po za senatorskiem kołem na miejscu przeznaczonem dla książąt krwi, ale nie mają głosu.

Pierwszą osobą po królu jest arcybiskup gnieźnieński głowa całego senatu składającego się z arcybiskupów, biskupów, wojewodów, kasztelanów i z jednego starosty, to jest żmudzkiego. Senatorowie dzielą się na dwie klasy: do wyższéj należą duchowni, kasztelan krakowski, wojewodowie, starosta żmudzki i niektórzy tylko kasztelanowie więksi czyli wyższą piastujący godność; ci kiedy udają się na sejm każą nieść za sobą krzesła i biorą udział we wszystkich radach koronnych. Do niższéj zaś klasy należą sami kasztelanowie mniejsi, którzy podczas sejmu zasiadać muszą na ławach i nie są przypuszczani do tajnych narad.

Oprócz zwyż wymienionych senatorów ma Polska pięciu ministrów stanu z senatorskiego koła, a Litwa ma drugie tyle. Ci zaś takim porządkiem następują po sobie: Ministrowie Stanu.

Marszałek wielki.
Kanclerz wielki.
Podkanclerzy.
Podskarbi wielki.
Marszałek nadworny.

Ministrowie stanu co się tyczy porządku niżsi są od innych senatorów, co zaś godności i władzy, nierównie wyżsi, i przeto ze wszystkich urzędów Królestwa przechodzi się do tych; a te zaś nie bywają składane aż chyba przez którego ministra duchownego dla postąpienia na arcybiskupstwo gnieźnieńskie lub biskupstwo krakowskie.

Marszałek wielki tak porządkiem jak godnością jest najpierwszym z ministrów. Władza jego jest znakomitą, ale bardziéj w rzeczach zwierzchności jak w politycznych obrotach państwa. Marszałek wielki koronny.
Wyznacza on sędziego z własnego ramienia będącego zarazem przełożonym nad żywnością w mieście, gdzie się dwór znajduje, i wymierzającego nawet karę śmierci, ale zawsze waruje odwołanie do siebie. Prowadzi ze sobą straż niezawisłą od władzy królewskiéj, a ta podczas sejmu czuwa nad bezpieczeństwem pospolitem. N. XV.

We wszystkich przypadkach wydarzających się u królewskiego dworu, marszałek jest nieodwołalnym sędzią życia i śmierci bez względu na dostojeństwo i godność osób . . . . . . . . N. XVI.

We wszystkich uroczystościach publicznych marszałek W. występuje jako pierwszy minister Królestwa i króla, rozdaje miejsca, zaprasza

w imieniu królewskiem posłów książąt zagranicznych, a dwor cały w tych okolicznościach słucha go jako najwyższéj władzy.

Bierze takoż udział we wszystkich senatuskonsultach i radach państwa tajnych i wojennych, i sprasza senatorów mających do nich należeć.

Ilekroć wchodzi na pokoje królewskie albo na sejmowe zgromadzenie, trzyma laskę, i tak na tajnych obradach jako też na jeneralnych sejmach, kiedy wszystkie stany połączone są w obec króla, nikomu nie wolno zabierać głosu jeśli mu tego najprzód nie dozwoli marszałek wielki kor.

Kanclerz Wielki koronny.

Kanclerz Wielki koronny co do godności dzierży wtóre miejsce w rzędzie ministrów, ale co do władzy i politycznych obrotów, może się na-

N. XVIII. zwać pierwszym. Wszystkie łaski rozdawane przez króla winny przechodzić przez jego lub podkanclerzego ręce, a częstokroć do łask nie przez siebie wyrobionych nie chce przyłożyć pieczęci, z jakąbądź wymówką, albo dopóty zwleka, aż wszystko się w niwecz obróci. Że zaś rozdaje się ogromna liczba starostw, więc oprócz znacznego dochodu, jaki ztąd miewał w lepszych czasach, jest on potrzebny wszystkim, i przeto mu wszyscy nadskakują.

Kiedy król udziela jaką łaskę, któréj podług prawa udzielać nie może lub przysyła inny akt tego rodzaju do przypieczętowania, kanclerz zwykł odmawiać, owszem, odmowa jest dlań wówczas obowiązkiem włożonym na niego przez Rzpltę, i dla tego się zowie *Custos legum.*

Wierzytelne listy doręczone posłom, toż wszystkie inne wyprawiane do książąt postronnych,

skoro noszą urzędową cechę, winny wychodzić z kancelaryi koronnéj, inaczéj nie mają żadnéj wartości ani znaczenia.

Na sejmach kiedy król chce przełożyć jaki wniosek zgromadzonym stanom lub odpowiedzieć komu, zwykł to czynić przez usta kanclerzy, którzy odpowiadają podobnież posłom i książętom w imieniu Jego Król. Mci.

Sprawy cywilne miast królewskich idą przez odwołanie do wielkiego kanclerza, a od tego zaś do króla.

Podkanclerzy nie różni się od W. Kanclerza niczem innem krom porządku mając tę samą co on powagę; sądzić tylko nie może w przytomności pierwszego; atoli expedycye są równie ważnemi kiedy wychodzą z kancelaryi mniejszéj jak kiedy wychodzą z kancelaryi większéj. Podkanclerzy.

Z kanclerzy jeden bywa duchownym, drugi zaś świeckim. Od pieczęci mniejszéj zwykło się przechodzić do pieczęci większéj. Duchowny jest zawsze biskupem i przeto podwójnym senatorem. Biskupstwa większe bardziéj intratne niezgodnemi są z pieczęcią, a ta się składa jedynie dla arcybiskupstwa Gnieźnieńskiego lub biskupstwa Krakowskiego.

Kanclerz i Podkanclerzy litewski są obadwaj świeccy.

Podskarbi W. jest przełożony nad wszystkiemi dochodami publicznemi, nad solnemi żupami w Wieliczce i Bochni, nad mennicami i nad wszystkiemi poborami uchwalonemi na Sejmie ku zapłaceniu żołdu milicyom, którym on to winien wyliczać pieniądze podług asygnacyi dowódzców. Podskarbi Wielki.

Lubo intraty z żup solnych w Wieliczce należą do stołu królewskiego; z tem wszystkiem kon-

trakt arendowny z administratorem (albowiem tak nazywają dzierżawcę) stanąć nie może bez wiedzy Podskarbiego, któ.y mu przepisuje miarę soli do wykopania; z téj zaś soli, za szczupłą opłatą, każdy szlachcic z mających ku temu prawo prowincyi, może brać ilość jaka nań przypada odpowiednio do rozległości dóbr jego, a potem przedaje onę swym poddanym.

Co zaś się tyczy soli wywożonéj do Węgier i na Szląsk lub do miast królewskich i dalszych prowincyj, administrator może nią rozporządzać jak mu się podoba, i przeto znaczne ciągnie z niéj zyski.

Król aż do roku 1649 nie miał większego dochodu z pomienionych żup nad 40 tysięcy złotych, a wtedy administratorami bywali ludzie znakomici i z senatorskiego koła; ale odkąd poczęto zawierać ugody z cudzoziemcami i z niższą szlachtą, dochód wzrósł przed wojną szwedzką do 400 tysięcy.

Zresztą urząd Podskarbiego jest zawsze wystawion na niechęć publiczną, a zwłaszcza wojska, co frasobliwie patrzy na to, jak drudzy krwią się jego tuczą, a złoto wszystko wpływając szeroką rzeką do skarbu, sączy się ztamtąd jak przez alembik.

Marszałek nadworny koronny.

Marszałek nadworny koronny pod niebytność Marszałka Wielkiego piastuje najwyższą władzę, ale w przytomności tamtego nie ma żadnéj juryzdykcyi, i tylko nosi laskę tak przed królem jako i na sejmach, i bierze udział we wszystkich tajnych obradowaniach.

W niebytności obu marszałków ten z dwu kanclerzy, który jest świeckim podnosi laskę przed królem i przewodniczy marszałkowskim sądom;

kiedy zaś niema Kanclerza lub Podkanclerzego zastępuje ich Podskarbi W., a potem porządkiem ten senator, który bawi podówczas u dworu.

Kiedy Król udaje się na Litwę, Marszałek Wielki koronny zachowuje te same przywileje i sprawuje swój urząd w przytomności nawet Marszałka Wielkiego litewskiego, którego zawsze poprzedza.

**Marszałek i Kanclerz królowéj JMci.**

Królowa także ma swego Marszałka i Kanclerza. Marszałkiem bywa najczęściéj poważny, jaki senator, a ten bierze laskę kiedy wchodzi na pokoje Jéj Król. Mci. Kanclerzem zaś bywał przedtem duchowny; atoli panująca Królowa obrała świeckiego z wielkiem niezadowoleniem Nuncyusza i biskupów utrzymujących, że zwyczaj stał się był prawem. Te urzędy dworu Królowéj są jedynie honorowemi tytułami i nie liczą się do urzędów koronnych.

**Dygnitarze państwa.**

Dostojnicy państwa nie należący do senatu są liczni i nie pospolitéj powagi. Podkomorzy jest najpierwszym pomiędzy nimi, następuje wielki sekretarz, który bywa zawsze duchownym; dwaj referendarze, z których jeden duchowny a drugi świecki, wielki koniuszy, wielki podczaszy (o te dwa urzędy ubiegają się najbardziéj książęta), wielki krajczy, wielki stolnik, podstoli, podskarbi nadworny i miecznik.

Te wszystkie urzędy są ważne same przez się i zapewniają udział w sprawach państwa będąc dożywotnemi jak wszystkie inne urzędy polskie.

Urzędy należące do stanu wojskowego a liczące się do urzędów Rzpltéj, są następne:

Przedewszystkiem urząd Hetmana Wielkiego i Hetmana polnego nadający nieograniczoną wła-

dzę; ten się zwykł udzielać senatorom, i to najprzedniejszym. Daléj urząd wielkiego Chorążego, który się najczęściéj daje synom hetmańskim albo młodzieńcom wielkiéj nadziei i znakomitéj rodowitości. Urząd pisarza, który znaczy to samo, co komisarz wojenny, Obożnego *), co brzmi po łacinie *metator castrorum* i strażnika, którego inaczéj nazwać nie umiem jak *vigiliarum praefectus* i *custos finium Regni.*

Hetman Wielki koronny.

N. XIX.

Hetman wielki koronny rozrządza samowładnie siłą zbrojną Rzpltéj, nie uznaje niczyjéj nad sobą zwierzchności w dawaniu rozkazów i w rozpisywaniu leż. Sądzi nieodwołalnie każdego oficera i żołnierza nie radząc się innego prawa krom wojennych ustaw, które są nadzwyczaj surowe, a król sam nie może darować życiem tego, kogo on skazał na stracenie. Przedsiębierze wyprawy, jakie mu się widzi, ale zdaje z nich sprawę sejmowi. Tych ostatnich lat z powodu tylu wojen, częstéj niewoli hetmanów i ustawicznéj przytomności króla w obozie, nieśmieli się oni nigdy sprzeciwiać rozkazom dworu, jak to nieraz czynili dawniejsi hetmanowie. Zgoła, kiedy się trafi hetman z głową, z licznym dworem, ze sławą męztwa, może się śmiało nazwać drugim królem, i tego to może właśnie lękano się od Wielkiego Marszałka w razie gdyby był zdołał dostąpić buławy.

Król może nie udzielać tego dowództwa i zadzierżyć je dla siebie; wprawdzie gdyby wpadł w podejrzenie u Rzpltéj musiałby je złożyć niezwłocznie. Atoli kiedy się osobiście udaje na

---

*) Po polsku w tekscie.

wyprawę, łączy w sobie wszystkę hetmanów władzę, lubo nie może w niczem dowolnie postępować i nie zniósłszy się pierwéj z tymi, przez których się wykonywają rozkazy, zwłaszcza kiedy hetman jest tak tęgą głową, jaką był Koniecpolski, przed nim zaś Żółkiewski, a bardziéj od wszystkich Zamojski. N. XX.

Hetman Polny Koronny.

Hetman polny koronny ma mniéj lub więcéj władzy stosownie do zdolności wojskowych Hetmana Wielkiego i do wpływu, jakiego mu ten używać dozwala. Urząd ten urósł w znaczeniu w teraźniejszéj wojnie, dla podziału wojska, którego jedna część została pod rozkazami Hetmana W: k., druga zaś poddaną jest całkowicie Hetmanowi polnemu.

Oprócz Chorążego, Pisarza, Obożnego i Strażnika, którzy są najpierwszymi dowódzcami po hetmanach, zdarza się częstokroć, iż dowództwo luźnéj części wojska powierza się na jaką wyprawę jednemu z pułkowników (a znajdują się w ich liczbie senatorowie i to z najpierwszych), ale tym się nie daje nigdy hetmańskiego tytułu, i tylko w ciągu owéj wyprawy zowią się regimentarzami. Ci obejmują dowództwo z ręki jednego z hetmanów, i stosują się całkowicie do jego rozkazów, a sam król nie mocen rozkazywać im bezpośrednio. Może to właśnie dla znacznych uszczerbków, jakie Hetman Potocki dopuścił zadać hetmańskiéj powadze, i z władzy całkiem przeciwnéj przywilejom obu hetmanów, jaką dwór chciał obdarzyć nieboszczyka wojewodę Czarnieckiego, wywiązało się niespodzianie długie pasmo waśni niepokojących Polskę.

Urzędy prowincyonalne.

Każda prowincya i powiat ma nadto swe własne wielce znaczące urzędy rozdawane przez sa-

mego Króla wyjąwszy Podkomorzego, którego tytułują *princeps nobilitatis*, albowiem kiedy podkomorstwo wakuje województwo całe składa sejmik i podaje królowi czterech kandydatów do niego, z których Jego Król. Mość jednego zwykł obierać. Inne zaś urzędy wprost nadawane przez króla są następne: *Starosta sądowy* *), sądzący szlachtę własnego województwa i mający *forum castrense*; do téj godności są przywiązane intraty; daléj Podczaszy, Krajczy, Stolnik, Podstoli, Sędzia, Podsędek, Pisarz, Chorąży, Miecznik i Starostowie nieposiadający forum sądowego. Z tych zaś wielu czasem bywa w jednem województwie i pobierają znaczne intraty stosownie do wielkości starostw, z których kilka może zostawać w posiadaniu jednego starosty, albowiem zgadzają się ze wszelkim urzędem i godnością świecką, a nawet kobiety nie są od nich wyłączone i mogą po śmierci mężowskiéj ciągnąć z nich pożytki za dozwoleniem królewskiem.

Dwa starościńskie sądowe urzędy nie mogą ich jednocześnie piastować, ale pojedynczy jest zgodny z każdem innem dostojeństwem. Inne zaś urzędy wyłączają się wzajemnie między sobą, a kto jednem jest obdarzon drugiego objąć nie może aż złoży pierwszy.

Dom Marszałka W. K. posiada trzynaścioro miasteczek w Węgrzech noszących nazwę miast z tytułem starostwa. Te uznają cesarza za pana swego, ałe płacą podatek staroście. W dodatku do tych trzynaściorga ma ich jeszcze troje z warowną fortecą zostających pod juryzdykcyą pol-

*) Po polsku w tekście.

ską, chociaż przyłączonych do pomienionego starostwa węgierskiego. Tych król, lubo je sam konferuje, nie może nadać nikomu innemu krom członkowi domu Lubomirskich. Są to bowiem dobra należące do hrabstwa Szepuskiego, co je król Węgierski zastawił u Rzpltej za pieniądze wyłożone przez prywatną rodzinę; ta więc rodzina używa nad onem starostwem pewnego jus, co się zowie *lennem prawem.*

Szlachta powszechnie panuje samowładnie nad poddanymi, a we włościach swoich każdy szlachcic jest panem życia i majątku chłopa; temu zaś nie jest nawet dozwolonem w razie uciemiężenia uciec się do żadnego trybunału; wprawdzie iż charakter polski jest dość łagodny rzadko się zdarzają nadużycia, coby były napiętnowane okrucieństwem. Szlachta i jéj przywileje. N. XXIII.

Szlachectwo i wolność są w Polsce jednoznacznemi wyrazami, a poddaństwo wyklucza przez się wszelkie szlachectwa znamie. Szlachta nie może trudnić się kupiectwem ani żadnem ręcznem rzemiosłem; ale wolno jéj służyć nawet nieszlachcie i cudzoziemcom nie tracąc żadnéj prerogatywy. N. XXIV.

Rodziny, które domem i okazałością przewyższają inne miały niemal wszystkie państwa swoje *) na Ukrainie lub w przyległych prowincyach i były w małej liczbie. Z tych niektore utraciły dawną świetność dla spustoszeń kraju i rokoszów poddanych, jako domy Korybutów książąt Wiśniowieckich, Kalinowskich, Sieniawskich, toż inne niegdyś przemożne; inne zaś utrzymywały się przy dawnych swoich dostat- Najznaczniejsze domy polskie. N. XXV.

*) I loro stati.

kach, przeto że posiadały inne włości w Małopolsce i na Rusi, jako książęta Ostrogscy, Lubomirscy, Zamojscy, Potoccy, Koniecpolscy. W Wielkopolsce znajdują się domy Leszczyńskich i Opalińskich, które piastowały zawsze najpierwsze godności Rzpltéj.

Rodziny litewskie. Na Litwie są książęta Radziwiłłowie i Sapiehowie.

Dom Gąsiewskich doznał był wielkich łask ze strony dworu, który go pragnął przeciwstawić księciu Januszowi Radziwiłłowi hetmanowi W. Litewskiemu, i przeto połączył w jednym znakomitym przez się dygnitarzu urzędy podskarbiego i hetmana polnego; ale to najsmutniejsze sprowadziło następstwa, albowiem książe Janusz rozgniewany oddał Litwę na łupież Moskwie i przystał do Szweda; Gąsiewski zaś został nędznie zamordowanym przez konfederatów Sapieżyńskich z fakcyi hetmana w. litewskiego z którym był na bakier. Obecnie znowu za łaską królowéj wyniósł się wielce dom Paców czyli Pazzich. Daj tylko Boże ażeby z fortunniejszemi skutki!

N. XXVI.

Szlachta w ogóle, a mianowicie magnaci, mogą wojować między sobą bez żadnego oporu ze strony prawa; wolno im zajścia swe rozstrzygać tak dobrze drogą prawną jako i orężem, jak to się niezbyt dawno trafiło między domem Opalińskich a Stadnickim (zwany Djabłem) z powodu psa, kędy mnóstwo osób pożyło zdrowie i nareszcie poległ sam Stadnicki dawny pan Łańcuta; a wszystko to się obeszło bez procesu.

Jeżeli szlachcic zabije drugiego szlachcica a jest pojman *in flagranti crimine*, bywa karan

na gardle; jeżeli go zaś nie złapano na uczynku, a krewni zabitego nie instygują lub wejdą w układy, sprawiedliwość nie ściga winowajcy. Lecz kiedy strona poszukuje go prawnie, trzeba występek głową przypłacić, i nic nie pomaga łaska sędziego, lecz tylko pozywającéj strony.

Zabicie osób nie będących szlachtą nie bywa karane gardłem, lecz pociąga za sobą dowolną karę stosownie do godności zamordowanego. Jeśli jest poddanym szlachcica, tedy ów każe sobie zań płacić, i nakłada się cena na krew ludzką; dla tego to powiadają powszechnie, iż Polacy przez zbyteczną swoję wolność czy swawolę chcą się wybiegać od wszelkiego prawa tak ludzkiego jak bożego, doszedłszy do tego, iż poprawili przykazanie *manum pro manu* i *oculum pro oculo* takiem do swego statutu dodatkiem: *Nos rigorem divinae legis mitigantes, etc.* N. XXVII.

Dawniéj sam król nadawał szlachectwo mężom zasłużonym Rzpltéj, ale późniéj gdy to zaczęło przechodzić w nadużycie tak iż każdy sługa dworu, albo mieszczanin, albo cudzoziemiec żądał nobilitacyi, król dla pozbycia się ich dokuczliwości wyzuł się z tego *jus*, i zdał je całkowicie na sejm, i przeto teraz gdy Jego Król. Mość chce obdarzyć dobrodziejstwem którego z ulubieńców swoich lub cudzoziemskich dworzan przyliczając go do szlachty, winien się poniżać aż do błagania senatorów i posłów ziemskich, a często się nawet zdarza, iż odnosi odmowę.

Cudzoziemcy którzy są szlachtą we własnym kraju kiedy ich sejm uznaje za szlachtę polską otrzymują indygienat i stają się zdolnymi do urzędów jak inni szlachta; ci zaś, którzy nie

są szlacheckiego rodu lubo zostają uszlachceni nie bywają przypuszczani do urzędów, i dopiero ich wnuki poczytują się za rodowitą szlachtę.

Cudzoziemcy bawiący w Polsce bądź dla handlu, bądź z innych powodów, a nie posiadający ani szlachectwa ani innych praw obywatelskich, nie mogą przy zgonie rozporządzić swoją majętnością, albowiem ta *jure caduco* wraca do królewskiego skarbu chociażby nawet zostawili rodzeństwo. Królowi zaś wolno nadać kaduk komu zechce, czy krewnym nieboszczyka, czy innym aczby nieszlachcie, czy, co niekiedy bywa, cudzoziemcom już obdarzonym obywatel-
N. XXIX. stwem, jeśli ci nie mają blizkiego spadkobiercy. To surowe postępowanie wynika nieraz bardziéj z nieporządku kancelaryi niż z woli króla, który podpisuje łaski nie zwracając na nic uwagi.

Wiara. Polacy są po większéj części katolikami; w Prusiech zaś panuje luterska wiara, która też zaraziła niektóre miasta królewskie przez Niemców przypuszczanych do obywatelstwa. Pomiędzy szlachtą była dawniéj znaczna liczba Kalwinów, ale teraz zaledwie kilku zostało, a ze znakomitych osób niemaszci nikogo krom księcia Bogusława Radziwiłła koniuszego litewskiego. Schizmatycy byli nierównie liczniejsi tak na Ukrainie jako i na Litwie, ale i tych ustawiczne wojny wytępiły niemal do szczętu, wyjąwszy chłopstwo, które dotąd trwa w greckiem wyznaniu. Tego wyznania zaś jest głową metropolita kijowski przypuszczon przed kilką laty do senatu i mający pod sobą wielu władyków odpowiadających naszym biskupom. Nie uznaje on innéj nad sobą zwierzchności oprócz patryarchy Carogrodzkiego.

Była też inna sekta znana pod imieniem Aryanów, ale w rzeczy saméj mogli się zwać Socynianami: ci jako zepsuty członek zostali odcięci od ciała szlachty polskiéj i zniewoleni wyrzec się błędów lub wyprowadzić z kraju.

Sejm.

Całe królestwo czyli Rzeczpospolita składa się z trzech stanów: z króla, który jest jéj naczelnikiem, z senatu i z rycerskiego stanu: jeden bez drugiego nie może nic stanowić, ale to co bywa uchwalone od wszystkich trzech pospołu *nemine penitus, penitus discrepante, transit jure legis*, i ogłasza się pod nazwą konstytucyi.

To jednomyślne zebranie stanów nazywa się Sejmem, a prawo zobowięzuje króla do zwoływania go co dwa lata; wszakże podług zwyczajów krajowych zwykł się zwoływać częściéj a osobliwie kiedy jest obawa wojny z obcym nieprzyjacielem, lub kiedy się mają potwierdzać przymierza i pokój, a nadewszystko kiedy się szuka środków do zapłacenia żołdu wojskom.

Król po naradzie z ministrami odbytéj rozkazuje kancelaryi rozsyłać uniwersały do prowincyj, w których się wyrażają potrzeby Rzpltéj, podają punkta do roztrząsania i wyznacza czas zwołania sejmu. Uniwersały te ogłaszają się w *grodzie* czyli zamku każdéj prowincyi; a w dniu przez nie zapowiedzianym zbiera się szlachta posiadająca dobra ziemskie w mieście lub wiosce prawem lub zwyczajem na to przeznaczonéj, do kościoła kędy się pojawia posłaniec królewski i składa uniwersał urzędnikowi ziemskiemu (urzędnicy prowincyonalni zwą się ziemskiemi dla odróżnienia ich od koronnych), który go czyta zgromadzeniu. Jeśli są tam obecni senatorowie, tedy zwykli najprzód krótką zagajać przemową,

Sejmiki.

poczem się przystępuje do wyboru marszałka sejmikowego, co ma się znaczyć dyrektora, a ten dla zapobieżenia zamieszaniu i nieładowi daje głos temu, kto ma mówić. Marszałek zaś obiera się i ogłasza za powszechną zgodą i jednomyślnością. Godność senatorska, jeśli takową jest obdarzon, żadnego mu prawa nie nadaje w téj rzeczy.

Po wyborze swoim marszałek zmówiwszy krótki pacierz wnet wskazuje porządkiem na senatorów, jeśli są jacy obecni, azali nie mają co do powiedzenia względem propozycyi Jego Król. Mci, lub innéj potrzeby albo dolegliwości Rzpltéj, coby potrzebowała lekarstwa; ci zaś wyraziwszy swe zdanie odchodzą. Nieraz wszakże gdy roztrząsają się sprawy obchodzące ich samych lub ogół zostają nie już jako senatorowie, ale wstępują do koła prywatnéj szlachty z popularnością jednającą im pospolite oklaski; to zaś zwykli czynić najpierwsi dostojnicy i ludzie rej wodzący w stronnictwach dla kierowania sejmikiem tak jak się im podoba.

Po rozbiorze propozycyj królewskich i przyjęciu onych lub odrzuceniu, pisarz wojewodztwa spisuje wszystko co się uchwaliło *nemine reclamante* tak względem podanych punktow, jak względem tych co sama prowincya ma podać, i składa się instrukcya dla posłów ziemskich wybranych pomiędzy szlachtą i obowiązanych do nieodstępowania w niczem od niéj *sub fide honore et conscientia*, więc do niezezwalania na nic zgoła, coby się sprzeciwiało ich swobodom.

Forma Sejmu. Posłowie ziemscy zwołani w Warszawie w dzień na sejm przeznaczony, który zwykł zawsze we środę przypadać, i bez względu dla tych z po-

między siebie, którzyby jeszcze nie zjechali, po uroczystem nabożeństwie zbierają się na pierwsze posiedzenie w sali poselską zwanéj i wybierają z pomiędzy siebie marszałka sejmowego.

Całe grono posłów dzieli się na trzy części podług trzech głównych prowincyj. Jedni należą do Małopolski, drudzy do Wielkopolski, trzeci zaś do Litwy. Urząd marszałkowski dostaje się kolejno każdéj z tych prowincyj, ale w obiorze osoby znać zawsze powszechną chęć wszystkich posłów.

Nowo obrany Marszałek idzie ucałować ręce królewskie, a posłowie wracają na salę dla dalszych obradowań. Wówczas to odczytują się senatusconsulta uchwalone od ostatniego sejmu a mające się potwierdzić lub unieważnić.

Senatus-consulta.

Oprócz ministrów stanu asystujących zwykle osobie królewskiéj, zwykło się na każdym sejmie obierać pewną liczbę senatorów bawiących podówczas przy nim, ażeby w sprawach zawiłych i naglących za ich zezwoleniem i poradą mogły się przedsiębrać stosowne środki bez zwoływania sejmu, ażeby się dawała odprawa zagranicznym posłom i zawierał pokój i przymierza. Ale ze wszystkiego późniéj, co zostało uchwalonem przez to senatorskie grono pod nazwą senatuskonsultu winno się zdawać sprawę sejmowi, który potwierdza lub kasuje wszystko, co przedtem postanowiono.

Sądy Sejmowe.

Daje się następnie początek w sali rzeczonéj senatorską sądom około ważnych spraw w materyach stanu toż w innych. Takowym przewodniczy król i bierze w nich udział wszystek senat, toż ośmiu posłów z rycerskiego stanu, z których każdy ma kreskę.

Sprawy są wytaczane i obżałowania zanoszone przez urzędnika koronnego zwanego po polsku Instygatorem. Urząd ten, jakkolwiek przez się pożytek przynoszący, wzgardzony bywa przez wrodzoną Polakom dumę i zaledwie się oń ubiega jaki szlachcic ubogi, ambitny i *procacis linguae*.

Instygator.

N. XXX.

Sejm winien trwać sześć tygodni, a kiedy się już ma ku końcowi a jednomyślność panuje między posłami, ci ze swojemi prośbami idą do senatorskiéj sali i tam przed królem i senatem wykładają co postanowili. Marszałek W. K., lub kto inny na jego miejscu, kieruje wszystkiem w téj okoliczności i on to daje głos mówić żądającym.

Tak tedy od wszystkich trzech stanów zgromadzonych stanowi się pospołu około spraw i punktów już rozbieranych i układają się konstytucye.

Podatki nakładają się bez różnicy na sejmie tak na miasta jako i na dobra szlachty, ale nie wytykają się jak tylko raz jeden, a jeśli wypadnie inna potrzeba nie można nakładać ani wytykać nowych bez nowego sejmu.

Jeżeli po upływie sześciu tygodni sejm nie doszedł do końca, tedy chcąc go przedłużyć potrzeba powszechnéj zgody, bo jeżeli tylko jeden się przeciwi, protestuje i opuszcza koło, to sejm się poczytuje za zerwany. Atoli zwykło się go nieraz przedłużać z dnia na dzień aż do całkowitego ukończenia.

Po ukończeniu zaś sejmu Marszałek sejmowy z posłami postępuje do ucałowania rąk królewskich; poczem posłowie wracają do swych prowincyj dla zdania sprawy na sejmikach, które zowią relacyjnemi ze wszystkiego co zdzia-

łali, i drukują się konstytucye o wszystkiem co się uchwaliło na sejmie.

Oprócz sześciotygodniowych sejmów bywają inne dwu i trzechtygodniowe w nagłych potrzebach Rzpltéj, jeżeli wymaga pieniędzy lub ludzi, a te nazywają się konwokacyjnemi. Konwokacyjne Sejmy.

We wszystkich sprawach tak cywilnych jako i kryminalnych, które się sądzą po grodach, bywa apelacya do Trybunału. Jestto sąd złożony z duchownych i świeckich obieranych przez prowincye z tytułem posłów i zmieniających się co rok. Ma on swoję rezydencyą przez sześć miesięcy w Lublinie w Małopolsce, a przez sześć drugich w Piotrkowie w Wielkopolsce. Litwa ma swój osobny Trybunał. Trybunał.

Od Trybunału tego rozciągającego nieograniczoną władzę niemasz apelacyi; owszem posiada on *jus* tak zupełne, iż staje się groźnym dla wszystkich; lubi zaś nadewszystko upokarzać i niepokoić magnatów przejeżdżających przez miasta, kędy założył swoją stolicę, a to dla najmniejszéj fraszki. I przeto kiedy książęta mają stawać u sądu lub popasać w tem mieście, zostawują dwór swój opodal, ażeby posłowie nie doznali żadnéj zaczepki.

Starostowie lubelski i piotrkowski są stałymi posłami przez czas przebywania Trybunału w miastach zostających pod ich zarzędem.

Kiedy Rzpltéj grozi wielkie niebezpieczeństwo wojny i widzi się królowi że wojska jego nie są dostateczne do obrony, jeżeli sam chce wyruszyć osobiście do obozu za pozwoleniem senatuskonsultu, ma wtedy prawo nakazać pospolite ruszenie wszystkiéj szlachty naznaczając czas onego i miejsce, gdzie zbrojno ma stawać. Pospolite ruszenie.

Porządek, jaki się przytem zachowuje, jest następny:

Rozsyłają się listy okólne do wszystkich województw, które się ogłaszają po grodach nakazując szlachcie, ażeby się uzbrajała i miała w pogotowiu. Nadchodzą potem drugie bardziéj naglące, a nareszcie trzecie, które nadają ruch całemu temu podzielonemu ciału. Listy te królewskie nakazujące pospolite ruszenie dla odróżnienia ich od innych okólników zowią się wiciami.

N. XXXI. Szlachta po województwach na pierwsze lub drugie wezwanie obiera miejsce do popisu, dzieli się na hufce, wybiera dowódzców, a kiedy wyrusza w pochód wiezie za sobą żywność na kilka miesięcy. W naglejszych wypadkach pierwsze wezwanie staje za dwoje.

Po skończonéj wyprawie król nie może zniewolić szlachty do pozostania w obozie, i zaledwie udaje mu się niekiedy zatrzymać ją swemi modły, jak to miało miejsce po wygranéj pod Beresteczkiem w r. 1651, kiedy szlachta z tak znakomitą szkodą Rzpltéj nie chciała przedłużać wyprawy przeciwko Tatarom i Kozakom już pogromionym, albowiem śpieszno jéj było do domu na żniwa.

Wieść wszakże niesie, iż w starodawnych wojnach z książęty ruskimi Pospolite Ruszenie stało jednego razu siedm lat pod Kijowem bez powracania do domu; podobnież przeciw Krzyżakom trwali czas długi k'woli królowi.

Ktokolwiek jest dziedzicznym szlachcicem lub nawet mieszczaninem posiadającym poddanych własnéj juryzdykcyi, a nie wyjeżdża na wojnę w czasie pospolitego ruszenia, zostaje banitą

pod gardłem z konfiskatą dóbr, które król zwykł udzielać *jure caduco* tym, co o nie proszą. Postępuje się w téj rzeczy bardzo ostro i bez względu dla nikogo. Prawa atoli uwalniają pewne osoby od téj powinności. Są to ci, którzy mają pozostawać w zamkach na straży; innym zaś daje uwolnienie Król lub Marszałek W. K. skoro stawili się osobiście i uznani zostali za niezdolnych, lub jeśli śląc innych we własnem imieniu udowodnią prawnie swoję niezdatność, w czem postępuje się z nadzwyczajną surowością.

Bywa też innego rodzaju pospolite ruszenie, które się dzieje *invito Rege* jeśli postępki królewskie mają co podejrzanego, lub jeśli jakowe swobody szlachty są w jéj mniemaniu zagrożone; to zaś powstanie narodu zowie się *Rokoszem*, i jestto największe i najstraszniejsze postanowienie, jakie się czyni w tej Rzpltéj. **Rokosz.**

Wojsko dzieli się na polskie i cudzoziemskie. Polskie, które krajowym obyczajem zowie się kwarcianem (od kwarty czyli czwartéj części intraty ze starostw obracanéj na żołd dla milicyi) liczniejsze jest w téj chwili niżli kiedykolwiek było, chociaż Polska miewała dawniéj wojska nierównie większe i dobrańsze. Powodem zaś tego jest, iż po buntach kozackich nie zostało już owych magnatów dworno wyjeżdżających na wyprawę dla zjednania sobie czci i zasługi. Nadto na Rusi, Podolu, Wołyniu, Ukrainie szlachta albo całkowicie wygasła albo zubożała; Rzplta zaś pozbawiona tak znakomitéj podpory, więcéj ludzi ma na żołdzie a mniéj w służbie swojéj. **Porządek kwarcianego wojska.**

Wojsko kwarciane składa się z hussarzy, Kozaków, Wołochów i Tatarów. Hussarze co do osobistego znaczenia i wojskowego stopnia, prym trzymają między wszystkimi. Mają oni pewne podobieństwo do starodawnych *uomini d'arme* włoskich, lubo się różnią urządzeniem i uzbrojeniem. Są całkiem pokryci zbroją i mają włócznię, którą nazywają kopią, próżną wewnątrz, ale dla większéj tęgości okręconą bykowcem tož innemi rzeczami dodającemi jéj twardości. Ta w pędzie konia snadno przebija na wskróś zbroję. Dłuższa jest niż zwyczajne dzidy i ma pod żelezcem proporzec tyftykowy długi a wązki, który od połowy do końca dzieli się na dwoje coraz się zwężając i dochodzi aż do końskiego ucha. Każde towarzystwo nosi własną barwę na proporcach i drzewcach, których tuleja tkwi w pochwie z tęgiéj potrójnéj skóry wiszącéj u kulbaki końskiéj i przytwierdzonéj do strzemienia a kierującéj się poruszeniem stopy. Po lewéj stronie łęku noszą krócice, a pod lewem kolanem uwiązany do siodła koncerz hartowny i długi, z rękojeścią także nader długą, ażeby po złamaniu kopii używać go zamiast takowéj. Nadto po wierzchu zbroi przypinają skórę tygrysią lub lamparcią spiętą łapami gdyby pasem na lewem ramieniu. Z tyłu zwykli byli nosić parę wielkich sępich skrzydeł, które w biegu szum przeciągły wydawały, ale szczupła tylko liczba obecnie onych używa. Każdy towarzysz służy za trzech i winien dać towarzystwu dwoje bitnych ludzi tak jak sam uzbrojonych i podobne pod sobą konie mających, którzy atoli dla odróżnienia się od pana swego noszą niedźwiedzie lub wilcze skóry,

Hussarze.

skrzydła i krom tego opatrzeni są w rusznicę. Używają walcząc szerokiego na jednéj linii szyku, którego głębokość nie przechodzi nigdy trzech rzędów, i przeto towarzystwa kiedy są liczne, rozdzielają się na hufce, ażeby podać każdemu sposobność robienia kopią, najprzedniejszą ich bronią.

Ten rodzaj milicyi podczas wojen tatarskich i kozackich wyszedł był z używania, albowiem nie wiele popłacał z nieprzyjacielem niemającym nigdy stałego bojowego szyku, ale w wojnach szwedzkich i moskiewskich odzyskał dawną wziętość. Najpierwsza szlachta krajowa obowiązana służyć wojskowo stósownie do polskich obyczajów zaciągała się do towarzyszy, a starzy wojacy którzy dowodzili Kozakami lub swemi pułkami podrzędnemi nie sromają się wstępować do nich jako prości szeregowcy.

Pułki w wojsku polskiem nie mają stałego składu ani urządzenia, i ograniczają się kwoli ordynansom hetmanów, którzy z wielu osobnych towarzystw tworzą pułk i oddają go pod dowództwo naczelników doświadczonych i sędziwych albo też zalecających się znakomitą rodowitością.

Towarzystwo husarzy kosztuje nierównie więcéj niżli pułk jazdy lub piechoty cudzoziemskiéj, zwłaszcza dowódzcę, bo ten oprócz kopii które sprawia z własnéj kieszeni zwykł też obchodzić się nadzwyczaj hojnie z towarzyszami w przyjmowaniu ich i ugaszczaniu.

Roku 1661 na całe wojsko było tylko sześcioro towarzystw: jedno królewskie składające się z dwiestu towarzyszy, którego porucznikiem

był Czarnecki *) wojewoda ruski; drugie hetmana Potockiego złożone także z dwiestu; trzecie marszałka w. k. z dwiestu; czwarte księcia (sic) Zamojskiego ze stu; nadto dwoje towarzystw, jedno brata a drugie syna wielkiego marszałka każde po stu towarzyszy liczące. W towarzystwie dwiestu ludzi szlachta nie przechodzi zwykle liczby sześćdziesięciu; ale pocztu tego dopełniają uzbrojeni przez nie żołnierze. Szlachta staje w dwóch tylko pierwszych szeregach oddzielonych muzyką z trąb, kotłów i *surm* **) od giermków i posługaczy.

Żołnierze szlachta tak dobrze husarze jako i kozacy zwani są powszechnie *towarzyszami*, co znaczy to samo po łacinie *commilitones*, i takiéj używają powagi i czci, iż sami hetmani nawet przy komendzie nie odzywają się inaczéj do nich jak: Panowie bracia!

**Kozacy szlachta**

Kozacy są podobnież wojskiem ze szlachty lekko uzbrojonéj, i niewiadomo czy naród kozacki wziął imie od tego rodzaju milicyi, która za dawnych czasów wyłącznie się z niego składała, czyli też wojsko kozackie nazwało się od narodu. Uzbrojeni są w druciane kabaty czyli kolczugi, i noszą na głowie żelazny kołpak z drucianą wkoło siatką spadającą aż na ramiona i spinającą się pod brodą. Na wojennych okazkach szlachta występuje z łukami, ale na powszednich musztrach używają rusznicy. Giermkowie uzbrojeni są w ten sam sposób; odróżnia się zaś jednych od drugich podług tego jak

*) Cefali pisze Czarnecki, (*Przyp. tłóm.*).

**) Wyrazy podkreślone napisane są po polsku we włoskim tekscie. (*Przyp. tłóm.*).

muzyka poprzedza ich lub naśladuje stósownie do zwyczaju towarzyszy.

Milicya ta urosła znakomicie od czasu buntu podniesionego przez Kozaków, których ubytek trzeba było zastąpić; oddawna bowiem puszczono w niepamięć rusznikarzy konnych uzbrojonych w kirysy z rusznicą i krócicami na wzór kiryśników, i zaprowadzono na ich miejsce rajtarów niemieckich w szczupłéj teraz liczbie będących.

Wołosi są żołnierzami z narodu co niedawno jeszcze podległy był Polakom, jak teraz podlega Turkom. Jestto milicya lekka zdatna do rozpuszczania zagonów, torowania dróg i imania języków. Wołosi.

Są lekko uzbrojeni w łuk i krócice, lubo wielu z nich używa rusznicy zamiast łuku. Najprzedniejsi z pomiędzy nich używają kolczéj zbroi: wielcy z nich rabusie, ale przytem są bardzo bitni. Poczet ich w całem wojsku nie dochodzi do dwiestu kompanij.

Tatarzy byli to z początku osadnicy z Przekopu skłonieni nadaniem sobie licznych przywilejów do służenia w polskiem wojsku. Rzeczpospolita z dawien dawna trzymała ich na swoim żołdzie, a potem chcąc ich mieć zawsze na dorędziu porozdawała grunta tym z pomiędzy nich, którzy upodobawszy sobie pobyt w Polsce postanowili stale tam zamieszkać, i prosili o kawałek ziemi.

Są oni wyznania muzułmańskiego, z oblicza podobni do Tatarów Przekopskich, nie zaś z waleczności. Uzbrojeni są z lekka w łuk i strzały. Na całe wojsko niemasz ich nad dziesięć kompanij. Na Litwie jednak są nierównie liczniejsi.

Hajducy. Piechota, któréj dawniéj używali Polacy składała się z Węgrów pospolicie zwanych hajdukami. Ci służą obecnie li tylko do okazałości i wystawy, ograniczając się na domowych posługach. Nawet ze zbuntowanych Kozaków czyniono niegdyś piechotę, ktora się wyśmienicie sprawowała, osobliwie w potrzebach z Turkiem.

Zaprowadzono późniéj w Polsce cudzoziemski autorament, a lubo najwięcéj krajowców znajduje się w jego kompucie, zowie się wszelako milicyą cudzoziemską; ta niedawno jeszcze składała przez się liczne wojsko, ale teraz dla skąpego żołdu rozwiązała się prawie całkowicie.

Rajtary. Rajtarów nie wielu zostało, i krom pułku który miał marszałek w. k. wszystkie inne kompanie będące w wojsku zaledwie drugi pułk utworzyłyby razem.

Dragonija. Dragonii jest za to więcéj, a niemal wszyscy Polacy.

Piechota bywała dawniéj nader liczną i bitną, ale w ostatnich wojnach z Kozakami i Moskwą wszystka prawie wyginęła.

Komenda odbywa się obyczajem niemieckim, lubo żołnierze są Polakami, a dowódzcy pozbierani ze wszystkich narodów.

Jenerał piechoty. W wojnach kozackich a mianowicie w wyprawie pod Beresteczek wojsko polskie miało do dwunastu tysięcy piechoty; zachciało się królowi dać im jenerała obyczajem niemieckim, i powołał na ten urząd księcia Bogusława Radziwiłła z wielkiem oburzeniem się szlachty, która niechętnie zwykła patrzeć na zaprowadzenie cudzoziemskich zwyczajów. Po rokoszu księcia ofiarowano jeneralstwo księciu (sic) Zamojskiemu, ale ten chociaż zrazu przyjął tytuł, mało sobie

z niego potem robił, bądź dla gęstych konfederacyj, co nastąpiły, bądź ażeby nie narazić sobie dowódzców i rycerstwa polskiego nie bez zazdrości patrzącego na wzrastającą wziętość tego nowego urzędu.

Urząd zaś jenerała artyleryi jest podobnież nowym w Polsce, i przeto nie liczy się do urzędów Rzpltéj, i nie ma miejsca między niemi. Nadaje go król, a tych ostatnich lat wzbił się w znaczenie przez to, iż Jego Król. Mość osobiście go sprawował. Jenerał artyleryi.

Konfederacya jest jednomyślnym buntem wojska pod pozorem niedostatku płacy lub pod jakimbądź innym. Zowią ją zwyczajnie więzem braterstwa, albowiem wyrzekając się prywaty wiążą się niejako i obowiązują wzajemnie aż do całkowitego zaspokojenia swych pretensyj. Najpierwszem działaniem konfederacyi jest uwolnienie się od zwierzchności głównych dowódzców, a przeto i wszystkich naczelników niższéj rangi, nie uznając jak tylko jednego, którego obierają z tytułem marszałka, i któremu powierzają władzę taką, jaką im się podoba.

Marszałkowi przydani bywają mnodzy asystenci, a narady odbywają się zawsze publicznie ażeby każdy kto chce mógł na nie uczęszczać; atoli tak dobrze marszałek jako i inni jeneralności członkowie unikają od przyjmowania prywatnych listów albo poselstw, gdyż posądzenie w tym względzie należałoby głową przypłacić. Składają nowe ustawy wojskowe potrzebne do utrzymania pomiędzy sobą karności, która jest jak najsurowszą i przestrzeganą bywa skrupulatnie, ile że najmniejsze wykroczenie ściąga niezwłoczną karę na gardle. Zajmują miasta i

dobra duchowne wytykając podatki dopóty, aż skarb królewski zaspokoi ich całkiem, a król im zapewni bezkarność za wszystkie zbytki i występki popełnione czasu konfederacyi.

Zawiązują się też konfederaci na korzyść królewską, jak to się działo roku 1655 pod laską marszałka w. k., i celem odwrócenia wojska od króla szwedzkiego i hetmanów, kiedy wszyscy żołnierze obowiązali się pod przysięgą służyć własnemu królowi dopóki państwa całkowicie nie uwolnią bez wymagania żołdu od Rzpltéj aż do końca szwedzkiéj wojny, otrzymawszy na to zaręczenie na piśmie od w. marszałka i od księcia Zamojskiego, iż z własnych ich dóbr będą zaspokojeni, gdyby król i Rzplta uczynić im zadość nie chcieli; które to obligi zostały późniéj zwrócone wspomnionym panom r. 1660 na komisyi lubelskiéj przez wierne dotrzymanie przez wojsko wszystkich swoich obietnic.

Kozacy. Plemie kozackie pochodzące od dawnych Gotów zajmuje cały obszar kraju ciągnący się z obu stron Dniepru od Litwy aż do morza Większego (Czarnego) i do Tatarów Buczackich, a od pogranicza moskiewskiego i od Tatarów przekopskich aż do Podlasia, Wołynia, Podola i Multan, jakowy oznaczony bywa ogólnem mianem Ukrainy. Przed buntami była to najbogatsza i najżyzniejsza strona Polski, pełna książąt, wielkich panów i starostw najoprawniejszych rozdawanych przez króla; obecnie zaś nietylko iż jest niemal całkowicie spustoszoną, ale nadto ościenne prowincye, jako Podole i Ruś Czarna, także przedtém ludne i zamożne, stoją pustkami.

Sąsiedztwo Tatarów było powodem iż Ukraina stała się oddawna jakoby stolicą polskiego

oręża, tak iż z obawy pierwszego a w skutek oswojenia się z drugim ludy ukraińskie z natury dzikie stały się jeszcze sroższemi i bitniejszemi, a znając własną siłę dźwigały niecierpliwie jarzmo włożone na się od urodzenia a tém cięższe od zbytku i pychy panującéj szlachty.

Na mocy starodawnego prawa czy zwyczaju winny były te ludy stósownie do podziału ziem dawać pewien poczet ludzi do służby Rzpltéj na wzór milicyi co się we Włoszech *Bandami* zowie, którego ilość nie przewyższała zrazu 4 tysięcy. Ci zaś kozacy służący z powinności byli utrzymywani czasu wojny przez Rzpltę; w domu zaś wolni byli wszelkich ciężarów. Zwano ich *regestrowymi*, to jest zaciągnionemi do regestrów milicyi. Powinność ta z czasem została uważaną przez nich za przywiléj, do czego się niemało przyczyniło ciągłe stanie polskiego wojska na polach Ukrainy. Jakoż nietylko Kozacy do rzeczonych band należący nie chcieli potem wracać do ziemiańskich robót, ale najżwawsza i najdzielniejsza młodzież z tego plemienia nie będąc nawet *regestrową* bieżała dobrowolnie na wojnę, a jeżeli nie znajdowała miejsca w swoich narodowych chorągwiach przystawała do polskich żołnierzy, którzy ją ćwiczyli w sprawach rycerskich i zaciągali do własnych szeregów; tak iż przed samym buntem Chmielnickiego nie-licząc regestrowych więcéj było Kozaków w polskiem wojsku niż rodowitych Polaków.

**Hetman kozacki.**

Wojsko kozackie ma naczelnika noszącego tytuł *hetmana zaporozkiego wojska* *), to jest dowódzcy milicyi Zaporoża, który przedtem co do godności mniéj znaczył od każdego pułkownika

*) Po polsku w oryginale.

polskiego. Mieli podobnież dawniéj dwóch komisarzy polskich ze szlachty, przy których w rzeczywistości zostawała całkowita władza i dowództwo tych zastępów. Ci zaś byli stanowieni od hetmana w. k., który tą godnością zwykł był wynagradzać walecznego jakiego żołnierza, lub też ulubieńca swego. Jedną z najprzedniejszych przyczyn ogólnego zbuntowania się było łakomstwo komisarzy, przeciw którym obruszył się ten biedny lud widząc się ciągle wystawionym na najsroższe niebezpieczeństwa, i jako korzyści ze zdobyczy, żołdu i kwaterunku przechodziły wszystkie w ręce komisarzy.

W skutek buntu Chmielnickiego wszystkie te prowincye porwały się do broni, a chłopi powstając przeciwko panom wyrżnęli ich i połączyli się z kozactwem składając potężne wojsko. Gdy przeto stanął pierwszy pokój w Zborowie wypadło zezwolić, ażeby liczba Kozaków regestrowych podniesiona była aż do 40 tysięcy; albowiem tych, którzy już poprzednio służyli w wojsku polskiem nie chciano doń napowrót przyjmować, a oni ze swojéj strony nie chcieli porzucić wojskowego zawodu; wielu też z buntowników skłonić nie można było do wrócenia do swoich dawnych rzemiosł i prac; ale krom tych powodów mieli oni jeszcze swoją politykę, która zawisła na tem, ażeby się nie dać owładnąć orężowi polskiemu, i mieć leże na Ukrainie dla swego narodu. Otrzymali także wiele innych swobód i przywilejów dla swego hetmana z całkowitem zniesieniem komisarskiego urzędu.

Za powtórnem późniéj zawarciem pokoju pod *Białą Cerkwią* (co po polsku ma znaczyć biało

pomalowany kościół, a jestto miasto na Ukrainie), jakkolwiek wieloralko złamani i pogromieni przez naszych *) nie dali się namówić, ażeby liczba regestrowych kozaków mniejszą była od 25 tysięcy.

Teraz naród kozacki jest podzielony; jedna jego połowa trwa w buncie i uznaje Moskala za zwierzchnika, druga zaś połowa wróciła do posłuszeństwa królowi, a naczelnikiem tych ostatnich jest Tetera; ale rzec można że Kozacy zostający obecnie po stronie Polski są całkiem wolni i odprawiają żołnierkę jako towarzysze nie zaś jako niewolnicy, jak to przedtem bywało.

Plemie to było dawniéj bardzo straszne Turkom i nieraz w obec potęgi otomańskiéj wypadając z wysp Dnieprowych na niezliczonych czajkach i paląc a łupiąc nadbrzeża Czarnego morza, zapuszczało swe zagony aż do Carogrodu, pomimo Oczakowskiéj twierdzy, którą Turcy zbudowali przy ujściu Dniepru ażeby trzymać je na wodzy.

Najbitniejsi z Kozaków przybierają nazwę Zaporozkich, co ma się znaczyć iż pochodzą z po za Pragów Dniepru, (*w tekscie: Poroki*). Pragi zaś są to pewne wodospady, które rzeka ta tworzy na skałach napełniających jéj koryto, i za któremi rozlewając się spokojnie i szeroko po płaszczyźnie, tworzy mnóstwo ostrowów prawie niedostępnych dla gęstości trzciny wodnéj napełniającéj tę część łożyska. Ostrowy takowe są przytułkiem Kozaków; to zwykli tam prze-

*) Cefali pisze *przez naszych* uważając się już niejako za Polaka po tylu latach spędzonych na dworze w. marszałka. (*Przyp. tłóm.*).

mieszkiwać i chronić się ze zdobyczą, pewni iż żadna moc w świecie ścigać ich nie zdoła.

Zachowują osobliwy porządek tak w wyprawach jak w podziale łupów, słuchając jednego naczelnika którego obierają kiedy idą plądrować. Między Kozakami nie uchodzi za walecznego wszelki kto nie był na wyprawie; jakoż przez ambicyą nazywają siebie Zaporozkimi.

Miasta. Miasta w Polsce są niemal wszystkie z drzewa, wyjąwszy niektóre najpierwsze jako Kraków, stolicę całego Królestwa, Poznań w Wielkopolsce, Lwów na Rusi, Lublin w Małopolsce, Warszawę stolicę Mazowsza i rezydencyą królewską, Wilno na Litwie, i w Prusiech prawie wszystkie.

Twierdze. To państwo tak rozległe ma nadzwyczaj mało warowni, ile że jest starodawnym zwyczajem u téj szlachty mawiać, iż piersi ich są twierdzą Polski; ale prawdziwą tego przyczyną jest próżna zazdrość do króla; dla niéj to Władysława, który począł był wzmacniać zamek krakowski, kędy się przechowują korona i skarb, sejm zniewolił do odstąpienia od przedsięwzięcia.

Miasto Kamieniec na Podolu ze swoim w skale wykutym zamkiem uchodzi za niezdobyte położenie i sztukę. Miasto bierze swoje imie od miejsca, albowiem opoka po polsku nazywa się *kamień*. Jako warownia na tureckiem pograniczu bywa ono pilnie strzeżone, a gubernatorem jego jest książę Zamojski. Na Ukrainie byłci Kudak forteca poczytana także za niezdobytą, którą wzniósł hetman Koniecpolski dla poskromienia gęstych buntów kozackich; ale w téj ostatniéj załoga poddała się Chmielnickiemu, który kazał tę twierdzę z ziemią zrównać.

W Prusiech jest nie mało miast warownych i fortec poobsadzanych własnemi załogami. W liczbie tych Gdańsk trzyma pierwszeństwo. Rządzi się on dzisiaj jako wolne miasto i posiada w swoim obwodzie wiele fortec należycie obsadzonych. Trzyma u dworu przedstawiciela swego mającego tytuł sekretarza, co też czyni Toruń; ten zaś ilekroć wymaga tego pospolita potrzeba, zwykł kupować przywileje i pomnażać swobody. Jego najprzedniejszem zadaniem jest zyskiwać sobie przychylność dworu, albowiem obawia się szlachty, i słusznie, dla tego iż najlepsza część jéj przychodu składająca się z rozlicznych rodzajów zboża i *potażów* *) ma swój odbyt w Gdańsku, dokąd się spławia Wisłą; Gdańszczanie zaś zabronili cudzoziemcom przybywającym do ich przystani ze swemi okrętami nabywać cokolwiek u Polaków, u których sami zakupują wszystko zboże, a potem odprzedają je Holendrom, opatrując tym samym sposobem Polskę w holenderskie sukna i korzenie z niesłychanym swoim zyskiem a szkodą Polaków.

Towarzystwa holenderskie poczęły były wchodzić w bezpośrednią ugodę z niektórymi panami polskimi; ale nieprzestanne konfederacye, toż inne domowe niepokoje stanęły na zawadzie układom równie korzystnym dla jednego jak dla drugiego narodu.

Książęta i panowie prywatni mają własne twierdze obsadzone załogami nieuznającemi żadnéj innéj zwierzchności oprócz miejscowego pana. Zamość jest główną warownią księcia (sic) N. XXXII.

*) W tekscie: *potarzi*.

tego nazwiska. Łańcut, Wiśnicz, Lubomla domu Lubomirskich, Brody Koniecpolskiego, Byków na Litwie Sapiehy, oprócz wielu innych mniéj znaczących.

Prusy Książęce są lennością Polski, a szlachta téj prowincyi appelowała od wyroków elektora brandeburgskiego do królewskiego dworu, i wolna była od wielu ciężarów. Obecnie zaś elektor jest jéj samowładnym panem, odkąd Polacy przy zawarciu pokoju r. 1658 zrzekli się wszelkich praw do lenności.

Na morskiem tych Prus nadbrzeżu, na klinie ziemi wchodzącym w morze i zwanym Hafft, zbiera się bursztyn, który fala na brzeg wyrzuca. Elektor pilnuje tego miejsca i wypuszcza je w dzierżawę, a ktokolwiek poważyłby się tam zbierać śmiałośćby swoją gardłem przypłacił.

— 1664. —

Władysław Kulczycki.

# PIĄTE WSPOMNIENIE

# O PUŁKU LEKKOKONNYM POLSKIM

## GWARDYI NAPOLEONA I.

## mianowicie w latach 1810 i 1811

---

Czytelnicy widzieli w poprzednich naszych wspomnieniach, że pułk gwardyi polskiéj, liczny, prawie nigdy razem połączony nie działał; i tak, pierwszą kampanią rok 1809 obejmującą sławną bitwę pod Aspern i Essling, odbył tylko oddział pułku mniéj więcéj 300 koni wynoszący: to samo czytelnicy zobaczą w tych tu dalszych wspomnieniach z lat dwóch, poświęconych niemal wyłącznie oddziałowi podobnież mniéj więcéj 300 do 400 koni wynoszącemu, który: od kampanii nad Dunajem, aż do wyprawy po za Moskwę, ciągle zostawał w Hiszpanii; wtenczas, kiedy większa daleko część pułku przebywała w Chantilly, i uczestniczyła w różnych uroczystościach i przejażdżkach Napoleona Igo, których

piszący nie był świadkiem, a zatem bardzo mało o nich wspomina: zostawiając uzupełnienie o tych, może niemniéj ciekawych szczegółach, współtowarzyszom broni, póki jeszcze który z nich żyje; albowiem śmierć, co ich oszczędzała na tylu polach bitwy, dogania jednego po drugim w ich późnym wieku... Wszakże od zgonu syna naszego pułkownika, Zygmunta Krasińskiego, któregośmy uważali za dziecko regimentowe i jako takie kochali; niedoszła nas wiadomość o jakiéj późniéjszej stracie kolegi. Niech więc tu na pamiątkę zbyt wcześnie zgasłego nieodżałowanego naszego Zygmunta, wolno mi będzie obszerniejszą uczynić o nim wzmiankę. Kiedy matka jego Marya z Radziwiłłów wychowanka Stanisława Małachowskiego, Marszałka czteroletniego konstytucyjnego sejmu, bliską była połogu; piszący, niedawno przybyły z Hiszpanii, z łatwością skłonił rodziców: żeby syn spodziewany nosił imie Zygmunta, córka zaś Jadwigi, dwóch epok i wspomnień najświetniejszych w narodzie naszym; byłem obecny obrzędowi chrztu świętego, który się odbył dnia 19go lutego 1812go roku w parafii Notre Dame de Lorette, synek dostał imiona: Napoleon, Stanisław, Zygmunt; do chrztu świętego trzymali go: Ludwik Pac pułkownik wojsk polskich, były szef szwadronu naszego pułku, z Maryą z Łączyńskich Walewską, matką teraźniejszego ministra spraw zagranicznych państwa francuzkiego; i Piotr Krasiński szef szwadronu naszego pułku, z księżną z Walewskich Jabłonowską. Zygmunt Krasiński był więc prawie rówiennikiem Napoleona IIgo króla Rzymu, którego gdy cała Francya uznawała być swoim synem, pełna dla niego i dla siebie świetnych nadziei, my, w pułku naszym podobnież uważaliśmy syna naszego dowódzcy, za dziecię pułku, i wróżbę tak szczęśliwie poczynającego się roku, i długo z upragnieniem oczekiwanéj kampanii... Gdy po skończonych wojnach, wojska polskie, nie z pomyśl-

nością, ale z czcią i sławą wracały od Sekwany do Wisły; korpus oficerów pułku ofiarował jenerałowi Krasińskiemu, jako swemu od Napoleona samego naznaczonemu pułkownikowi, piękny pałasz na pamiątkę wzajemnych uczuć. Jenerał powierzył ten oręż młodemu Zygmuntowi do zabawy, żeby się na takiéj pamiątce do podobnych uczuć zaprawiał, i kazał syna w dawnym narodowym stroju, bawiącego się owym pałaszem, odmalować, co artysta bardzo zaletnie wykonał; a Kajetan Koźmian napisał na ten obraz wiersz następujący:

„Pogrom Trojan, a Greków walecznych nadzieja
„Wiesz, czem się przed Ulissem wydał syn Peleja;
„Tak Twój Zygmunt do zabaw szablę twą przyswoił,
„A czego nikt nie dopiął... Ojca z niéj rozbroił!"

Niech więc to wspomnienie, będzie od dawnego przyjaciela choć małym listkiem do wieńca wawrzynowego i dębowego, jaki *osobista zasługa* uwiła na nieśmiertelność Zygmuntowi Krasińskiemu!

Po trudach znamienitéj kampanii, przeszedłszy Ren, i wypocząwszy nieco w Strasburgu; podzieliwszy pułk na pochodowe kolumny, szliśmy jako jazda, częstokroć ubocznemi drogami, niezajmując przepełnionéj piechotą, artyleryą i pociągami, pocztowéj drogi; i prócz miast znaczniejszych, stawaliśmy w większéj części po wioskach; sztab tylko pułku zostawał zwykle po miastach i miasteczkach. Już w marszu na wiosnę za Reu ku Dunajowi, uważaliśmy z zadziwieniem, idąc przez Alzacyę, że kraj ten niemówiący językiem francuzkim, zdawał się nam być całkiem niemiecki: ale natenczas pospiesznie marszerując, nie czyniliśmy nad narodowością Alzacyi dalszych uwag naszych; zdawało nam się, że ten kraj należący do Francyi od r. 1648, powinien był już stać się całkiem francuzkim; tak to obcy, sądzą o cu-

dzych krajach; my, co Śląsk znaleźliśmy już niedość polskim; tu, byliśmy przeciwnego zdania względem krainy która nas nieobchodziła. Niech nam to posłuży za naukę pobłażania jakiegokolwiek, tym pisarzom zagranicznym, którzy nie ze złéj woli, lecz tylko z niewinnéj niewiadomości, piszą o Polsce, jakby o jakiéj: *terra incognita*. Powiedzmy sobie, że wszędzie, tak w pojedyńczych osobach, jak i w zbiorowych narodowościach, przebija się zawsze samoistność (egoizm), bądźmy więc wyrozumiałymi, póki ta niby niewiadomość nie przechodzi w wyraźne szkalowanie.

Wracając się do Alzacczyków, teraz kiedyśmy więcéj zwiedzali ich wioski, mieliśmy sposobność uważać zbieg okoliczności szczególnych, jakich może w innéj krainie nigdzie nie ma. Wsie nieumiały języka francuzkiego, były jakoby całkiem niemieckie; wszakże duchem i patryotyzmem nawet stały się francuzkiemi. To przypisać należy, licznym zaraz werbunkom w Alzacyi za Ludwika XIVgo; już pod tem panowaniem, pułk *Alsace* osiągnął ducha służby — esprit de corps — tak dalece, że gdy przy szturmie do Barcelony, marszałek Vendomme chciał ten pułk cofnąć od wyłomu przy którym był wiele ucierpiał; książę Bawarski de Birkenfeld, dowódzca pułku Alsace, odpowiedział mu: „Je tiens d'autent plus à rester à mon poste, que la brèche est défendue par les Allemands Imperiaux, je veux leur montrer, que les *Allemands de France*, savent faire leur devoir“, to jest po polsku: „tem więcéj pragnę pozostać na moim posterunku, że wyłomu bronią Niemcy Cesarscy; chcę im pokazać że *Niemcy francuzcy* umieją dopełniać swéj powinności“. — Otóż to taki duch karności i punktu honoru wojskowego, rozszerzał się oddawna w pułkach alzackich, a cała prawie lekka kawalerya, mianowicie huzary, byli to Alzacczykowie. Do tego przyczyniły się reformy wewnętrzne od r. 1789. Alzacya spoglądała

z dumą na swoich rodaków za Renem, trwających jeszcze w feudalizmie. Do tego ducha nowo francuzkiego przyczyniła się także ta okoliczność: że w Alzacyi nie było owych dawnych rodzin arystokracyi francuzkiéj, która utrzymywała w właściwéj Francyi partyę rojalizmu; przeciwnie, wojsko rzeczypospolitéj, od początku rewolucyi aż do najświeższych czasów, zdobiło się imionami Alzacczyków, jako to: Luckner, Kellermann, ojciec i syn, Krieg, Kleber, Klarke, Rapp, Ekselmans i tysiąc innych, tak że gdy wówczas odbywaliśmy pochód nasz przez Alzacyą, mogła być uważaną za jednę z najżyczliwszych rządowi Francyi, a mianowicie też Cesarzowi Napoleonowi. Jenerałowie francuzcy, zwłaszcza kawaleryi, chociaż rodowici Francuzi, jak n. p. sławny Lasalle, przybierali obyczaje, i wyrażenia Alzacczyków, tak dalece: iż jenerał Lasalle podpisywał się literami niemieckiemi; wzajemnie też Alzacczykowie przemawiali do ziomków za Renem:

„O Brüder! teutsches Blut, ihr noch bethörten Krieger!
„Sagt eurer Knechtschaft ab, seid ferner Freyheits—Sie- (ger...
„Erkämpft euch dieses Recht, den man in Frankreich (lehrt,
„Sterbt frey, lehrt, sucht und macht: dass euch die Nach- (welt ehrt."

Co po polsku znaczy:

„Bracia! krwi niemiecka! o wy jeszcze obłąkani wojo- wnicy
„Wyrzeczcie się waszéj niewoli, bądźcie odtąd zwycięz- cami wolności,
„Zdobądźcie sobie te prawa których Francya uczy

„Umierajcie wolnymi, nauczajcie, szukajcie, i działajcie
tak, żeby was potomność czciła.“

Podobne do tych uwagi moglibyśmy czytelnikom podawać o tych prowincyach niemieckich, które późniéj na lewym brzegu Renu należały do Francyi, lecz gdy te zwiedzaliśmy dopiero w latach 1813 i 1814, przeto wstrzymujemy się z temi szczegółami, do wspomnień dalszych o pobycie naszego pułku gwardyi polskiéj nad Renem.

W przechodzie przez kraje Lotaryngii, byliśmy tak w Lunewillu jako i w Nancy, witani przez tamecznych mieszkańców jakoby od pobratymców, z uczuciem i serdecznością. Lotaryngia cała zachowywała pamięć rządów filozofa dobroczynnego, Stanisława Leszczyńskiego. Ubiegano się pokazywać nam pamiątki po tym królu i małżonce jego Katarzynie z Opalińskich, a oprócz nagrobków w Lunewillu, było ich wiele, jako to: szpital i różne zaprowadzenia, wychowania młodzieży, nauk i bibliotek w Lunewillu; a w Nancy, wiele pięknych budowl i zakładów z wielkim kosztem króla Stanisława wzniesionych. Zaiste! Lotaryngia jest to kraj wzywający Polaka do rozpamiętywania: Król Francyi ubiega się o rękę ślachcianki polskiéj, otrzymuje z niéj następcę tronu delfina, ulubieńca swego i całéj Francyi; królowa Marya żyje jeszcze i jest ozdobą dworu Francyi, a król Ludwik XV, nie ma dość energii żeby się sprzeciwiać upadkowi Polski, wtenczas kiedy Papież Klemens XIII. pisze do niego d. 30go kwietnia 1767 list, z którego wyjmujemy te słowa: „Votre Majesté sait, que tous les „peuples éclairés de la lumière de l'Evangile, ne forment „qu' un seul Corps qui est l' Eglise Catholique, dont Jesus-„Christ est le Chef. Aussi sommes nous surs d' avance „notre très cher fils en Jesus-Christ, que Vous n' aurez „pas appris sans en étre émes, les peines et les an-

„goisses de nos frères de Pologne, et l'extrême danger „ou se trouve en ce pays la Religion catholique. Les „Dissidens ont mis tout en oeuvre... pour changer la „constitution de la Republique, d'ou depend aussi le „sort de la Religion catholique. Nous pensons notre „trés cher fils en Jesus-Christ, que quiconque com„prendra les maux de ce Pays, et aura comme Vous un „coeur dévoué à la foi Orthodoxe, n' hesitera pas d' em„ployer tous ses soins pour écarter de l' Eglise cette „calamité... Dieu Vous a donné tous ces biens notre „trés cher fils, principalement pour defendre sa cause... „et pour eloigner par Votre autorité les violences qui „menacent l'Eglise son Epouse et Votre bonne mère. „C'est à Votre prudence de voir, par quelle voye il sera „plus facile d' atteindre ce but: Quant à Nous Nous „croyons avoir rempli le devoir de Notre Charge, en „Vous exhortant et cherchant à animer Votre ardeur, „pour que Vous saisissiez cette gloire qui parait appar„tenir en propre au fils ainé de l'Eglise.“ Takie było upominanie Papieża do Ludwika XVgo, o którym tyle tylko wiemy, iż kiedy się oddał ministrowi Duc d' Aiguillon, i dowiedział się o postanowionym podziale Polski, wyrzekł boleśnie te słowa: „Ah! si Choiseul eut êté ici, le partage n' aurait pas eu lieu.“ — Po Ludwiku XVtym nastąpił Ludwik XVIty, o wiele lat przed rewolucyą francuzką i upadkiem tronu francuzkiego, została podzieloną Polska r. 1772, a dopiero roku 1806 odezwał się monarcha Francyi do Polaków, z tem zdaniem: „że gdyby on był panował we Francyi za onych czasów, niezawodnie byłby na podział Polski nie pozwolił.“

Z takiemi to więc rozpamiętywaniami opuszczaliśmy Lotaryngią przesuwając się do coraz piękniejszych krain staro-francuzkich. W okolicach Epernay zdarzyło nam

się oficerom pierwszéj kompanii, być na noclegu, w wiosce niezamożnéj, w któréj nie było austeryi, a w takich wioskach za pieniądze żadnych wiktuałów niedostanie, bo Francuzi w takim razie albo odsyłają do karczmy, albo mówią: „nie jestem kupcem, nie mam nic na sprzedaż.“ Zostałem więc z dwoma oficerami mojemi, bracią Hemplami Stanisławem i Joachimem, zakwaterowany do księdza plebana. Jakież było nasze zadziwienie, kiedy on nas przywitał złamaną polszczyzną! Był to ksiądz niegdy emigrant, który zachowując miłe wspomnienia gościnności polskiéj, przyjął nas, jak mógł, ubogo ale chędogo, i rozrzewniał wspomnieniami o kraju, do którego już od lat kilku, tęskniliśmy. — Niedaleko ztamtąd w Chateau Thierry, miałem spotkanie innego rodzaju. W miasteczku tem, jako dowódzca kompanii, miałem kwaterę w domu zamożnym wdowy podeszłego wieku. Zwyczajem moim było, w podobnym przypadku, zgłosić się z wizytą do właścicielki; co uczyniwszy zostałem dość etykietalnie przyjęty przez matronę, w pokojach przypominających czasy dawniejsze. Rzekła do mnie: „to jak widzę, pan nie jesteś Francuzem?“ — nie mam tego zaszczytu — odpowiedziałem; — „a do jakiegoż to pan narodu należysz?“ — jestem Polakiem — „Pan jesteś Polakiem!... a to pan musisz być ślachcicem?“ Odrzekłem obojętnie: — w saméj rzeczy jestem nim. — „Ach pan jesteś ślachcicem! jak że ja jestem szczęśliwa, od tylu lat, pierwszego ślachcica posiadać w moim domu!“ i t. d. Dama ta, pokazując mi obrazki krewnych, ozdobione orderem ś. Ludwika, zaczęła się unosić nad instytucyą ślachectwa, sposobem odpowiednim zapatrywaniu kasty des Ci-devant, we Francyi; ale wcale niestósownéj do opinii w wojsku francuzkiem, a zatem, i w naszym pułku zaprowadzonéj, o któréj daliśmy już wyobrażenie w 1 wspomnieniu o pułku gwardyi polskiéj, w *Dodatku do Czasu* z miesiąca Grudnia r. 1856

stron. 12, lecz któréj nie możemy dość powtarzać: że w pułku naszym — a jak z pociechą widzę po pamiętniku pułkownika Wojciecha Dobieckiego — i w pułku ułanów nadwiślańskich, co bezwątpienia się stosuje i do legionów; nie znano innéj różnicy między towarzyszami broni, tylko tę, jaką daje: odznaczenie, zasługa, zdolność, nauka; nie pytano o ród, o majątek, wszyscyśmy byli bracia, bo Polacy, z tą jednak różnicą: że byli bracia starsi i młodsi, wszyscyśmy się kochali jak bracia, tak Radziwiłły, jak prości wieśniacy lub mieszczanie i przedmieszczanie, a zasady jakieśmy powzięli w dzieciństwie, od twórców konstytucyi r. 1791, utrwaiły się w nas, nową ustawą Księstwa Warszawskiego: „że w obliczu prawa wszyscy ludzie są sobie równi, tak jak katolicy w kościele“. — Batalion, szwadron, stojący w szyku, wyrównany, kilku oficerów przed frontem, a dowódzca na przodzie; to jest początek ślachty w Polsce; nieinaczéj ją pojmują najdawniejsi dziejopisowie; ślachta, było to wojsko: przez swywolę i czas, przeszło w pospolite ruszenie; a jak czas wszystko niszczy, tak zniszczył i tę instytucyę, niegdy poważną, później stającą się ciężarem... bo jak mówiła dama w Chateau Thierry, „noblesse oblige“... wszakże dożyliśmy i tego zmartwienia, którego źródło nie jest nam jeszcze zrozumiałe; że nam *straszliwie* uczeni nowocześni nasi chcą wyperswadować: że nie pochodzimy od Polaków! otóż ja dla nich ten ustęp piszę: żeby sobie przeczytali historyą oblężenia Saragossy przez Mrozińskiego, zdobycie Somossiery przez Niegolewskiego, i Dobieckiego o pułku ułanów nadwiślańskich, a powiedzą nam potem: czy nasi szeregowcy, pod-oficerowie i dowódzcy byli ślachtą polską? lub nie? i czy pochodzą od Lecha Polaka? czy od Lecha Niemca!... jeżeli zaś nieuznają ich za ślachecko urodzonych, to przecież będą musieli przyznać: że byli ślachetnie wychowani.

Gdyśmy się zwrócili z traktu paryzkiego od miasta Meaux do Senlis, doszła wiadomość do czoła kolumny naszego pułku, że gmina Chantilly — jak wiadomo, miejsce naszego garnizonu — zbierała się przyjąć uroczyście nasz pułk powracający z wojny; nadjechał więc i nasz pułkownik Krasiński, a d. 5 grudnia 1809 przyjęty był przez radę municypalną z prezesem swoim na czele, która się była udała na spotkanie i powitanie pułku naszego, wręczając dowódzcy wieniec laurowy z pochlebnem przemówieniem, do zwycięzców z pod Rio-Seco, Somosierry i Wagram, którzy po raz pierwszy połączonym pułkiem przybywają do nich do Chantilly na leże. Cała ludność Chantilly była się wysypała na powitanie nas, i wprowadziła pułk do téj dawnéj siedziby Kondeuszów z okrzykami: Niech żyją Polacy! Jest więc temu pół wieku jak za granicą jazda nasza takiéj doznała czci; daj Boże! by za drugie pół wieku, podobna jaka okoliczność podała imie i chwałę narodu naszego pamięci potomności.

Cesarz Napoleon wrócił był z Wiednia do Fontainebleau d. 26go października; natychmiast się zajął wysyłaniem posiłków do Hiszpanii, kiedyśmy zatem z początkiem grudnia stanęli w Chantilly, zastaliśmy już rozkaz żeby 150 koni z pułku marszerowało niezwłocznie do Hiszpanii pod dowództwem 1go majora pułkownika Delaitre, z odpowiednim sztabem, ponieważ tenże wyższy oficer miał dowodzić regimentem złożonym z różnych pułków gwardyi konnéj lekkiéj jazdy. Każdy z nas oficerów co wróciwszy na wiosnę z Hiszpanii, zaraz pospieszyliśmy z Paryża do Niemiec, życzyliśmy sobie choć przez chwilę wytchnąć w téj stolicy i odpocząć trochę w Chantilly — ale tak pułkownik Krasiński jak i mój szef szwadronu Tomasz Łubieński, wystawiali mi: że będąc dowódzcą 1éj kompanii jako porucznik pełniący obowiązki kapitana, będąc podany do krzyża wojsko-

wego polskiego i do dotacyi dziedzicznéj 500 franków rocznego dochodu, wypada mi podać się dobrowolnie do tego 1go oddziału hiszpańskiego; jakoż za moim przykładem poszli bracia Hemplowie Stanisław i Joachim, tudzież insi oficerowie których jednak prócz wachmistrza szefa Kiełkiewicza w tym pierwszym oddziale nie mogę sobie przypomnieć: to tylko wiem, że ledwie zobaczywszy Paryż przez dni kilka, i przebywszy w Chantilly czas ściśle potrzebny, do wybrania się w nowy tak daleki marsz 150 koni, wyruszyłem jeszcze przed Nowym rokiem na czele tego oddziału, bo ani major Delaitre, ani kapitan Szeptycki nie byli jeszcze gotowi do marszu, a zatem, sztab dla pułkownika Delaitra przeznaczony wymaszerował i dojeżdżał w drodze pod mojem dowództwem. — W Rembouillet, jeżeli się nie mylę, złączyliśmy się z oddziałem strzelców konnych gwardyi i Mameluków, którym dowodził szef szwadronu Kirmann dowódzca korpusu Mameluków: ten więc objął dowództwo połączonych oddziałów; nie pamiętam ich mocy — prócz naszego — tylko ztąd wnioskuję że Mamelucy prawie w całéj możebnéj liczbie wystąpili, że dowódzca ich sam był na czele, a przy nim płatnik korpusu Mameluków porucznik Merat pełnił ten obowiązek na cały regiment pochodowy lekkiéj jazdy gwardyi.

Wkrótce złączyliśmy się w Tours z dywizyą piechoty gwardyi, którą prowadził jenerał Roguet a który i naszéj jazdy objął zwierzchne dowództwo.

Postępując dość wolnymi marszami i każdodziennie obcując z oficerami francuzkiemi, przyszło zaraz w tym marszu, do częstych rozmów o projektowanym rozwodzie Napoleona z Józefiną; bolesne ta wiadomość sprawiła wrażenie na strzelcach konnych gwardyi, których pułkownikiem dowódzcą był wicekról włoski książę Eugeniusz Beauharnais, jak wiadomo, syn Józefiny. Strzelcy konni namiętnie kochali księcia Eugeniusza, uważali

go jako syna i następcę tronu Napoleona, bo go był za takiego przybrał; weterani ci wspominali z zapałem dowództwo pułku tego księcia, nim się przeniósł do Medyolanu, a Józefinę kochali jako anioła stróża, jenerała i 1go konsula Bonapartego; oni także po wielkiéj części mile wspominali jenerała Moreau, i częste miewali wieści: jakoby Cesarz z nim się był pogodził i że mu powierzy naczelnictwo w wojnie hiszpańskiéj... Z tych i podobnych rozmów owych dawnych żołnierzy rewolucyi, wynikało że projekt rozwodu był im bolesny — wkrótce gdy zamiar ten już się potwierdził, nieupatrywali ci weterani innego związku za granicami Francyi możebnym, tylko z królewną saską, bo to był jeden dwór przyjazny Francyi, i którego sprzymierzenie bliższe rokować mogło, co raz ściślejszy związek z Polską — można sobie wystawić że takie samo było zdanie *nasze*, nikt zaś w obecnéj kolumnie marszowéj nieprzypuszczał związku małżennego z dworami, z któremi się zostawało po kilkakrotnie, prawie ciągle i świeżo w zaciętych bojach. Tymczasem odbywały się dyplomatyczne negocyacye, które do nas niedochodziły, a późniejsze wypadki dowiodły, że zdania dawnych Guidów Bonapartego były szczere i rozsądne.

W dalszym pochodzie, przyszło nam po raz trzeci odwiedzić miasto Chattellerault wsławione, jakoby porwaniem Sabinek przez Polaków.

Gdy pierwszy raz przechodziliśmy przez Chatellerault w pochodzie do Hiszpanii, w zimie r. 1807 na 8my, nie było jeszcze najmniejszéj wzmianki, o owem — iż tak powiem — mitologicznem zdarzeniu... Kiedyśmy zaś wracali z Hiszpanii z początkiem r. 1809 już było się o téj wieści uciszyło, tem bardziéj zatem, teraz w zimie z r. 1809 na 10ty, ale ponieważ wzmianka o tem, jakoby zdarzeniu, w Nrze 8ym *Czasu* z d. 12go stycznia 1853, powodem była do reklamacyi naszéj w N. 22

z d. 28go stycznia tegoż roku, a następnie wezwani zostaliśmy d. 11go lutego 1853 do pisania w francuzkim i polskim języku, pamiątek naszych o owych czasach Księstwa Warszawskiego i owoczesnych wojnach Napoleona Igo; sądzimy więc, że tu jest miejsce, jeszcze raz nadmienić o tym epizodzie w Chatellerault, żeby z takowego błahego ale rozpowszechnionego zarzutu, najzupełniéj oczyścić imie gwardyi polskiéj lekkokonnéj Napoleona Igo, i przekazać dzieciom naszych towarzyszów broni, wiadomość o tym wypadku, odpowiadającą istocie prawdy; rzecz tak się ma:

Gdy na początku roku 1809 wracałem z Hiszpanii, zdarzyło mi się w mieście Barsac, sławnem winami, mieć kwaterę w domu zamożnym przez damy zamieszkanym. Stósownie do mego zwyczaju, oświadczyłem służącéj, że życzę sobie oddać wizytę właścicielce domu — po wielu trudnościach, zostałem nakoniec przyjęty. Przemówiwszy do dam obecnych kilka słów; rzekły do mnie: „Pan jesteś Francuzem?“ — nie mam tego zaszczytu, odpowiedziałem, jestem Polakiem; — „Czy „to być może?! myśmy wszystkie obawiały się pana przyjąć, bo miałyśmy na kwaterze oficera Polaka, który nam wiele nieprzyjemności wyrządził“. — Obeszło mnię to bardzo; nazwiska tego oficera, ani pułku do którego należał, nie umiały mi te damy powiedzieć, tylko poznałem z ich opowiadania, że to był jakiś oficer od piechoty; przedstawiłem więc tym damom: że w każdym narodzie, a nawet w każdym pułku, są ludzie niejednakowego wychowania; że mi jest wiadomo *dowodnie*, iż częstokroć oficerowie Francuzi bardzo się niegrzecznie i nad wszelki wyraz nieprzyzwoicie obchodzą po kwaterach we Francyi; starałem się sprostować opinię tych dam o naszym narodzie, trafiało się albowiem w tych przechodach armii francuzkiéj z Niemiec do Hiszpanii, że Francuzi będąc bardzo przykrymi dla gospodarzy swoich

straszyli ich Polakami, i różne niedorzeczności o nas — jakoby na postrach — wygadywali; taką też anegdotę puścili w obieg o mieście Chatellerault, które słynie z fabryk nożów, nożyczek i podobnych drobnych wyrobów. Prawda, że dziewczęta, z naprzykrzeniem nachodzą podróżnych, a także i wojskowych po kwaterach, żeby się pozbywać owych użytecznych drobiazgów które w koszykach roznoszą; to mogło dać powód do wieści: jakoby pułk 7my piechoty Księstwa Warszawskiego, dowództwa pułkownika Sobolewskiego, był dla gorąca, przedsięwziął wymarszerowanie z tego miasta wieczorem przy muzyce pułkowéj, i jakoby po za miasto wiele panienek i różnych kobiet było pułk odprowadzało, i że za miastem, gdzie był spacer gęsto drzewami wysadzony, pułk się był zatrzymał, i rapt Sabinek przez Rzymian był naśladował... trudno przypuścić, żeby pułkownik Sobolewski, rodzony brat Ignacego, znanego kilkokrotnego ministra, jeden z najznakomitszych wojskowych naszych, był pozwolił na taką niedorzeczność... Może co zaszło przy tylnéj straży pułku, ale Francuzi częścią złośliwie, częścią z nieprzyzwoitą wesołością rozgłosili ten, jakoby wypadek, który jak wszystkie podobnego rodzaju pogłoski, rósł z drobnostki do coraz większych rozmiarów. — Kiedy po raz drugi przechodziłem przez Chatellerault, słyszałem: że miasto zaniosło skargę do Cesarza, lecz ten miał odpowiedzieć: „Iż „jeśli się co stało, kobiety miasta Chatellerault same temu „są winne, bo uczciwe kobiety i panny, nie powinny „chodzić za żołnierzami, za ich muzyką po nocy.“ — Powtarzam więc, że mniemany wypadek w Chatellerault, nie miał nic w sobie osobliwszego, ani honor wojska polskiego obrażającego, a tem mniéj pułku gwardyi lekkokonnéj polskiéj Napoleona Igo, ani pułku ułanów nadwiślańskich; bo jeżeli co zaszło, to zaszło w piechocie, a pp. oficerowie pułku 7go piechoty Ks. Warszawskiego,

jeżeli jeszcze żyją, chwalebnie by uczynili, gdyby nam bliższą wiadomość o téj powiastce podali.

Postępując daléj ku Hiszpanii przeszliśmy miasto Angoulème którego położenie, zdawało nam się przypominać coś polskiego, niby Wawel skalisty, niby Kamieniec Podolski... oba rzekami wieńczone, tak jak Angoulème rzeką Charante (Szarant).

W okolicy lesistéj, niedaleko tego miasta, zdarzyło mi się mieć nocleg w domu, czyli raczéj w folwarku wiejskim, porządnie i dostatnio zabudowanym, ale w miejscu odludnem, do którego przez znaczne lasy trzeba się było dostać. Gospodarz, był staruszek wiejskiego stanu, przy kominku w krześle przesiadujący; posadzka w pokoju ceglana, ale izba obszerna, porządna, w któréj widać było zamożność; proszono mnię do obiadu, nakryto mi w tym samym pokoju w którym gospodarz przebywał; bielizna stołowa świeża, czysta, sztućce srebrne, obiad niewykwintny ale smaczny, gospodarski, wino domowe ale bardzo dobre, bo to już zbliżaliśmy się ku Bordeaux... zresztą cały ten dom był chłopski; kobiety i dziedzic już ożeniony, w sabotach. Czynię relacyę tych wszystkich drobnych okoliczności żeby czytelnikom dać obraz o chłopku francuzkim. — Po obiedzie, gdy przysiadłem się do mego gospodarza pod kominem, zaczął mnię staruszek badać: do jakiego pułku należę? kto jestem? i t. p. Gdy mu odpowiedziałem: że jestem de la Garde de l'Empereur — z gwardyi Cesarza — zawołał na syna: „Fanfan! — Franusiu — cóż mi to ten pan mówi, że jest ze straży jakiegoś tam Cesarza, cóż to ma znaczyć?“... na to mu syn tłumaczył jak było, a staruszek obracając się do mnie, odzywa się: „Panie! już wiedziałem żeśmy przestali mieć króla... ale żebyśmy mieli Cesarza... to pierwszy raz słyszę“.— I to się działo po kampanii wiedeńskiéj w końcu r. 1809, właśnie wtenczas kiedy nas dochodziły wieści o związ-

ku Cesarza z domem Habsburgów!... Otóż to jest obraz z ustronia francuzkiego, nie łatwy do pojęcia: żeby wieśniak tyle zamożny, tak mało wiedział o zmianach zachodzących w kraju; lecz to dowodzi, jak tam we Francyi fiskalność jest względna, czyli raczéj: że są podatki ale niema ducha fiskalności... bo gdzież u nas podobne zabudowanie folwarczne, mogłoby się ukryć przed bezustannemi odwiedzinami urzędników wszelkiego stopnia, a za ich bytnością, byłby dostatni gospodarz, aż nadto poznał hierarchią swego kraju.

Od połączenia się naszego oddziału z kolumną szefa szwadronu Mameluków Kirmann, marszerowaliśmy zawsze w uprzejméj zgodzie, a ile razy oficerowie wspólnéj kolumny byli razem na noclegu lub dniowym wypoczynku, zwyczajem wojska francuzkiego jadali wszyscy oficerowie obecni, u jednego stołu pod prezydencyą komendanta, którym tu był pułkownik Kirmann, prawdziwy typ Alzaczyka, jakeśmy tego rodu wojskowych francuzkich powyżéj skreślili. Mało co umiał po francuzku i wymawiał sposobem, czasami trudnym do zrozumienia; ale rzadko i to tylko w poufałości, np. ze mną, przemawiał po niemiecku, zwyczajnie używał tylko języka francuzkiego, był zapalonym oficerem francuzkim; od wstąpienia do wojska, słynął czynami nadzwyczajnéj śmiałości i siły, później zostawszy oficerem, wreszcie kapitanem, wsławił się komendami partyzanckiemi, jakoż, choć nie miał wyższego wykształcenia posunął go Cesarz na sztabsoficera swéj gwardyi, ale uwzględniając jego niższe usposobienie osobiste, oddał mu komendę Mameluków. Był pułkownik Kirmann rzadkim obrazem w staréj gwardyi: z natury Niemiec, z upodobania oficer francuzki, ze stroju Turek, wysoki, suchy, byłby dla obcych widzów śmiesznym, ale reputacya wielkiéj brawury, twarz naznaczona szramami od pałasza, czyniły go poważnym, a dobroć serca i uprzejmość umysłu

powszechnie kochanym, pod takim więc przewodnikiem obiadowaliśmy wspólnie, Szassery, Mamelucy i Polacy w miasteczku St. André de Cubzac nad rzeką Dordogne, a prowadząc rozmowę koleżeńską, o nowinach czasowych i o różnych przygodach wojennych, rozeszliśmy się dość późno w noc do kwater naszych. Ponieważ, chociaż tylko porucznik, byłem komendantem oddziału Polaków, którym miał być nieobecny pułkownik Delaitre; doktor naszego pułku Deplace, i inni sztabowi oficerowie kwaterowali przy mnie. Rozmawiałem jeszcze sam na sam, z doktorem Deplace, kiedy nas dolatuje hałas z ulicy, pomieszane krzyki, francuzkie i polskie, wyraźnie bitwa Polaków z strzelcami konnymi gwardyi. Żywo mnię to obeszło, a poczciwy Deplace, jako Francuz jeszcze z expedycyi egipskiéj, daje mi, niby przestrogę: „niech się nasza młodzież nie porywa na francuzkich wąsatych wiarusów! bo by na tem źle wyszła“... Ja wybiegam z domu i pospieszam do miejsca gdzie tumult... i cóż znajduję? strzelca konnego leżącego we krwi,... jak się pokazało, nieżywego i kilku szwoleżerów naszych, spokojnych ludzi, ubolewających nad tym wypadkiem. Strzelec konny zabity, był kowalem w kompanii, miał przezwisko Rebelle; był to człowiek wielkiéj siły, zuchwały, lubiący wszczynać kłótnie; w szynkowni więc, zaczepił Zielińskiego z Pragi pod Warszawą, który także wielkiéj był siły; wszczęła się kłótnia między obecnymi obu pułków, ale Polacy wyparli Francuzów z szynku na dwór, okna i ruchomości zostały potłuczone, a zaraz za drzwiami domu szynkownego padł strzelec konny Francuz, cięty pałaszem w tył głowy tak mocno, że doktor Deplace, natychmiast przywołany, już w nim nie znalazł życia.

Pierwsze to było zajście tego rodzaju między pułkami ztowarzyszonymi służbą i przychylnością. Jako czasowy dowódzca oddziału w którym się zdarzył taki

wypadek, mocno się lękałem odpowiedzialności i gniewu Cesarza, któremu to zdarzenie bezwątpienia a może i złośliwie, przesadnie doniesionem będzie. Rozżalenie i skargi mieszkańców, zagodziłem łatwo, płacąc im sowicie, za podane szkody przez tę kłótnię wyrządzone; względem zaś kolegów strzelców konnych, wypadało się stawić obojętnie; jakoż oni sami przyznawali: że poległy był człowiekiem niespokojnym, co samo przezwisko jego Rebelle oznaczało.

Nazajutrz gdyśmy się uszykowali do marszu, pan szef szwadronu Mameluków, komendant kolumny Kirmann, zapytuje mnię z góry: „jak to ja trzymam mój oddział, że się takich dopuszcza excessów?“ Na to ja: „Nie inaczéj trzymam moich Polaków, jak pan szef trzy„masz swoich szasserów, kłótnia była wzajemną, a za„czepka ze strony szasera który poległ; obrażony jest „przezemnie aresztowany, jeżeli p. szef, jako dowódzca „kolumny, chce go poddać pod sąd wojenny, niemam „nic przeciwko temu, ale przekonany jestem: że będzie „od kary śmierci wolny, bo go nieboszczyk obraził, a „miał reputacyą zaczepnika i kłótnika.“ — Na to poczciwy Kirmann: „ja WPana znam, foyez pien (voyez „bien) i bardzo żałuję, że się taki przypadek wydarzył, „ale to już nie odemnie zależy, lecz od jenerała Roguet, „który całą kolumną gwardyi dowodzi; radzę ci: po„jedź sam do niego naprzód do Bordeaux, żeby nie był „przez kogo złośliwie uprzedzony, foyez pien,“ — takie miał przysłowie szanowny i poczciwy Kirmann, Alzacczyk, wielki patryota francuzki, ale który niegodziwie mówił po francuzku, jakeśmy powyżéj zamieścili.

Udałem się więc naprzód do Bordeaux, lękając się jenerała dywizyi Roguet, którego nieznałem, a którego w piechocie gwardyi miano za bardzo surowego służbistę. — Zastałem jenerała u stołu, licznym sztabem otoczonego; gdy mu zameldowałem: „że jestem komendan-

„tem oddziału szwoleżerów polskich, i że mnię smutny „wypadek śmierci, jednego Francuza z gwardyi szasse„rów konnych, do niego sprowadza“, — odpowiedział: „przedewszystkiem, bardzom rad poznać WPana, siadaj „pan obok mnie, pomówimy z sobą, ja bardzo szacuję „i lubię Polaków; a co się tyczy wypadku, jaki się u „was w kawaleryi wydarzył: Cesarz na to jest wyrozu„miały; żołnierze zwłaszcza z różnych pułków, nie mo„gą się czasem nie pokłócić... Zresztą, jest to o jednego „ladaco mniéj... nie mówmy już o tem“... Tak się uspokoiła moja obawa pomsty nad Polakami, za śmierć jednego gwardzisty francuzkiego, i poznałem w jenerale Roguet, dowódzcę, który późniéj w każdem spotkaniu, okazywał się przyjacielem Polaków, i był wielkim wielbicielem Napoleona, i dzielnym wojownikiem.... żył długo i był zawsze jednym z pierwszych stronników Bonapartyzmu; — i obecnie jest w służbie Napoleona III jenerał Roguet, ale wątpię żeby ten sam, i nie miałem sposobności dowiedzieć się o jego osobistych stosunkach.

Oddział nasz wypoczywał przez dni kilkanaście w Bordeaux, tam zastałem list mego szefa szwadronu Tomasza Łubieńskiego, mojego wówczas wielkiego przyjaciela; w którym liście pisze: „że pospiesza donieść „mi o moim awansie na kapitana, że on pragnie być „pierwszym w doniesieniu mi téj nowiny“.... Na nieszczęście, polegając na tak poważnem zawiadomieniu, nie taiłem tego przed mojemi oficerami podkomendnymi, którzy znowu udzielili téj wiadomości oficerom od szasserów i Mameluków, przyszli więc do mnie ci oficerowie z życzeniami swemi, i odtąd tytułowano mnię kapitanem... aż później ta wiadomość nie potwierdziła się... okazało się że wprawdzie byłem na kapitana podany, ale Cesarz dopiero d. 17 lutego 1811 nominacyę podpisał, a mnie doręczoną została aż w marcu w Valladolid. Zawód ten był dla mnie tem boleśniejszy, że ja

nigdy nie pobłażałem, ani swojéj ani niczyjéj chełpliwości, i rad poprzestawałem na pełnieniu obowiązków kapitańskich od placu bitwy pod Wagram.

Atoli wówczas zastawszy w Bordeaux, zakład pułków pieszych Księstwa Warszawskiego, 4, 7 i 9 pod dowództwem pułkownika Wierzbickiego, przy którym byli kapitanowie: Popiel i Wasilewski, oraz kilku oficerów z ran i chorób rekonwalescentów, gdy mnię ci wszyscy kapitaństwem pozdrawiali i tytułowali, umyśliłem dać obiad dla oficerów naszéj kolumny jazdy gwardyi i pp. oficerów polskiéj piechoty, celem zapoznania się tych towarzyszów broni między sobą... co naturalnie sprowadziło dość liczne zebranie i wesołe toasty, przy winach jakiemi Bordeaux słynie.

W tem pobrataniu się kolleżeńskiem, pokazało się, że między stołownikami była znaczna liczba wolnych mularzy (maçon). Kapitan Wasilewski dawny mój znajomy z Warszawy, jako oficer ze sztabu księcia Józefa Poniatowskiego i siostrzan jenerałowéj Zajączkowéj; wiedząc, że się tłumaczę z łatwością w języku francuskim, namówił mnię i wielu obecnych żeby odwiedzić łożę massońską w Bordeaux i affiliować się do łoży. —

W Warszawie krewny mój daleki, ale przyjaciel bliski Jan Kanty de Rivière-Załuski, wówczas sędzia pokoju, z czasem prezes sądu apellacyjnego w Warszawie, był wielkim zwolennikiem i wysokim urzędnikiem massoneryi; skoro więc uzyskałem w Finkenstein nominacyę na oficera, przedstawił mnię w loży Izys w Warszawie, odbywającéj swe posiedzenia w domu czerwonym przy ulicy Mazowieckiéj; i zostałem massonem 1 stopnia to jest uczniem ... a późniéj przed wymarszem z Warszawy już do Francyi, wyjednał mi przewielebny mistrz katedry Jan Kanty Załuski drugi stopień massoński, to jest czeladnika... Ja zaś podzielając zapał mego krewnego i przewodnika w massoństwie w mowie pożegnalnéj

ofiarowałem do księgozbioru loży bilet mój prenumeracyjny na słownik Lindego, i zbiór map Polski pułkownika Perthes, z rozkazu Cesarza Napoleona w małéj ilości w Warszawie odbity; co tu nawiasem przytaczam bo te mapy Perthesa są tak rzadkie iż wielu o ich istnieniu powątpiewa, tak dalece, że gdy przed kilku laty pisałem do Wejmeru do wydawcy map p. Perthesa, pytając go o wiadomość o jego imienniku inżynierze Perthes pułkowniku w służbie polskiéj za Stanisława Augusta, i czy nie posiada map jego Polski do zbycia? odpisał mi: „że lubo się podobnie nazywa, nigdy nie „słyszał o pułkowniku inżynierze Perthes, a tem mniéj „o mapach Polski, jego roboty.“ — Niechże mi więc czytelnicy wybaczą, ten ustęp, nie mający związku z pułkiem o którym piszę, prócz tego uczucia: że co tylko obchodziło i obchodzi Polaka, nic z tego nie było obcem sercu oficerów polskich gwardyi Napoleona I.

Wracając do opowiadania dalszego pobytu w Bordeaux, piszę daléj, że kapitan Wasilewski, przedstawił mnię, jako aktualnego czeladnika wolno mularskiego warszawskiego, do awansu na massona mistrza, a Dominika Kiełkiewicza *) mojego wachmistrza szefa 1éj kompanii, jako adepta do loży wolno mularskiéj w Bordeaux.

Nieobeszło się bez tego, że miałem przemówienia do braci w tym sensie: „że jeżeli wszystkie narody wykształcone, coraz więcéj połączają się braterstwem ludzkości, to wszelako dwa narody francuzki i polski, już od wieków podzielały to wzajemne uczucie, które obecnie skojarzyły coraz ściśléj wielkie dzieła Napoleona.“

Dominik Kiełkiewicz zaś przechodził mężnie — o czem nie można było wątpić — wszelkie najwykwintniejsze

---

***) Pisząc to nie wiedział wydawca że major Dominik Kiełkiewicz były kapitan gwardyi polskiéj, świeżo umarł na Wołyniu.**

postrachy i próby zakonne. — Kiedy się mówi o massoneryi, a bezwątpienia po raz pierwszy i ostatni; niechaj mi wolno będzie w tem miejscu dodać: że gdy Antoniego Jankowskiego, 1go porucznika mojéj kompanii, przyjmowano w Paryżu do zakonu Massonów, a on pytany był według formalności wolno mularskich: „czyby się czuł sposobem zabić nieprzyjaciela zakonu, gdyby mu nakazano?...“ Jankowski zamyśliwszy się nieco, odrzekł głośno: „Mości panowie! jeżeli tu jest mowa o Cesarzu, to nie!“ Można sobie wystawić, jaki popłoch sprawił ten polski wyraz, w loży paryzkiéj... zewsząd odezwały się głosy: „Ależ, czyż pan możesz przypuszczać taką myśl!... to jest tylko pytanie naszego katechizmu... siadaj pan między nami... bez dalszych formalności“ i t. p. Ten to sam Jankowski który stracił życie w r. 1831 d. 15go sierpnia w Warszawie za niepobicie Rydygiera... był to jeden z oficerów naszych najzdolniejszych, odznaczony kilkakrotnie, ale nie wyżéj szefa szwadronu. — Nie byłem nigdy zapalonym Massonem, ale nie mając nic przeciwko zasadzie: ścisłego braterstwa, którego nas sama ewangelia uczy, owszem, ceniąc wysoko tę zasadę w organizacyi wojskowéj, nie unikałem od wolno-mularstwa... jednakże od Warszawy w jesieni 1807 roku, nie znajdowałem się w loży, aż wówczas w Bordeaux... lecz i tu, jakież spotkało mnię rozczarowanie?... kiedy okryty oklaskami usiadłem na ławie jako nowy i doskonały mistrz między mistrzami,.... aż tu wkrótce mój sąsiad z prawéj strony, podaje mi swój adres... a następnie to samo mój sąsiad z lewéj strony... jeden był rękawicznik a drugi passamonik, oba zalecali mi swój towar jako bracia bratu.

Zdaje się, że gdy Rewolucya Francuzka ostudziła wszelkie teorye, czyli mody, wieku 18go, a Napoleon ujął takowe z rygor szeregowy; korporacye Massonów,

pozostały tylko, jakoby igraszki niewinne. — W Warszawie, po r. 1814 uczęszczaliśmy znowu do Loży Izys, przeistoczonéj na Świątynię Kazimierza Wielkiego, a to z innych względów oprócz braterstwa ludzkości ..... ale co jeszcze ciekawsze: że w Petersburgu, imieniem Warszawskich braci, pozdrawiałem, w mowie polskiéj, braci Nadnewskich z Loży Orła białego, jakiż to przeciąg czasu, i miejsc! i okoliczności!.....

— Kiedyśmy, po mniéj więcéj przedłużonym, ze wszech miar bardzo przyjemnym pobycie w pięknem Bordeaux, mieli już to miasto opuszczać, wydarzył się następujący wypadek:

Urzędnik, imieniem Maira miasta (osoby w Bordeaux wysokiego znaczenia) przyprowadził do mojéj kwatery, starego Francuza zapłakanego, skarżącego: „że mu Polacy skradli skarb, zakopany w nawozie, stajni, w któréj kilkanaście koni polskich stoi, a te mają wychodzić w marsz“.

Przerażony, skargą tak ohydną dla imienia polskiego, udaję się natychmiast osobiście do rzeczonéj stajni... dopytuję się i słyszę: że niejaki Fareńko, były ułan austryacki, weteran, nietylko że stał w téj stajni; ale przez kilka dni, w zastępstwie za drugich, odbywał służbę stajenną... sam jeden zostając tam przy koniach przez kilka nocy... Wielkie podejrzenie padało na Farańkę; ale Sobański młodzieniec odznaczający się wychowaniem, przystępuje do mnie i rzecze: „Panie Kapitanie! ja ręczę, że nikt z nas téj kradzieży nie popełnił, a najmniéj Fareńko... proszę pana kapitana niebrać tego wypadku za żywo, a ja obiecuję, rzecz tę wykryć“... Wracam stroskany na moją kwaterę, upewniając onego komisarza magistratu: „że w krótce sprawa ta będzie wyjaśniona... te moje słowa, ani komisarza, ani poszkodowanego właściciela, wcale nie zadowolniły... aż w krótce, nadbiega Sobański z workiem

złota, i z radością wręcza mi takowy, mówiąc: „że był zakopany w nawozie, ale konie przez dni kilka stojąc na miejscu, skopały dawny nawóz tak, że staruszek, rewidując swoją kryjówkę, a widząc ją naruszoną, strach go ogarnął, i narobił wrzawy“. — Otrzymawszy worek złota, z rąk Sobańskiego, pytałem skarżącego: „wiele miał pieniędzy?“... najprzód bał się wyrzec, i przyznać do tak sporéj sumy... nakoniec ją podał... przerachowałem, było znacznie więcéj ... biorę więc z sobą Chevauleżera Sobańskiego, i Francuza skarżącego i udaję się w procesyi licznego ludu na Ratusz do Maira miasta... tłum ludzi się wzmaga, zwabiony krzykiem staruszka: „o dobrzy ludzie! o poczciwe Polaki!“— ja zaś korzystam z téj okoliczności, żeby w oczach Maira miasta Bordeaux, męża tak znakomitego, i w obec tylu świadków, podnieść opinię o zacności polskiego narodu, i honorze polskiego żołnierza, i przemawiam uroczyście: „Oto mam zaszczyt przedstawić panu Mairowi, „prostego szeregowego z pułku polskiéj gwardyi konnéj „Cesarza... nie tylko wraca właścicielowi pieniądze, „ale wraca więcéj, niżeli on podał .. prosi tylko pana „Maira, żeby temu mieszczaninowi dał naukę: na przyszłość skarbu w nawozie w stajni nie zakopywać, bo „gdyby tam nie byli stali żołnierze polscy, ale jaki „podróżny furman był to złoto naszedł, jest wielkie podobieństwo, żeby go właściciel nieodzyskał“. — Wypadek ten, stał się w Bordeaux rozgłośnym, gdzie wszakże już od r. 1808 polaków, to jest nasz pułk bardzo lubiono. Maire nie mógł się dość odchwalić i podziękować, odprowadzał mnie aż do schodów ratuszowych, lud zaś towarzyszył mnie i kolegom z pułku, aż do mojéj kwatery, z okrzykami: niech żyją Polacy.

Zaraz po tem zdarzeniu, oddział nasz opuścił Bordeaux i udał się w krainę zwaną: La Réole. — Nie wiem jaka zachodziła przyczyna, że wyprawiwszy nas z po-

śpiechem z Chantilly z pod Paryża do Hiszpanii, teraz zatrzymano nas w Bordeaux, i w rzeczonéj okolicy, a jak to późniéj zobaczymy, i przed granicą Hiszpanii.

Nie pomnę już, jak szew szwadronu Kirmann rozlokował całę swoją marszową kolumnę..... i czy stał w samem miasteczku La Réole? to tylko wiem, że ja z całym oddziałem Polaków stałem we wsi dużéj, od miasta La Réole, może o milę polską oddalonéj, któréj nazwiska jednak nie mogę sobie przypomnąć. Była to wieś podobna do miasteczka, tak dalece że miała oberżę w któréj my wszyscy oficerowie stołowaliśmy się razem według przyjętego w wojsku francuzkiem zwyczaju. Ja sam zaś miałem kwaterę na ustroniu, w domu który pałacykiem nazwać było można, i gdzie mnie gospodarstwo oboje raz na zawsze na obiad prosili... atoli podziękowałem im, tłumacząc się, że będąc kommendantem oddziału stojącego wtem miasteczku, nie mogę się oddalić od korpusu oficerów i z niemi stołować się powinienem, ale że wieczorami będę miał przyjemność uczęszczania do ich domu a nawet niektórych z moich oficerów im przedstawię.

Gospodarza mego, poważnego starca, członka dawnego parlamentu, co mu dawało znaczenie, ceniono na 12 tysięcy franków rocznego dochodu. Prócz obojga — których nazwisk nie pomnę — byli w domu syn więcéj jak dorosły, i córka dojrzała — cała ta familia z dobrem bardzo wychowaniem. W całym domu, a był to jak powiedziałem niemal pałac na piętro z ogrodem, była tylko jedna służąca i jeden służący; była para koni, bezwątpienia krowy i inny dobytek; na to wszystko obsługa wystarczała i w domu i w stajni i w ogrodzie, a było wszędzie i czysto i porządnie; drobnostki te notuję dla naszych czytelników, którzy nie odwykli od zbytku trzymania źle płatnych próżniaków.— Otóż w téj wsi czyli miasteczku, wydarzył się znowu innego ro-

dzaju jak w Bordeaux służbowy przypadek malujący karność naszego pułku i księdza wiejskiego francuzkiego. — W krótce po przybyciu naszego oddziału do téj wsi, zaniósł do mnie, osobiście ks. Wikary (może pleban) skargę na żołnierza Polaka, lecz umiejącego po francuzku, „że z niego szydził i nieprzyzwoitymi żartami „naigrawał się z niego, uwłaszczając szczególnie chara„kterowi jego duchownemu“.— Obżałowany był to syn znacznego kupca Warszawskiego; a że znałem go jako wesołego i uszczypliwego, kazałem go więc natychmiast aresztować; a że innego miejsca nie było wsadzić do piwnicy i zamknąć. — Gdy tak gwardyak jowialista w piwnicy siedział, i o głodzie tylko okienkiem z kratą na świat spoglądał; zdarzyło się że ks. Wikary tamtędy przechodził, aż tu więzień do niego: „a widzisz „pan coś swoją skargą zrobił! ja z WPana słowami „żartowałem, a teraz pan widzisz, jak nasz komendant „żartów nie rozumie.... ja tu siedzę jak zbrodniarz, i „Bóg wie! jak długo tu siedzieć będę!“ — Ksiądz to zobaczywszy, daléj mnie szukać, przypada rozczulony; „Ale Panie Kapitanie! cóż to pan począłeś z tym nie„szczęśliwym młodzieńcem? osadziłeś go w piwnicy, od „wczoraj tam siedzi.... a mógłżem ja się spodziewać, „że pan tak surowo weźmiesz, rzecz którą ja w pier„wszym żalu do niego zaniósłem?“ ja na to: „Mości „Księże! mówiłeś mi, że żołnierz polski, uchybił Ci „jako księdzu, ubliżył powadze jaką masz w téj wsi... „występek ten, według mojego sposobu widzenia, jest „nie mały, mianowicie dla żołnierza Polaka, katolika, „umyśliłem więc skarcić takowy surowo, i zrobić przy„kład“— Na to ksiądz, ledwie mnie po rękach niecałując: „Ah Mości Kapitanie! nie karaj mnie, nie zawsty„dzaj mnie! żeby ten młodzian, dla mnie, miał tyle cier„pieć“ i t. p. Na to ja, który rad byłem wypuścić biednego Warszawiaka, odrzekłem: „siedziałby w téj pi-

„wnicy tak długo, jak nasz oddział tu stać będzie, „żeby go nie naszła chętka, pomszczenia się na WPa- „nu,... ale kiedy sam za nim prosisz... to co innego“. Kazałem aresztanta przyprowadzić, i rzekłem do niego w obecności księdza: „Obraziłeś czcigodnego księdza, „zgorszyłeś wieś francuzką, naraziłeś sławę narodu na- „szego na zarzut: bezbożności; zasłużyłeś więc na przy- „kładną karę... lecz kiedy ten sam kapłan, zanosi za „tobą błagania... uwolnię cię, lecz pod tym warun- „kiem: że tego księdza publicznie przeprosisz, tak, ja- „keś go publicznie obraził, i dalszem postępowaniem „swojem — zwłaszcza że mówisz po francuzku, i masz „wychowanie po temu, naprawisz u tutejszéj ludności złe „zdanie, jakieby mogła mieć o polskiéj moralności“.

Tak się ta sprawa zakończyła, z wielką satysfakcyą księdza, a nawet z jego i parafian uwielbieniem. Jakoż to ksiądz był dziwnie przykładny, posuwający ślub ubóstwa, aż do ostateczności, bo żyjąc sam — można mówić — z jałmużny, udzielał wsparcia ubogim, przemawiał za nimi z wymową człowieka ukształconego, a sam był tak skromny i prosty, że się wydawało na pozór, jak gdyby był wieśniakiem bez wychowania; tak się umiał stosować do umysłu swoich parafian; to też był powszechnie kochany i słuchany.

Przebywając w téj wsi, doznaliśmy w okolicy La Réole, ja i oficerowie moi gościnności, którą się odznacza we Francyi: Gaskonia, kraj jeden z najpiękniejszych.

Powiedziałem już, że odmówiwszy gospodarstwu mojemu, zaproszenia na codzienne obiady, przychodziłem do nich wieczorem na pogadankę lub skromną partyjkę biorąc z sobą zwykle którego z oficerów. Zaraz pierwszego dnia, gdy gospodarstwo poczęstowali mnie kolacyą, wymknęła mi się z ust, pochwała ostryg téj okolicy, jakich my Polacy używaliśmy w Bordeaux, a któ- ra, jako mieszkańcy Kontynentu, niestety oddalonego

od morza, poczytujemy za specyał, bo rzadkość wielką. — Nazajutrz przyszedłszy na wieczór, zastałem kosz ostryg... zawstydziłem się i przepraszałem mocno, za ambaras który moją niedyskrecyą sprawiłem gospodarstwu... odrzekli: „że ostrygi u nich ani są drogie, ani daleko jak w Polsce“ i codziennie aż do naszego wymarszu, był zawsze kosz ostryg, ma się rozumieć: bezpłatnie. — Skutkiem tego zaznajomienia, ja i niektórzy oficerowie, co umieli po francuzku, byliśmy proszeni na obiady w okolicy; mianowicie, z powtarzaniem, do pułkownika Menou, weterana jeszcze z królewskich czasów, który zdawał się brać żywy udział w rozmowie ze mną o dawnych i teraźniejszych czasach, Francyi i Polski. Bezwątpienia, był on Burbonistą, ale że mnie widział Bonapartystą, więc rozmowy nasze miały cechę w zajemnéj delikatności, bez obłudy. — Nienarzekał on na niekarność naszego pułku polskiego — bo jéj nie doznał — ale był tego zdania: że w wojsku francuzkiem, karność się bardzo zmniejszyła, czyli osłabiła.... rozpowiadał mi: jak maszerując raz z swoim pułkiem piechoty od Renu do Paryża, zaszła między innemi, okoliczność: że posiadacz jakiegoś sadu, zaniósł skargę: „że żołnierze maszerujący po pod jego drzewa wiśniowe, sięgali w marszu po wiśnie“ kazałem zaraz — mówił pułkownik Menou — stanąć pułkowi, uszykowałem go, a naruszyciele cudzéj własności, ukarani zostali z wszelkim obrzędem, fuchtlami pałasza (coups de plat de sabre) — Taki sposób karania żołnierza, nie laską ale pałaszem, uważał szanowny, staroetatowy pułkownik za honorowy: musiała ta opinia być w ówczas i w Polsce, bo ja pamiętam jak w Krakowie w batalionach pułków piechoty Wodzickiego i Czapskiego karano tak honorowo: n. p. podchorążych, podoficerów, fuchtlami pałaszowymi.... słownik Lindego pisze: „fukiel“ ale ja słyszałem zawsze, od braci Moczydłowskich, co byli

podchorążymi w powyższych pułkach pod Racławicami, nie: „Fukle ale Fuchtle“. — Zacny pułkownik Menou, rozlubował się w tym rodzaju kary, który miał czas, w pokoju pompatycznie administrować; zdaje się że on podzielał systema ministra wojny St. Germain, który za Ludwika XVI, oburzał wojsko, zaprowadzając kary nadwerężające punkt honoru Francuzów.

Pytałem się pułkownika, czy był krewnym Jenerała Menou, komendanta w Egipcie po Kleberze?... odpowiedział skwapliwie: że nie, zdaje się: że siebie uważał: za noble (ślachcica) a tamtego za roturier (prostaka).

Podprefekt w mieście La Réole, przesadzał się także w grzeczności dla nas Polaków, i dawał dla nas oficerów obiad wykwintny, obfitujący w produkta krajowe: wina, trufle, oliwki; w tym pięknym kraju, mało co używają powozów. Damy przyjeżdżają na obiady konno lub na mułach. Po dwu tygodniowym pobycie, pożegnałem moich gospodarzów ojca i syna: zapisali sobie moje nazwisko, jakoż wkrótce, odebrałem od nich list, w Hiszpanii, z adresem: à Mr. Jaoulqui.

Maszerując ku Bajonnie, przebywaliśmy okolice piasków, les Landes, w Bazas albo w Dax widziałem mieszkańców z tamtych stron, których tam zowią Baskami — des basques — chodzących na szczudłach takiéj wysokości, że się równali z oknami pierwszych piąter domów miejskich; szczudła te, są w tamecznych piaskach powszechnie używane, a za ich pomocą, odbywają z łatwością szybkie i dość dalekie podróże. Baskowie używają ubiorów, wcale odmiennych, od zwykłego Francuzów stroju, odznaczają się nakryciem głowy, okrągłem, płaskiem, zwanem: bonnet basque. W roku 1808 miał Murat w Madrycie gwardyę osobistą Basków, dziwnie pięknie umundurowaną w stroju narodowym. — Lubo naród Basków jest jeden, po obu podgórzach Pi-

renejów, i język prawie jeden, dawnych Kantabrów, znalazłem jednak po obu granicach strój wcale odmienny; w tem tylko Baskowie Francuzcy i Hiszpańscy mają do siebie wielkie podobieństwo, że lud jest, bardzo piękny, zwinny i silny.

W Bajonnie zastaliśmy znowu rozkaz zatrzymania się w marszu, oddział Polaków cały, udał się do miasteczka Baskońskiego Ustaritz, pod samemi Pirenejami leżącego, nad rzeką Nive. Jest to ojczyzna Dominika Józefa Garat ministra sprawiedliwości w r. 1793 który Ludwikowi XVI czytał wyrok śmierci; w czasie cesarstwa był senatorem, i hrabią państwa, zawsze więc znakomitością: tenże opiekował się miejscem swego urodzenia i miał tam pałac; był wszelako i zamek okazalszy od domu Garata, ale bądź że trochę pustka, bądź że bez właściciela, więc Furyer mojéj kompanii Więckowski, ulokował mnie w pałacu Garata, a jako gorliwie do swego kapitana przywiązany, zajął się, przed nadejściem mojem, wyprowadzaniem ze stajni, 4ch koni cugowych obecnéj pani hrabiny Garat, chcąc zrobić miejsce dla moich. Nadjechałem, kiedy o ten postępek żarliwości mego Furyera, toczył się żywy spór: przeraziła mnie ta bezwzględność żołnierska na etykietę, i połajawszy Furyera za zbytek jego służbistości, kazawszy zaraz, konie hrabiny wprowadzić na swoje miejsce, pośpieszyłem do niéj; nie łatwo udobruchałem jéj rozdrażnienie: znalazłem damę paryżankę, już nie pierwszéj młodości, ale elegantkę w tonie pretensyonalnym; nie bez trudności wyperswadowałem jéj, że podoficer polski nie znał tego uszanowania jakie się jéj stopniowi należało, ale które mnie, jako i całéj Europie jest znane. — Owo zgoła, po burzy nastąpiła pogoda... i doznawałem od téj chwili, od mojéj gospodyni paryżanki wiele grzeczności — jednakże, nie prosiła prostego kapitana do stołu, tylko kazała mi nosić obiad

do mojéj kwatery. Ten ton górny, był dla mnie wygodą, bo się niepotrzebowaliśmy wzajemnie żenować, ale jednego dnia, znowu mnie to nabawiło kłopotu: kiedy moi porucznicy przyszedłszy do mnie w odwiedziny, a zastawszy u mnie desser-wety — jakich dawno niewidzieli, i słoiki z konfiturami; wszystko, jak szarańcza tatarska znieśli do szczętu.... Musiałem znowu wymawiać moich podkomendnych, tem: że oni nic nie mogąc dostać w Ustaritz, korzystali zbyt obcesowo z gościnności pani senatorowéj... ale i to było mile przyjęte, co dzień byłem w wyższych łaskach, aż zaproszony do spaceru wodnego na rzece Nive do Bajonny, towarzyszyłem pani hrabinie Garatowéj. — Tymczasem nadjechał z Paryża, czyli z Chantilly pocztą kapitan Szeptycki, objął dowództwo oddziału i kwaterę w zamku gdzie nie było ani właściciela ani kuchni. Za kapitanem Szeptyckim przybyły pocztą furgony z pikami i rymarzami. Lance te były więcéj kozackie niż ułańskie, to jest za długie, źle okute; z drzewa miękkiego, czerwono malowane, bez chorągiewek. Proporzec ułański różni się od piki kozackiéj w ten, że ta ostatnia, jest dowolnie długą, i częstokroć Kozak, oburącz nią niedołężnie kieruje, zaś proporzec ułański, powinien być tyle tylko długi, żeby mógł być zwrócony w prawo w tył bez potrącenia grotem o ziemię. Rymarze musieli się natychmiast zająć opatrzeniem strzemion tulejkami na tylce lanc, a siodła trokami do przypasowania karabinków, po lewéj stronie jeżdżca; ponieważ prawe ramię i cały bok prawy zajmowała kopia czyli lanca. Nie bardzo nam było na rękę ta broń nowa, bo oba szeregi zostały równo opatrzone lancami, nie porzucając karabinków, zachowując prócz tego, po parze pistoletów, a ma się rozumieć i pałasze: nie dawno byliśmy pobili Ułanów przeciwnych, nie mając lanc, tylko pałasze, ale przypomnienia Ussarzów starodawnych i Kopijników Sobieskiego, zapaliły naszą młodzież do broni

którą zwaliśmy im narodową, i jakoś to poszło, żeśmy ją sobie należycie przyswoili.

Zaraz po rozebraniu tych lanc, ruszyliśmy do Hiszpanii, zdaje się nawet że nasz oddział dla tego się zatrzymał pod Bordeaux i pod Bajonną, iż Cesarz chciał żebyśmy do Hiszpanii weszli z proporcami, co też nastąpiło bośmy się i o chorągiewki dwóch barw, czerwonéj z białą wkrótce postarali.

Weszliśmy zatem do Hiszpanii, mniéj więcéj z początkiem r. 1810, staliśmy znowu niejaki czas w Salvatierra w górzystem położeniu na drodze z Vittoryi do Pampeluny, zawsze pod komendą szefa szwadronu Mameluków pułkownika Kirmann. Kapitan Szeptycki, który był dostąpił tego stopnia i dowództwa kompanii 5éj po Stanisławie Gorajskim pod Wiedniem, oznajmił mi że ja istotnie byłem przedstawiony Cesarzowi na kapitana, ale że to przedstawienie wiele nominacyj obejmujące, jeszcze podpisane nie zostało. — Konsystencya nasza w Salvatierra, przedłużyła się, bo istotnie w górach Pirenejskich trudno było o téj porze roku jakie ruchy przedsiębrać. Śniegi zalegały całą przestrzeń naokoło, konie musiały być szeroko rozkwaterowane, bo nie było innych stajen tylko szczupłe po domach pojedynczych, które chociaż po większéj części piątrowe i z ciosowego kamienia, nie dostarczały jednak wygody w zimie ani dla koni ani dla ludzi — były to albowiem budynki okazalsze nad zwykłe wiejskie, opatrzone herbami nad wchodowemi drzwiami, ale bez okien, okiennicami tylko zaopatrzone, a jeżeli gdzie niegdzie były okna, to w nich zamiast śkła, szyby z papieru oliwą napuszczanego. Urządzenie takie może być bardzo stósowne w czasie lata, ale w zimie okiennice zawiane śniegiem, bez kominów, tem mniéj pieców. dostarczają bardzo niepociesznych kwater; do tego jednak dodać wypada, że w krajach tamtejszych na cały dom, bywa tylko jedno

ognisko, to jest obszerna kuchnia na poziemiu, nad którą wisi kocioł na ciepłą wodę na łańcuchu, ognisko to otoczone jest z trzech stron ławkami, na których cała rodzina z gośćmi przesiaduje naokoło ognia czyli kuchni, przed którą się jakie takie pieczyste na mechanicznem przyrządzeniu rożna obraca. Ognisko domowe jest patryarchalnym środkiem zebrania rodziny, nieróżniącéj się od prostoty wieśniaków, pomimo herbu i tytułu hidalgo (ślachcic), który w północnéj Hiszpanii w prowincyach: Asturya, Alava, Guipuscoa, Biskaja, jest niemal powszechny; w czasach albowiem kiedy Maurowie zawojowali większą część Hiszpanii, nie mogli się nigdy dostać w te północne strony, dla tego te prowincye mają swoje właściwe przywileje, i mnóstwo dawnego rycerstwa uślachconego jak u nas w Polsce, tak że niemal nad każdym domem jest herb wyryty.

W Salvatierra staliśmy ciągle pod bezpośredniem dowodztwem pułkownika Kirmann, i z tego miejsca mniéj więcéj z nim jak i bez niego, odbywaliśmy różne wyprawy na poskromienie snujących się coraz więcéj po kraju guerillasów, których my nazwaliśmy Brygantami. Nim się rozstanę na długo z szefem Kirmannem i z jego Mamelukami, nie mogę pominąć anegdoty którą miałem w jednéj expedycyi odbytéj pod tym komendantem Alzaczykiem z jego podwładnymi z Oryentu. Przenocowawszy w jakiéjś wsi hiszpańskiéj wspólnie, gdy zbieraliśmy się do wymarszu, nadbiegło kilku Hiszpanów zdesperowanych do siedzącego już na koniu szefa Kirmanna, żaląc się z płaczem, że zostali od Polaków zrabowani; oficerowie Mameluków, Abdala i Soliman, podburzali swego dowódzcę przeciwko szwoleżerom polskim; ten kazał mnię przywołać i pokazując mi skarżących Hiszpanów, rzekł do mnie: „zest les bulinais foyez pien!“ — ja na to zapytuję się Hiszpanów: po czem poznają że to Polacy ich zrabowali?... „bo ciągle na-

woływali się: Polaco! Polaco!“ — a jakże byli ubrani? odrzekłem ja — „tenian calzones muy largos encarnados“ — mieli szarawary bardzo szerokie czerwone — tu sam Kirmann nie mógł się wstrzymać od śmiechu, i obracając się do swoich Solimana i Abdali, rzekł do nich po swojemu: „zest les Mamelik foyez pien!“ a czytelnicy którym tę przygodę z Hiszpanii przekazuję, poznają, że i Turcy i Egipcyanie umieją dyplomatyzować przeciwko Polakom, kiedy im samolubny interes tak każe.

Z początkiem wiosny, to jest kiedy śniegi ustępując uwalniały komunikacye w Pirenejach, oddzieliliśmy się od strzelców konnych i od bezpośredniego dowództwa szefa Mameluków Kirmanna; cały nasz oddział dotąd jak wyżéj powiedziałem, nie więcéj jak 150 koni wynoszący, udał się pod komendą kapitana Wincentego Szeptyckiego do wsi Grannon (Granion) na drodze z Vittoryi do S. Domingo de la Calzada, tam czekaliśmy na przybycie pułkownika Delaitre, ćwicząc się przez ten czas w manewrach i mustrze z proporcami.

Nie mogę wyraźnie oznaczyć w jakiéj liczbie i pod któremi datami oddziały naszego pułku z Francyi przybywały. Kolega Mikułowski podaje mi, że on dopiero z Saint-Quentin wyprawiony był przez marszałka Bes sières do Paryża i do Chantilly z rozkazem wyprawienia nowego oddziału naszego do Hiszpanii; ale że Cesarz dopiero 27go kwietnia 1810 udał się z Cesarzową Maryą Ludwiką do Saint-Quentin, a kolega Mikułowski podaje że udał się do Hiszpanii pod komendą kapitana Jerzmanowskiego, i zastał już w Hiszpanii pułkownika Delaitra, więc z tego wszystkiego wynika że pułkownik Delaitre z oddziałem nowym zaraz z wiosny przybył do Hiszpanii, jakoż z tego czasu pamiętam kilka wypraw do których należałem: do Logroño, do S. Domingo de la Calzada, a najdalszą do Calahorra sławnego niegdyś

Calagurris przez zaciętą Rzymianom obronę. W tem więc z dawna patryotycznem mieście zdarzyła mi się scena pocieszna; byłem proszony na tertulią, tak Hiszpanie nazywają wieczorną zabawę, gdzie się rozrywają, rozmową, grą w karty (naypes), muzyką, częstują czekuladą (chocolate), wodą con azucar rosado, to jest z lekkim biszkoktem z cukru, olejkiem różanym zaprawnym itp. Były damy, kawalerów mało, grano na gitarach i śpiewano; koledzy moi i ja, byliśmy z naprzykrzeniem proszeni, żeby śpiewać; wymawialiśmy się że nie śpiewamy, tem mniéj gramy na gitarze; gdy to nic nie pomagało, więc ja powiedziałem: „że chyba zaśpiewam co po hiszpańsku“ — ach! jak to dobrze! — całe zgromadzenie nadstawia ucha, a ja zaczynam:

„Puesque sois Españoles valientes — es preciso lo days a intender
Al infame Opressor del Europa — que sus leyes os quizô imponer —
A las armas corred patriotas — a lidiar, morir o vencer—
Querra siempre al infame tirano — Odio eterno al impio Frances.“

Te słowa znaczą po polsku:

Kiedy Hiszpanie jesteście waleczni — trzeba żebyście to dali poznać
Niegodziwemu ciemięzcy Europy — co swe prawa nam chciał narzucić —
Do broni spieszcie patryoci — walczyć, umierać lub zwyciężyć —
Wojna zawsze niegodziwemu tyranowi! nienawiść wieczna bezbożnemu Francuzowi! —

Można sobie wystawić, jaki popłoch wszczął się w zgromadzeniu... niechcieli mi dać dokończyć zwro-

tki... „Ach zkądże to pan takie okropności powziąłeś?“ i t. p. Ja na to: — Widzicie panie, nie trzeba nas nieumiejących śpiewać na śpiewanie narażać... zresztą, co do treści tego śpiewu, i wielu marszów waszych, jakże chcecie żeby nam były obce, kiedy po tylu dziennikach hiszpańskich je rorzucone czytamy, równie jak i odezwę do naszego pułku: „Polacy! porzućcie barwy „wasze, karmazyn i białe, honoru i bez plamy. Wy co „sami wolności pozbawieni, nachodzicie obcy kraj, ka„tolicki jak wasz, żeby go w niewolę pogrążyć“.... „niechże Panie będą spokojne, jest cokolwiek prawdy „w téj odezwie narodu hiszpańskiego do nas Polaków, „my nie jesteśmy Francuzi, możecie panie i przy nas „śpiewać wasze patryotyczne pieśni.“ My zaś ten epizod tu przytaczamy, dla dania poznać czytelnikom naszym choć jedną piosnkę patryotyczną, jakiemi się wygłaszał duch Hiszpanów przeciwko mocarzowi który się względem Hiszpanii tak niepojętym sposobem zapomniał.

Calahorra która leży nad Ebrem, jest miejscem najdalszem na południowy wschód Hiszpanii do którego podjazdy naszego pułku dosiągły; czynności nasze, były zawsze więcéj ku północno zachodniéj stronie i ku Portugalii skierowane. Od Calahorry aż w okolice Leonu przechodziliśmy w różnych expedycyach, większych i mniejszych wiele miejsc których pamięcią objąć nie mogę, wszędzie wywiadując się o gierylasów i podjazdami takowych spędzając, albowiem ta wojna drobna ze strony Hiszpanów raz wraz się wzmagała i wszelkie ruchy większe wojsk francuzkich tamowała, najdalszym w tym samym co Calahorra kierunku był dla nas posterunek Riva-bellose, miejsce pięknie położone nad Ebrem godne swego nazwiska, w któremeśmy kilka dni stali, mianowicie z kapitanem Jerzmanowskim, ale którego na mapie znaleść nie mogę. — To tylko pamiętam

żeśmy złączeni pod dowództwem pułkownika Delaitre stanęli wkrótce na niejaki czas w miasteczku Bello-rado, które pomimo swego nazwiska położone było nad rzeczką wcale małą.

Tuśmy się połączyli z oddziałami z Francyi przybyłemi kapitana Jerzmanowskiego i szefa szwadronu Stokoskiego, z strzelcami konnymi gwardyi, którymi dowodził najstarszy szef szwadronu Martin i z Mamelukami jak już wiadomo, pod szefem Kirmannem. — Oddział naszego pnłku tym sposobem wynosił do 400 koni a cały regiment pochodowy pułkownika Delaitre więcéj jak koni 800.

Wypocząwszy i zebrawszy się w Bello rado, gdy już jenerał Dorsenne był objął komendę całego korpusu gwardyi i północnéj Hiszpanii w głównéj swojéj kwaterze w Burgos, cała lekka kawalerya gwardyi pociągnęła do miasteczka Castroxeriz (Kastrocheryz) blisko rzeki Pisnergi, i w tem mieście oraz w okolicy się rozłożyła.

Ten ruch odbywał się w końcu maja lub początkach czerwca 1810 r.

Podtenczas znaczny oddział naszego pułku towarzyszył Napoleonowi i jego nowéj małżonce od Paryża przez St. Quentin, Cambrai, Bruxellę, Antwerpię i inne miasta i porty północne; podobne wycieczki dworu powtarzały się przez cały rok 1810

Nim jenerał Dorsenne zajął swoją główną kwaterę miasto Burgos; był w niem i okolicznéj prowincyi gubernatorem, jenerał dywizyi Solignac. Nad brzegiem rzeki Arlanzon, w tych samych miejscach gdzie się biliśmy 10go listopada 1808, zastaliśmy nowy spacer, założony przez może zbyt żarliwego czasowego władzcę dawnéj stolicy Kastylii, który zapominając o nietrwałości rzeczy i spraw ludzkich, wpadł na myśl przeniesienia nad rwisty brzeg rzeki Arlanzon, na upiększenie francuzkiéj promenady, zwłok bohaterskich Cyda

i Ximeny (Chimeny), do umyślnie dość gustownie ale tak niestósownie, wymurowanego nagrobku, a to wszystko — jak się zdaje — jedynie dla tego, żeby w trzech językach podać potomności: że jenerał dywizyi Solignac, kości tak drogie pamięci Hiszpanów, z miejsca gdzie nie dość ozdobnie przechowane były sprowadził etc. etc. O tę uczynność patryoci hiszpańscy, nietylko pana jenerała francuzkiego nie prosili, ale boleśnie byli dotknięci tem świętokradztwem którego się dopuścił, na tak drogiéj pamiątce bohatera Don Ruiz Dias de Vivar, przezwanego od Maurów: el Cid, a od Hiszpanów: Campeador, co jedno i drugie znaczy zwycięzcę. Mnię samego choć nie jestem Hiszpanem, mocno obeszło to zarozumienie cudzoziemca, który poważne zwłoki dwóch osób narodowi tak drogich jak Cyd i Ximena, od r. 1099 spoczywające razem w świątobliwem miejscu w mieście S. Pedro de Cardena, przeniósł nad brzeg rwiącego potoku i zuchwale naraził może na zniszczenie! Sądzę że Hiszpanie jak tylko się oswobodzili od jarzma francuskiego, z pobożną procesyą znowu zwłoki Cyda i Chimeny, na miejsce dawnego spoczynku odprowadzili.

Korpus gwardyi pod dowództwem jenerała dywizyi Dorsenne pułkownika grenadyerów pieszych gwardyi wynosił według dzieła p. Thiersa od 15 do 18tu tysięcy, główną jego kwaterą było jak powiedzieliśmy miasto Burgos, ale Napoleon chciał żeby ten korpus gwardyi stał w rezerwie na przypadek jego przybycia a tym czasem żeby utrzymywał spokojność na trakcie madryckim, od granic Francyi aż do Valladolid, gdzie była główna kwatera jenerała dywizyi Kellermanna, syna marszałka sławnego niegdy natarciem jazdy pod Marengo, które się dzielnie do tamecznego zwycięztwa przyczyniło. Oba ci jenerałowie zajęci byli ciągle poskromieniem, bo więcéj powiedzieć nie można, Gierylasów, którycheśmy na próżno przezywali tylko brygantami. Od Bajony do Ma-

drytu, nietylko żaden pojedyńczy żołnierz ale żaden mały oddział, nie mógł się przemknąć bez napaści, wystawić sobie można, jak trudną i kosztowną była komunikacya kuryerów, według wyrazów jenerała Kellermanna do jenerała Berthier księcia de Neufchatel majora jeneralnego, trzebaby „głowy i ręki Herkulesa“ żeby téj wojnie hiszpańskiéj dać radę! To mi przypomina konwersacyą jednego ministra hiszpańskiego z Napoleonem przed r. 1808, gdy mu Napoleon w złym humorze oświadczył: „że w razie doznanych trudności od rządu hiszpańskiego, gotów jest wyprawić do Hiszpanii korpus 30 tysięcy wojska“ — tenże Hiszpan mu odrzekł: „WCM. tak „jesteś poważany przez naród mój, że i jednego żoł„nierza niepotrzebujesz użyć, dość jest pisma, tłumacza „woli jego, ale przestrzegam W. C. M. że gdybyś chciał „wbrew woli i praw narodu narzucić mu jakie jarzmo, „i 300,000 wojsk jego na to nie wystarczy.“ Były to słowa wieszcze, które Napoleon lekceważył, bo nieznał narodu hiszpańskiego, jakoż prawdę mówiąc, żadnego narodu nieznał, prócz może Francuzów i Włochów. — Owo zgoła, wracając się do stanu Hiszpanii w r. 1810. kraj ten, a mianowicie te okolice w których nasze oddziały konsystowały i były czynne, był bezustannie przebiegany przez dowódzców partyzanckich hiszpańskich, jako to: El Pastor, Portier czyli Marquesito, Longa, Marino, Elcura, Amor, Empecinado, Mina, Don Julian i wielu innych. — Raz wraz z naszéj strony chodziły oddziały przeciwko tym tak zwanym bryganŧom, którzy przynajmniéj z kawaleryi nie bali się tylko Polaków; tak dalece że ich wcale nie, albo rzadko zaczepiali; dla tego też nie było marszałka lub jenerała starszego, któryby nie chciał mieć przy sobie większego lub mniejszego oddziału ułanów nadwiślańskich, a ci z jenerałów którzy przejeżdżali z Francyi na Valladolid, albo na Valladolid do Francyi wracali, starali się o eskortę

naszego pułku. Jenerał Dorsenne lokując regiment marszowy pułkownika naszego Delaitre w Castroxeriz, miał zamiar zasłonić swoją główną kwaterę Burgos, od strony zachodnio-północnéj, od źródeł rzeki Pisnergi, która płynie od Asturyi do Valladolid, jakoż w te strony północne odbywaliśmy najwięcéj podjazdów. Ponieważ cały marszowy regiment lekkiéj jazdy gwardyi niemógł się zrazu pomieścić w Castroxeriz, więc znaczna część oddziałów z każdéj broni, zajęły czasowo wieś Sasamon dość znaczną, ale któréj nie znajduję na mapie Hiszpanii. — Pułkownik Delaitre założywszy główną kwaterę swoją w Castroxeriz, gdzie także powołaniem jego było zciągać z okolic w jak najobszerniejszym ile możności obszarze podatki i liwerunki, umyślił postanowić komendanta placu, któryby mu w tem zatrudnieniu pomagał; a jako daleko lepszy Francuz, niż gros-major pułku polskiego, powołał na ten niby urząd rodaka swego kapitana od szaserów gwardyi, Caire, wojskowego i oficera, nierównie starszego od nas wszystkich Polaków, ale który zwyczajem Francuzów, nie umiał ani słowa po hiszpańsku. Nie szło to jakoś, i pułkownik Delaitre zamiast oczekiwanéj pomocy, miał tylko kłopot i niecierpliwił się. Skończyło się na tem, że mnię zaszczycił swojem zaufaniem tytułem: komendanta placu de Castroxeriz y de Sus Alrededores, to jest miasteczka i jego okolic

Ale ponieważ gierylasy i znaczniejsze nawet siły zbrojne Hiszpanów, to zbliżały się, to zagrażały; więc odebraliśmy rozkaz przemienienia klasztoru, leżącego u stóp pagórka na którym stoi w długiéj linii miasto, w koszary ufortyfikowane, ile możności; klasztor ten był przez zakonników opuszczony, ale kościół choć podrujnowany, istniał, przedsięwzięto więc z wszelką możliwą przyzwoitością oswobodzić kościół z ruchomości świętobliwych, jako to: ołtarzów, konfesyonałów, organów i t. p. co lubo nieodbyło się bez trudności i kłopotliwych za-

biegów, to jednak w krótkim ile możności czasie, kościół i dolne kurytarze klasztoru po większéj części pomieściły konie, a cele i korytarze piątrowe, zamienione zostały w koszary dla ludzi.

Ponieważ w mieście Castroxeriz znajduje się dawny starożytny zamek hrabiów de Castro i wspaniała kolegiata opatrzona kilku kanonikami, więc ta zamiana przybytku poświęconego służbie Bożéj, na użytek wojenny, działa się tu z ciągłym udziałem duchowieństwa.

Cały obszar zabudowania klasztornego z kościołem, okolony został częstokołem czyli palisadą, tak, że między kołami były łuki czyli naturalne strzelnice, któremi jazda nasza zbrojna w karabinki, mogłaby się w razie napadu bronić, choć do czasu ogniem strzelby. W obrębie tym był dzień i noc oddział konny gotowy do wycieczki Służbowy kapitan i oficerowie mieli kwatery w celach. Refektarz był zamieniony w izbę dla chorych, a niektóre kurytarze i obszerniejsze stancye, urządzone zostały jako koszary, z naśladowaniem możliwem ecole militaire w Paryżu i Chantilly, dla szaserów i naszych, z tą różnicą że zamiast materaców były sienniki, zamiast dostatku stolicy i Francyi, chędogie ubóztwo wojskowe; kurytarze i izby nosiły według broni napisy imion poległych współtowarzyszów których pamięć była drogą.

Gdy te koszary zostały ukończone, sprowadził pułkownik Delaitre cały pułk swego dowództwa do siebie, i ulokował stósownie, to jest: wszystkie konie ile możności w rzeczonych koszarach, a kwatery oficerów skoncentrowane, ponieważ zaś miasteczko składało się, jakeśmy już powiedzieli z jednéj długiéj ulicy, więc u dwóch końców tejże stały mocne pikiety konne, strzegące we dnie i w nocy od niespodziewanego napadu.

Taki jest obraz naszego kilkomiesięcznego pobytu w Castroxeriz: wyprawy większe z rozporządzenia jenerała Dorsenne, mniejsze z polecenia pułkownika Delaitre,

w miarę dochodzących go wieści o partyzantach hiszpańskich, a w miejscu bezustanne czuwanie, jak to Francuzi mówią: *sur le qui vive.*

Oto jest obrazek tego naszego położenia: blisko płynęła rzeka Pisnerga, sławiona w poezyach hiszpańskich z swego wdzięcznego koryta; gorąca letnie zachęcały do użycia kąpieli, za daleko jednak płynął ten strumień żeby żołnierze szeregowi mogli z niego korzystać, prócz podbradzania koni z należytą eskortą; my zaś oficerowie za opowiedzeniem się starszym, na przemian używaliśmy kąpieli konno, to jest że nasi służący trzymali nam konie u brzegu, żeby w razie napadu choć bez munduru, w stanie Hypocentaurów mogliśmy uchodzić do miasta.

Castroxeriz jest dawną bardzo, w mgle czasów ginącą pamiątką starożytności; na górze pod którą w wieniec rozłożone jest miasto, znajduje się płaszczyzna dość obszerna, starymi wałami jeszcze widnymi okopana; twierdzą że tu Juliusz Cezar obozował, że ztąd pochodzi miano: Castroxeriz, jakoby w zepsuciu: Castrum Caesaris. W każdym razie jest tu poniżéj góry Cezara, ale w miejscu dość podwyższonem, zamek czyli pałac z czasów bliższych, ale w stanie spustoszenia, znacznego rozmiaru i z obszernym dziedzińcem, w obrębie którego odbywały się nasze zaciąganie warty, parady i inne wojskowe zgromadzenia; zamek zaś zamieniliśmy po części w areszt; ponieważ jednem z zatrudnień naszéj komendy było ezekwować podatki i liwerunki, przeto można się domyśleć ile ta operacya była trudną, pracowitą dla naszych żołnierzy i koni, a połączoną z wielkim i niepotrzebnym rygorem.

Gdy więc okazało się, że wysyłane na exekucye oddziały, wracały z drobnym pieniężnym okupem, ale bez istotnego uiszczenia podatków i bez liwerunków; więc jednę i drugą salę zamkową urządzono na areszt dla

Hiszpanów znaczniejszych jak się to mówi: honoratiores. Gdy zatem z wiosek okolicznych nie wpływały podatki i kontrybucye zboża i furażów, posprowadzaliśmy z każdej wsi: plebana, ślachcica, jeżeli jaki był, alkaldego czyli wójta, corregidora czyli podwójciego, słowem osoby znaczniejsze jakich można było w któréj wsi dostać, tych osadzano w tych aresztowych celach, gdzie starano się z miasta dostarczać im wygód i wiktuałów, póki ich współsąsiedzi i przyjaciele niezaopatrzyli, a czego im nasze warty nie broniły. Ci tak aresztowani zakładnicy, póty zostawali w tych salach zamku hrabiów de Castro, póki ich wsie nie wykupiły, dostarczeniem należności rozpisanych, z pomnożeniem exekutnego dla oddziałów żołnierzy, tą przykrą dla nas służbą trudniących się.

Z początku poczytywali sobie Hiszpanie, zwłaszcza księża, te militarne aresztowania, za wielki wstyd i nieszczęście; ale jak się przekonali, że to dopełniano, — prawda z nieprzełomnym rygorem — ale zresztą z obejściem się ludzkiem, nawet z pewną grzecznością; gdy pojęli perswazyę: że to się dzieje z konieczności, i że lepiéj było ich na krótki czas aresztować, niżeli wsie i dobytki ich na rabunek wojskowych narażać; tak się ci zakładnicy i wsie okoliczne przyzwyczaiły do tego systemu surowéj bezstronności... że wszelkie zaległości i bieżące należytości, nietylko zostały pouiszczane, ale za wypuszczeniem zakładników z lekkiego aresztu, odtąd regularnie wpływały, tak dalece, że sale z aresztantów wypróżnione, za staraniem znakomitego naszego kolegi porucznika Józefa Hofmana, lwowianina niepospolitéj nauki, pełniącego przy pułkowniku Delaitre urząd oficera płatnika i jakoby szefa sztabu; te sale, miejsce aresztów, zamienione zostały... w sale balowe! Nie było tam sprzętów, elegancyi i wygody, ale ławki naokoło murów oczyszczonych, posadzki ceglane wy-

gładzone, oświetlenie w zawieszonych improwizowanych pająkach, strojnych w wieńce i kwiaty równie jak i ściany; kapela z trębaczów szaserskich i naszych, między którymi byli i wirtuozy na różnych instrumentach. Otwarciem tych sal balowych, które nic podobnego od wieków niepamiętały był obchód imienin Karola Delaitre pułkownika, transparentem przez czcigodnego Hofmana ozdobiony. Tego dnia był nacisk wielki nietylko matron i dziewic hiszpańskich ale i obywateli z miasta i okolic, na uczczenie pułkownika komendanta przybyłych, którego rządy polskie, acz surowe, nadto korzystnie odbijały od rządów gdzie indziéj przez Hiszpanów doznawanych.

Odtąd kiedy sale były już wolne od aresztantów, a wyczyszczone i odświeżone, bywały częste zabawy tańcowe, niedzielne i świąteczne, na które Hiszpanki zwłaszcza młode, chętnie przybywały, przekładając nad Francuzów Polaków, którzy lepiéj pojmowali język hiszpański, i młodsi byli od weteranów gwardyi Napoleona. Pomiędzy gośćmi bywali i księża, jednego muszę tu dla osobliwości wymienić: był to ksiądz ze wsi Sasamon, którego rzemiosłem zdawało się być tancmistrzostwo. Różnił się od współksięży strojem zupełnie świeckim, nosząc frak barwy tabaczkowéj; do obu łydek przyczepiał dwa naprzeciw sobie sterczące noże (cuchillos) porozkładał jaja w pewnych od siebie rozmiarach, jakby w szachownicę, zawiązał sobie oczy, i tańcował po hiszpańsku z kastanietami (castanuelas) dając skoki gwałtowne tak zwane *entrechats*, żadnego jaja nie zgniótł i nieokaleczył się. Był to taniec sztuczny ale bez żadnego wdzięku; tu się przytacza ten szczegół, jako odznaczający duchowieństwo krajów południowych. Tam gdzie jest księży bez liku, muszą być i nadużycia, w naszéj Polsce nieważyłby się duchowny popisywać takiem kuglarstwem skoczka.

Co do tańców hiszpańskich, te lubo mają wiele wdzięku, przypisać to wszakże należy kobietom, b tancerze mężczyźni, zwłaszcza na teatrze, więcéj ubiegają się za sztucznością jak za wdziękiem.

Jenerałowie Dorsenne w Burgos, Kellermann w Valladolid, dawali częste bale, zwłaszcza obchodząc różne uroczystości dworskie i polityczne, na które oficerowie nasi według wyboru pułkownika Delaitre jeździli. Niepamiętam która z dam pełniła obowiązek gospodyni balów jenerała Kellermann w Valladolid, ale mi się zdaje że hiszpanka margrabina San Felices; zaś w Burgos przyjmowała pani jenerałowa Dorsenne, paryżanka, z dworu cesarskiego, wspaniała i pełna wdzięku osoba, zachęcała ona towarzystwo do wesołości i zabawy, lecz mężczyźni hiszpańscy unikali ile możności od tych balów, składających się wprawdzie z licznego towarzystwa pań hiszpańskich z córkami, ale tancerze byli prawie wyłącznie wojskowi.

Ponieważ jenerał Dorsenne, o ile pamiętam prócz nas nie miał innéj kawaleryi, zatem często, żeby nie powiedzieć bezprzestannie, nakazywał większe i mniejsze wyprawy w różne strony, czasem z piechotą pod dowództwem jakiego jenerała lub wyższego oficera od piechoty, czasem tylko z saméj jazdy. — Nieraz oddalał się z Castroxeriz na podobne wyprawy sam pułkownik Delaitre, ja nie pamiętam żebym z Castroxeriz był brał udział w takiéj wyprawie, jak raz ze szefem szwadronu Stokowskim aż do miasta Palencia, gdzie wszelako żadnego oddziału hiszpańskiego nienatrafiliśmy, bo od naszych proporców z daleka widocznych, Hiszpanie radzi się usuwali. Kiedy pułkownik Delaitre opuszczał Castroxeriz, to ja musiałem zostawać na jego miejscu, bo na mnie polegał zarząd administracyjny tego miasta i jego okręgu.

Między wyprawami które zapamiętam, zaszła bitwa pod tem samem Bello-rado w którememśmy, jak się wy-

żéj mówiło, dość znaczny odbyli spoczynek; odznaczył się tam kapitan Szeptycki pod komendą jenerała piechoty Roguet, i był o téj potyczce artykuł w ówczesnym Monitorze.

W czasie tym różne przychodziły urządzenia króla Józefa, za wcześne, obrażające zwyczaje narodu; między innemi zakaz chowania zmarłych, w kościelnych grobach i polecenie zakładania cmentarzów w polu. Zdarzyło się, że jakiś obywatel poważniejszy umarł, przyszła deputacya do mnie z prożbą, żeby tę szanowną osobę pozwolono było pochować w kościele, ofiarując za to zapłatę jakiéjby żądano. Ja który nie pojmowałem użyteczności takich reform, niepokojących lud hiszpański, pozwoliłem bez trudności i bez opłaty.... odeszła deputacya uradowana, a gdy się potem ukazał pułkownik Delaitre, idący w niedzielę do kościoła, otoczony swym sztabem, towarzyszyły mu orszaki muzykantów i tańcujących z bukietami i kastanietami.

Jednakże nabożeństwa nasze niepodobały się Hiszpanom starszym, a zwłaszcza kanonikom, bo do mszy asystował oddział wojska z bronią, i lubo podczas podniesienia prezentowano broń, wszelako żołnierze zachowywali czapki na głowie, a oficer komenderujący paradą kościelną odzywał się głośno po kościele, co było według zwyczajów wojska francuzkiego: prócz tego w korpusie oficerów towarzyszącym pułkownikowi, zasiadającemu w krześle przed wielkim ołtarzem, znajdowali się i Mamelucy; z tych powodów Hiszpanie zwali ten obrząd: *misa politica*.

Miałem więc takie zdarzenie i to z księdzem u którego sam stałem kwaterą, przyszliśmy do kościoła o godzinie naznaczonéj, z paradą kościelną i pułkownikiem na czele; nie zastaliśmy księdza. Na zapytanie na kogo koléj mieć mszę? odpowiadają: że kanonik u którego ją stoję — posyłam do niego, kazał odpowiedzieć: „że

chory i leży". — Delaitre się rozgniewał, wyszedł z kościoła z całą paradą kościelną, i polecił mi ten wypadek sprawdzić, a w razie zmyślonéj choroby ukarać. — Ja wiedząc i widząc, że ksiądz acz stary jest zdrów, ale nie chce odprawiać nabożeństwa, które uważał tylko za polityczne; kazałem mu w łóżku leżeć 24 godzin, przynajmniéj żeby sił nabrał, a dostawiłem mu dwóch żołnierzy coby siedzieli przy nim i pilnowali żeby łóżka nieopuszczał; ci zaś zmieniali się co godzinę, a JMć ksiądz płacił każdemu po pesecie (peceta wartość i pierwszy typ cwancygiera). Po téj kuracyi ksiądz kanonik już nie chorował i mszę ś. odprawiał gdy koléj na niego przychodziła.

Jakkolwiek powszechność hiszpańska była przeciwko Napoleonowi, a w skutku i przeciwko Francuzom uniesiona, miał w tem winę sam mocarz, który jak się tyle razy mówiło, niepotrzebnie i niegodziwie podszedł naród i rząd sąsiedni, nietylko przyjazny ale podziwiający go... Zdarzali się więc nawet i księża światli, ubolewający bezstronnie nad tem nieszczęściem... a byli i tacy co sprzyjali reformie a tych nazywano Afrancezados. Takim był w Castroxeriz alcalda (wójt czyli burmistrz) nazwiskiem D. Manuel Cobo u którego miał kwaterę pułkownik Delaitre. Ten Cobo rozżalony był na Hiszpanów, że ojca żony jego jak twierdził niewinnie rozstrzelali; do tego zapaleńca, jeszcze raz wrócimy, ale teraz jest na czasie wspomnieć o innym wypadku i onego następnościach.

Jakeśmy to już tyle razy powtórzyli, ani obecność króla, ani wielokrotne zwycięztwa niepomagały, gieryllasy czyli powstania, we wszystkich okolicach wzmagały się, komunikacye nasze coraz stawały się trudniejszemi. Zrazu posyłaliśmy z Castroxeriz raporta nasze do jenerała Dorsenne do Burgos, i korespondencye na pocztę przez dwóch konnych żołnierzy. Gdy ci częstokroć dojechać nie mogli, posyłaliśmy brygadyera z 4ma ludźmi;

a gdy i takie małe oddziały nie były dostateczne, musieliśmy dla pojedynczego listu wyprawiać oficera z 25 końmi, co u nas stanowiło pluton, czyli czwartą część szwadronu; była to korespondencya zbyt kosztowna, następujący wypadek spowodował jéj zmianę.

Razu jednego porucznik Maciéj Mierzejewski był komenderowany na taką korespondencyą do Burgos, a doktor pułkowy Deplace znękany słabością i tęsknotą za krajem, otrzymawszy pozwolenie wracać miał do Francyi i w towarzystwie swego służącego miał rozpocząć swoją podróż pod zasłoną plutonu Mierzejewskiego. Ale gdy literat, filozof, dosiadł raz konia, niecierpliwy nie chcąc czekać na zebranie się plutonu, zawoławszy swego służącego także konnego, puścił się w drogę ku Burgos, a oddaliwszy się tak że go eskorta widzieć nie mogła zostali oba zamordowani, a konie ich i wszelkie rzeczy zabrane, ciała zaś obnażone, porzucone. Mierzejewski nadciągnąwszy, przysłał zaraz parę ludzi z raportem o tem zdarzeniu, a sam podążył do Burgos upatrując nie przyjaciela po drodze.

Nim do dalszego dochodzenia tego zabójstwa przystąpimy, mamy sobie za obowiązek podać pamięci czytających osobistość Dra medycyny Deplace: był to mąż wysokiéj nauki i jako taki, miał udział w wyprawie egipskiéj, w któréj się zaznajomił z pułkownikiem Delaitre, wówczas adjutantem jenerała Klebera. Deplace był charakteru najślachetniejszego i najsłodszego, od wszystkich powszechnie szacowany i kochany. Wielki przyjaciel narodu naszego a zwłaszcza zdrowéj krwi i urodziwości ludu polskiego; twierdził i opisał medycznie: że nigdzie podobnéj urody, a mianowicie tak pięknych i zdrowych piersi nie widział jak w Polsce. Dzieło jego w tym przedmiocie wydane drukiem pod tytułem: *Sur l'alaitement maternel* — o karmieniu macierzyńskiem —

nosi godło oddające zwięźle usposobienie autora: „Incipe parve puer, risu cognoscere matrem!“

Miałbym się za szczęśliwego, gdyby ta krótka wzmianka o doktorze Deplace, i jednem z jego dzieł posłużyła komu z rodaków do pocieszenia rodziny Deplace o któréj z żalem naszym, nie mieliśmy nigdy bliższéj wiadomości.

Po takim wypadku', gdy nas doszła wieść, że ten mord był popełniony przez bandę 13tu do 14tu ludzi, na koniach czy mułach, która się zjawiła na drodze naszéj do Burgos; wyruszyliśmy przededniem we dwa szwadrony polskie; ja prowadziłem jeden szwadron z lewéj strony, kapitan Jordan Hermolaus drugi szwadron, z prawéj strony, i mieliśmy się w wyznaczonym punkcie zejść Przetrząsnąwszy całą okolicę,... cóż się stało?... nie nadybaliśmy nic... a gdy oba szwadrony razem wróciły, znużone ogromnym upałem, na który nam zachorował w marszu porucznik Wincenty Mikułowski; upewniali nas niektórzy Hiszpanie, że ta banda ścigana widziała nas przechodzących w odwrocie, ukryta w parowie... taka to była wojna hiszpańska: wiele trudu, wiele straty pojedyńczéj, a skutku mało lub nic. — Po tym wypadku umyśliłem korespondencyę naszą urządzić w sposób coby nieutrudzał wojska, nikogo nienarażał, a był najpewniejszy. Wysyłałem po kolei wszystkich starszych księży z miasta; municypalność dostarczała muła z wygodnem siedzeniem i przewodnika na mule; przywoływałem kanonika lub plebana, i ofiarując mu pieniędzy na drogę — jeżeli chciał — doręczałem expedycyę do sztabu jenerała Dorsenne, oświadczając: że za całość i dostateczny pośpiech odpisu, odpowie mi cały majątek ruchomy Jegomości pozostający w Castroxeriz.“ Kolega Mikułowski podaje mi w swych notatkach, że pierwszym z księży których tym sposobem wyprawiałem do Burgos, był jego gospodarz D. Antonio Itero.

Z początku zdawało się to tym duchownym arcy twardem wymaganiem; ale gdy im przedstawiłem: że do tego jestem zmuszony, przez zdarzające się często przelewania krwi niewinnéj; że przez tę fatygę którą podejmą wielebni ojcowie, oszczędzą tych krwawych ofiar nietylko francuzkich ale i hiszpańskich; że wreszcie taki już jest rozkaz który się zmienić nie może; zgodzili się ojcowie i sami między sobą koléj ułożyli, bo taka korespondencya odbywała się dwa razy na tydzień.

Oprócz rozkazów jenerała Dorsenne, odbieraliśmy przez Burgos wiadomości od naszego sztabu pułkowego z Chantilly, a nawet listy z Polski i gazety różne mianowicie Journal de l' Empire. Wiedzieliśmy o zaślubieniu Napoleona z Maryą Ludwiką córką Cesarza Austryi, i paradach z tego powodu odbytych w Paryżu, na których po raz pierwszy wystąpił na czele naszego pułku, pauker po staropolsku bijący w kotły w stroju narodowym w kontuszu, który niepospolicie zajął widzów paryzkich. Skutkiem tego aliansu z Austryą, coraz więcéj odbieraliśmy nadziei wojny z Rosyą; razu jednego gdy expedycyę z Burgos przynosiłem pułkownikowi Delaitre zapytał mnie, jak zwykle: coby tam było nowego?.. „Dobre nowiny panie pułkowniku — odpowiedziałem — „wojna z Rosyą jest niewątpliwą“... — „I to WPan „nazywasz dobrą nowiną! — odrzekł pułkownik — dla „mnie ona jest najgorszą; naród polski bezwątpienia za„sługuje na wszelką życzliwość, ale Francya nie może się „poświęcać samą dla Polski, od czasów Cesarstwa wszy„stkie nasze wojny, są niepolityczne, które nas pociągną „do upadku... czegoż my możemy szukać w pustyniach „Polski a dopieroż Rosyi?!...“ Takie było po wielkiéj może po większéj części usposobienie starszyzny francuzkiéj. Panowie ci od młodości prowadzący wojny, mając zdrowie nadwerężone ranami i trudami... dostąpiwszy rang i majątków, wzdychali za odpoczynkiem

i używaniem owocu swoich prac i zasług; insze były życzenia i uczucia nasze, inszy cel naszych poświęceń... dla tego zdania te francuzkie zdawały nam się być po prostu egoizmem. . . a ztąd i wstręt nasz do wielu Francuzów nami dowodzących. . . a szczególniéj do pułkownika Delaitre który był gorącym patryotą francuzkim i Cesarza nie lubił.

Istotnie Napoleon nadużywał swego szczęścia. . . zaledwie ukończywszy pół na pół wojnę pruską w Tylży, rozpoczął najbłędniéj wojnę w Hiszpanii. . . sprowadził tam Anglików. . . a zajęty znowu przygotowaniem wojny z Rosyą. . . nie przybył osobiście wyprzeć Wellingtona z półwyspu. . . nie znał lub nie chciał znać położenia rzeczy i sił obustronnych w Hiszpanii i Portugalii. . . w miejsce swoje przysłał Massenę. . . ale go niezaopatrzył w siły dostateczne. . . a narobiwszy marszałków do zbytku, zaszczepił niesubordynacyę w dowódzcach. . . Co z tego wynikło wiadomo światu. . . może nam wiek nasz podeszły pozwoli jeszcze podać o tem nasze wspomnienia z r. 1812 w którym jako naoczny ciągłe świadek, mamy pochlebną nadzieję że ziomkom nie jedno spostrzeżenie przekazać możemy któregośmy jeszcze nigdzie nie czytali. — Tymczasem sprawy wojenne szły najgorzéj — można mówić w całéj Hiszpanii; jenerał Dorsenne mimo rygoru, a można mówić i zbytniéj surowości, dla czego Hiszpanie przezwali go: Pedro el cruel, bo mu było na imie Piotr, a niegdy panował w Hiszpanii tyran tego imienia i przydomku; jenerał Dorsenne, mówię, choć miał korpus wyborowy, bo gwardyi, nie mogł sobie dać rady i nastarczyć wojnie tylko partyzanckiéj, bo innéj w prowincyach jego wielkorządztwa nie było. Będąc zajęty różnemi wysyłkami jako to do St. Ander, do Rejnosy, do Villafranca o któréj wspomina kolega Mikułowski aż na krańcach Galicyi, musiał posiłkować jenerała Bonnet.

Te i tym podobne ciągłe exkursye większych i mniejszych komend naszych na wszystkie strony wielkorządztwa powierzonego jenerałowi Dorsenne, zapaliły mściwy umysł naszego afrancesado alkalda Cobo, o którym już była wzmianka: Jednego razu przypada do mojéj kwatery z pośpiechem, i melduje mi, że w pewnéj wiosce, niezbyt oddalonéj, przebywa dwóch Hiszpanów rannych; a miał pasyę mówienia po francuzku, tę więc liczbę dwóch — *deux* — tak wymawiał z hiszpańska, u których *dos* znaczy *dwa*; że ja nie mogłem zrozumieć: czy dwunastu, czy dwóch jest rannych w owéj wsi? Nakoniec p. alcalde za pomocą dwóch palców przekonał mnię, że była mowa o dwóch. — Odzywam się więc do niego: „cóż WPan chcesz żebym ja z tymi dwoma rannymi robił?“ — Żebyś posłał oddział i kazał ich zabić — Ach! panie Cobo, my bezbronnych nie zabijamy, a cóż dopiero rannych — Na to p. Cobo: „Mosu Commendane! Vous ne pas connetre Espagnol, si Vous ne pas le tuer, il Vous du.“ Co znaczy: „Panie komendancie nie znasz Hiszpanów, Hiszpana trzeba zabić, inaczéj on cię zabije“ — to nauka nie lada, przyznać trzeba, i dla tego się tu konsygnuje, ale ja jednak z wielkiem zgorszeniem pana alcaldego hiszpańskiego, nie wysłałem nikogo po owych rannych.

Już się zbliżało nam do opuszczenia stanowiska w Castroxeriz, kiedy jednego dnia pod wieczór, stawa przed moją kwaterą oficer od piechoty polskiéj 4go pułku, na małym koniku, a za nim służący towarzyszący mu pieszo. Zchodzę rozpoznać tak nadzwyczajnego podróżnego; był to mój pokrewny Adam de Rivière Załuski powracający... z Malagi! gościńcem pocztowym, nie szedł bez eskorty, ale po zabójstwach jakie się codziennie zdarzały na uboczu, byłem radośnie zdziwiony, że mu się nic złego nie stało! Ponieważ wojownik z pod Almonacid, Ocaña i wielu

innych pól bitwy, wracał w stanie garderoby bardzo smutnym, a był się podał do dymisyi, z tęsknoty za krajem, mimo rozkosznych okolic Granady i Malagi z których przybywał; . . przebrałem go po cywilnemu i w stroju wcale paryzkim, przedstawiłem go pułkownikowi Delaitre, który znawszy w Warszawie jego ojca, pana Jana de Rivière Załuskiego, z którym niegdyś przy formacyi pułku byłem z wizytą u naszego 1go majora, widząc przy tem młodzieńca tłumaczącego się wyborną francuzczyzną, przyjął go nader uprzejmie, i zaprosił go do swego stołu na cały czas pobytu jego w Castroxeriz — jakoż u tego stołu przy którym cały sztab zasiadał, przekonywaliśmy się codziennie więcéj, o oczytaniu pana Adama, i słuchaliśmy jego opowiadań, o kampanii pruskiéj w któréj się odznaczył, i o wojnie hiszpańskiéj podczas naszego pobytu nad Dunajem. między innemi opowiadał nam o czynie szefa batalionu 4go pułku i kolegów swoich pod tegoż dowództwem, w obronie zamku nadmorskiego Fuengirola, gdzie nasi mieli do czynienia z Anglikami, odparli ich cudownie prawie i jenerał angielski lord Blayney dowodzący całą expedycyą, został jeńcem szefa batalionu Młokosiewicza.

Gdy pan Adam Załuski miał już nas pożegnać, dałem mu pismo do pułkownika Krasińskiego, który go znał osobiście, jakoż mu wyrobił u Cesarza patent porucznika 2éj klasy w swoim pułku. . . nieprzewidywałem wtenczas że mu toruję drogę do smutnego końca, zginął albowiem tragicznie w r. 1812 w odwrocie na Litwie. O ile pamiętać mogę zajmowała komenda pułkownika Delaitre miasto Castroxeriz blisko ośm miesięcy, opuściliśmy owe koszary nasze, może jedyne tego rodzaju w Hiszpanii, za przybyciem marszałka Bessiera.

Bezwątpienia bytność korpusu 800 do 900 koni wynoszącego, po większéj części w tem małem mieście skoncentrowanego, nie mogła się obejść bez uciemiężenia

mieszkańców, ale ci wiadomi co się działo w innych miejscach gdzie nie polskie komendy stały, z żalem patrzyli na nas odchodzących; istotnie żegnali nas z rozczuleniem, pamiętali nieraz późniéj że przebyli znaczny przeciąg czasu pod władzą sprawiedliwą, bezstronną, i która nigdy innego daru nie przyjęła prócz kilku kuropatw żywych, o dzióbkach, oczach i nóżkach koralowych. Lekkokonny pułk polski gwardyi Napoleona umiał sobie zjednać szacunek Hiszpanów w Castroxeriz, tak jak Francuzów w Chantilly.

Już się był zaczął rok 1811 kiedy zapowiedziane nam przybycie marszałka Bessières, przeniosło nasz oddział polskiéj gwardyi z Castroxeriz (g, i, j i x przed e wymawiają się jak ch polskie), do Valladolid — wprzód jeszcze nie jeden z komendy pułkownika Delaitre opuścił Hiszpanię, tak z przyczyn słabości zdrowia jak z powodów służby. I tak Napoleon chcąc pomnożyć swoją lekką jazdę a mianowicie ułanów *lanciers*, postanowił stworzyć 8 nr. téj broni w służbie Francyi, ale z samych Polaków złożony; na pułkownika tego korpusu mianował naszego szefa szwadronu Tomasza Łubieńskiego, nie mało naszych oficerów i podoficerów, powołanych czyli awansowanych było do tego pułku — z szasserów czyli raczéj Mameluków nadmieniemy szefa szwadronu Kirmann który udał się do ich garnizonu w Melun, a kapitan Renno przybył w jego miejsce na dowódzcę tego szwadronu, był to syn Wschodu, nie wiem czy z Aleksandryi czy z Syryi, ale który jak się zdaje, otrzymał wychowanie europejskie, doskonale mówił i pisał po francuzku, po włosku, i był tak uzdolniony, jak mało który z oficerów strzelców konnych gwardyi do których Mamelucy należeli. Wkrótce potem gdy pułkownik Konopka dowódzca sławnego pułku ułanów nadwiślańskich noszącego w armii francuzkiéj nr. 7 lancyerów, został posunięty na jenerała brygady, nasz szef szwadronu

Ignacy Stokowski przeznaczony został na jego miejsce i odjechał do Sedan gdzie był sztab i zakład tego pułku.

Jak tylko wiadomość nadeszła, że marszałek Bessières ma zjechać do Hiszpanii, żeby zająć miejsce jenerała Kellermanna w Valladolid z tytułem jeneralnego dowódzcy całéj północnéj Hiszpanii, opuścił cały nasz pułk Castroxeriz, a oddziały strzelców konnych, Mameluków i nasze rozesłane zostały od granic Francyi aż do Valladolid na posterunki dla przeprowadzenia marszałka. Ja sam eskortowałem go między Burgos a Valladolid... zawsze jeden niezmiernie dobry i ludzki, częstował nas — jeżeli się nie mylę — w *Torrequemada* w miejscu wsławionem zwycięztwem jenerała Lassale w r. 1808 z oddziałem naszego pułku.

Kilku nas oficerów polskich, którzyśmy go w ciągu dnia eskortowali siedzieliśmy u jego stołu, były między innemi potrawami kuropatwy na stole, marszałek wskazując na takowe, mówił do nas: „Widzicie WWPP. ten dobry lud przysłużył mi się kuropatwami — przypomnieli mnię sobie ci dobrzy Hiszpanie, trzeba się z niemi obchodzić z pobłażaniem, nie z surowością, trzeba ich sobie ujmować.“ Już w trzeciem wspomnieniu mojem w *Dodatku* na miesiąc lipiec 1858 wzmiankowałem o tem usposobieniu marszałka Bessières dla Hiszpanów i względem prowadzenia téj wojny; ale szanowny, czcigodny i waleczny książę Istryi, unosił się przywiązaniem swojem do Cesarza; zapominał że cały naród hiszpański był krwawo i boleśnie obrażony, że sposoby zwyczajne do rządzenia takim krajem były niedostateczne, że tu trzeba było zwycięztwa zupełnego i wypędzenia Anglików, ale nie urządzenia administracyjnego i starania się o ujmowanie rozjątrzonych umysłów. Miękkość rządów marszałka Bessières sprawiła to, że gierylasy wzmogły się po jego przybyciu, tak jak nigdy pierwéj; a jak się już

powiedziało, zgoda między dowódzcami wojsk francuskich, po większéj części marszałkami, coraz więcéj słabła, a powaga Anglików i Wellingtona wzrastała. — Gdy m. Bessières założył swoją główną kwaterę w Valladolid, regiment marszowy pułkownika Delaitre opuściwszy Castroxeriz, zebrał się w Valladolid, i przeniósł swoje leże do Rioseco, miejsca miłego marszałkowi przez wspomnienie odniesionego tam przez niego zwycięztwa w d. 14go lipca 1808.

W Valladolid przebywał zawsze jeden szwadron po kolei, z oddziałów strzelców konnych gwardyi i naszego, jako eskorta marszałka, ten zaszczyt trafiał mi się po kilka razy, i zawsze byłem — tak jak wszyscy oficerowie polscy z szczególną życzliwością od niego przyjęty. Następująca okoliczność zwróciła jeszcze więcéj może łaskawą uwagę marszałka ku mnie. Siedząc raz u stołu obok niego, sztab marszałka, między którymi jenerał Guilleminot szef, i różni cywilni panowie do kancelaryi księcia Istryi należącéj, skarżyli się przed nim, że ich konie a nawet konie marszałka nie mają furażu. . . ale że konie pp. Polaków obfitują. . . Nie była rozmowa przyjemną m. Bessièrowi, a gdy się pytał, dla czego jest ten niedostatek? odpowiedziano, że kraj cały zaraz za bramami miasta jest tak okryty gieryllasami czyli brygantami, że nikt zboża ani paszy dostarczyć nie może — A jakże wy robicie Polacy? obraca się marszałek do mnie — Staramy się mości książę i mamy — a jeżli W. Ks. Mć pozwolisz, to ja jutro pójdę z szwadronem i zboża z paszą dostarczę — to przez pp. Francuzów było przyjęte za czczą fanfaronadę. . . i z urąganiem przemawiali: da się to widzieć, prosimy, zobaczymy. — Marszałek zaś po prostu upoważnił mnię do zrobienia téj exkursyi. — Opowiedziawszy szwadron o rannym marszu, wyszedłem do dnia, biorąc kierunek w okolicę chlebną ku Palencyi, a przyszedłszy do wsi sporéj gdzie bytności

wojsk śladu nie było, zastałem znaczne zapasy zboża i słomy, które zarekwirowałem i na wozy ładować kazałem. Ale w tem zdarza się okoliczność, że pies miał imie Napoleona... gniew i zawziętość straszna. Żołnierze moi chcą wieś palić, ledwie im wyperswadowałem, że gdy zabili psa, więc zgorszenie pomszczone, starszeństwu zaś wsi, dałem groźną naukę, tak że się skwapliwie zajęli dostarczeniem wszelkiego rodzaju wiktuałów i mieli się za szczęśliwych, że mściwości naszego żołnierza nie doznali, za płochość którego swojego mieszkańca. Wróciłem więc do Valladolid z szeregiem wozów znacznym, naładowanych różnymi zapasami, co wielce ubawiło Marszałka, a w zadziwienie i zazdrość wprawiło jego Camarillę.

Po tym niedołężnym kierunku administracyi w saméj bliskości Naczelnika kraju, można miarkować jak szła sprawa ta na większe rozmiary, a mianowicie w celu dostarczania Marszałkowi Massenie, zasobów i posiłków różnego rodzaju, których on z wojskiem swojem domagał się i potrzebował usilnie. Biedny ten zwycięzca w tylu wojnach nie mógł dać rady ani miłości własnéj Marszałka Neya i Djuka d' Abrantes Junota, którym się obu chciało dowodzić ale nie zostawać w drugim rzędzie pod komendą — ani wątpliwemu bardzo współdziałaniu kolegi M. Soulta... udawał się Massena ustawicznie pismem i wysłańcami do Napoleona, o pomoc wszelkiego rodzaju, ale bezskutecznie o tyle tylko wyjednał, że Napoleon posłał Bessiera do Hiszpanii, i polecił mu posiłkować Massenę. Ale pp. Jenerałowie Francuzcy przyzwyczajeni wojować we Włoszech i w Niemczech, gdzie miasta i wsie bogate, zapaśne, drogi doskonałe, cywilizacya a zatem zmiękczenie upowszechnione: tam szpitale, zapasy, pomoce wszelkiego rodzaju były nie tylko na zawołaniu, ale przez magistraty i gminy przysposobione: inaczéj to szło w Hiszpanii, jak

czytelnicy już z naszych uwag powziąć mogli; tu, trzeba było o głodzie i nieznośnych trudach, wszystkiego się krwawo dobijać, a o wygodzie dla rannych i chorych, ani myśleć... więc książe Istryi wszystko obiecywał, i szczerze się starał, nie był w stanie dostarczyć Massenie, tego, czego sam nie posiadał... skutkiem tych przeróżnych przeszkód M. Massena: zamiast wyprzeć Anglików z Portugalii; po nieznośnych stratach, ludzi, koni i materyałów wojennych, musiał się z Portugalii cofać. Odbierał atoli raz wraz rozkazy z Paryża wyparcia na morze téj garstki Anglików, z dołączeniem dość uszczypliwych wyrazów, dla samego księcia d' Essling i wojsk (jakoby tak licznych) pod jego dowództwem zostających;..... z tego wszystkiego wynikło, że Massena postanowił uderzyć znowu na Anglików zwłaszcza że Wellington był się oddalił osobiście ku Badajoz (Badachoz).

Marszałek Bessières zbierał się więc osobiście posiłkować Massenę z całą Jazdą i częścią Artyleryi swojéj, nie mogąc krain rozległych zostawić bez załog piechoty. W ciągu miesiąca kwietnia opuściliśmy Valladolid i Rioseco. Przytoczymy tu kilka słów z notat kolegi pułkownika Mikułowskiego: „Kiedy M. Massena cofnąwszy się „z pod Lisbony aż pod Almeidę, zażądał pomocy, Bes„sières zabrawszy Gwardye (konne) poszedł na: Toro „i Salamankę do Ciudad-Rodrigo. Przytoczę tu małą „okoliczność na dowód, jaką już wówczas Bessières „miał opinię o naszym pułku. Po dniowym spoczynku „pod Ciudad-Rodrigo, cały korpus Bessiera przeszedł „za fortecę, i rzeczkę małą któréj nazwiska nie pamię„tam (Agneda) i postępował dla połączenia się z Mas„seną ku Fuentes de Onoro. Bessières zaś opatrywał „fortecę, zostawiwszy tylko oddział nasz z dwóch plu„tonów którymi dowodziłem. Przegląd fortecy zabawił „dość długo, tak dalece że Jenerałowie odprowadzający

„Marszałka, aż za rzeczkę, i ujrzawsy tak nieliczną „eskortę upraszali go najusilniéj, aby dobrał dla bez„pieczeństwa batalion piechoty, gdyż wiedzą dobrze że „Partyzant Don Julian, w 700 koni, krąży w okolicy. „Wten czas Bessières, podziękowawszy Jenerałom za „ich troskliwość, wskazał im ręką na mój oddział, i „z anielską uśmiechając się dobrocią, powiedział słowa „(które do śmierci tkwić będą w méj pamięci) avec 50 „Gaillards comme ceux là je passerai partout. - Z takimi „50 zuchami jak ci, przebiję się wszędzie.— Żołnierzom, „którym wytłómaczyłem, co powiedział Marszałek, zai„skrzyły się oczy, i pewno w potrzebie, chybaby po „ostatnim ich trupie, nieprzyjaciel dostałby się do osoby „ukochanego wodza.— Szczęśliwie też doszliśmy do kor„pusu, i na drugi czy 3ci dzień, połączyliśmy się z Mas„seną, którego waleczna armia, lecz znękana trudami „i niedostatkami, przyjęła nas, jak otuchę zwycięztwa"— daléj pisze Mikułowski: „Drugi podobny poprzedniemu, „spotkał nas zaszczyt od Marszałka Masseny w wilią „bitwy pod Fuentes de Onoro. Wieczorem, piechota ar„mii Portugalskiéj, kusiła się z Anglikami o wzięcie „pozycyi. Nasza piechota zwycięzko odpierała attaki. „Mar. Bessières narażając się, jak zwykle, za nadto, „wśród gęstego ognia dawał rozkazy, choć ta piechota „co walczyła nie należała do jego korpusu; co widząc „Massena, przysłał do niego z prośbą: aby raczył się „mniéj wystawiać na niebezpieczeństwo. Wtem okazał „się od strony nieprzyjaciela parlamentarz. Był to puł„kownik Lord Gordon adjutant Wellingtona. Gdy go „przedstawiono Massenie, ten z nim rozmawiając jedną „razą obrócił się, i pokazując na mnie, wyrzekł: „*de*„*main Vous aurez à faire à ceux-là*" — jutro będziecie „mieli do czynienia z temi oto — Lord Gordon, wów„czas zapytał pułkownika *Briquevilla* adjutanta Masseny: „*quelle est cette troupe?* co to za wojsko? — Gdy Bri-

„queville odpowiedział, że to mundur ułanów polskich „gwardyi Napoleona: Lord Gordon odrzekł: „Nous con„naissons leurs compatriotes, ils sont braves, mais par„trop téméraires.— Znamy ich współrodaków są waleczni, „ale zbyt zapamiętali. Była to mowa o 7m pułku uła„nów, słynącego na ówczas w armii południowéj. Na„zajutrz w bitwie pod Fuentes de Onoro, manewrowa„liśmy ciągle, i już byliśmy gotowi do szarży, gdy „przez jakieś nieporozumienie Bessiera z Masseną, ka„zano nam się wstrzymać. Cała armia żałowała tego „wypadku, bo spodziewała się, świetnego skutku szarży „tak dzielnéj kawaleryi gwardyi. Straciliśmy jednak od „kul armatnich kilku żołnierzy“.— Bardzo nam jest na rękę, zastąpić nasze opowiadanie o bitwie pod Fuentes de Onoro, notatą kolegi Mikułowskiego, albowiem, niestety! nie wiele więcéj da się powiedzieć, o tym tak szumnie, a tak mozolnie, przedsięwziętym ruchu Marszałka Bessières, w pomoc Massenie.

Szliśmy mniéj więcéj 60 mil geograficznych, z wielkim trudem, przez kraj powiększéj części i to im daléj, tem bardziéj, zniszczony, opuszczony, lubośmy w znacznéj części zjadali, szczupłe dla Masseny przeznaczone zapasy, doznawaliśmy sami głodu, a konie nasze ustawały — słońce wypaliło skaliste, suche okolice, wody był niedostatek, a baraki nasze przepełnione różnym gadem i jaszczurami nieznanéj nam wielkości; ja sam kapitan dowódzca kompanii doznałem głodu, podobnego, do tego o którym opowiedziałem w wspomnieniu o Wyspie Lobau na Dunaju.

Prawda jest, co pisze Mikułowski, żeśmy byli gotowi do szarży my i strzelce konni i Mamelucy... ale Marszałek Bessières niedał nam popierać natarcia kawaleryi przez Jenerała Montbrun, na któreśmy się patrzyli zbliska, a na czele jednego z tych attaków, stracił nogę *Septenis* świetny i ulubiony Adjutant Marszałka Berthier

Duc de Neufchatel, świeżo z Paryża przybyły. Dwie przyczyny mogły powodować Mar: Bessières, że nam nie kazał nacierać: raz że wiedział jak konie nasze są znużone marszem od Valladolid bez wypoczynku i bez dostatecznéj żywności; drugi raz, że Partyzant D. Julian kręcił się po za frontem i po bokach naszéj armii, a M. Bessières chciał ją zasłaniać kawaleryą lekką swoją. Owo zgoła tyle mieliśmy w zysku my Polacy, żeśmy przez trzy dni przypatrywali się bojowi dwóch pierwszych Narodów, Francuzów których znaliśmy, i Anglików, których w takiéj bitwie — bataille rengée — jeszcze nam widzieć nie zdarzyło się: z resztą nie był to bój ladajaki i łatwy... cała tam okolica poprzerzynana jest okopami z kamieni, chcę mówić, że każdy ogród, każde pólko, opasane jest płotem kamiennym, jak murem — za takiem schronieniem, piechota ma niemal bezpieczne stanowisko trudne i mordercze do zdobycia, a cóż dopiero mówić o nacieraniach konnicy? dla tego — jak sądzę — Bessières niechciał narażać, bezowocnie, swojéj kawaleryi gwardyi a miał jéj może 700 do 800 tylko. Wtéj bitwie Anglików jednak, gdy nasze czapki polskie poznali zdaleka, przybiegło do nas 4 żołnierzy polaków — i mówili żeby ich przeszło więcéj gdybyśmy się zbliżyli: powiadali że w armii Angielskiéj jest batalion niegdyś francuzkim zwany, w którym teraz wszyscy żołnierze są Polacy a oficerowie tylko Francuzi pozostali — jak się zdaje — z Emigracyi. — Tych 4 żołnierzy, którzy byli z Lubelskiego, opatrzyliśmy, obuwiem, paszportami i pieniędzmi i odesłali... do Warszawy.

Ale wracając się do pola bitwy, gdy M. Massena formalnego zwycięztwa odnieść nie spodziewał się, a z Almeidą się porozumiał — zaczęliśmy odwrót, spokojny i zaszczytny, bo Francuzi byli wtéj batalii górą.— Ja zaś z mocną placówką kilkudziesiąt koni, stałem gdzieś

na uboczu, strażą: jak się domyślam, od napaści owego D. Juliana — noc była ciemna i głucho wszędzie, o północy, robi się huk niesłychany i jakby trzęsienie ziemi! placówka siada na koń i nie mogąc pojąć co to znaczy, czekamy rozkazów z podwojoną bacznością, nakoniec przybywa adjutant, z poleceniem wracanie do tylnéj straży kolumny, i oznajmuje że to fortyfikacye Almeidy wysadzono w powietrze; istotnie Jenerał Brenier dowódzca twierdzy, wypełniając rozkaz Masseny, wysadził fortyfikacye i cudownie prawie przebił się z garnizonem przez armię Angielską, czyn to był z jego strony bohaterski. . ależ jakiż owoc tylu strat, tylu trudów sławnego Marszałka księcia d'Essling? opuszczenie Portugalii i cofanie się do Salamanki. Tymczasem Francuzi obwiniają Bessiera że był tego tak zawiedzionego skutku przyczyną, nie że nam niedał nacierać, ale że amucicyi nie był dostarczył i że dla tego Massena musiał się ograniczać na pozbawieniu Anglików fortecy Almeidy.

Wrócił więc Marszałek Bessières do Valladolid i my z nim do Rioseco, a służba odbywała się przy Marszałku jak wyżéj powiedziano.

Nim przystąpię do kilku wspomnień o Valladolid i o Hiszpanii, nie mogę nie oddać hołdu pamięci, urodzenin Napoleona II. Wiadomo jest że ten syn którego Napoleon tak pragnął, urodził się d. 20 marca 1811. . . byłem właśnie w Valladolid kiedy armaty zaczęły ogłaszać tę pomyślną wiadomość i rachowaliśmy z natężoną uwagą 101 strzałów, zwiastujących radość Francyi i całego wojska w Hiszpanii będącego.

Marszałek Bessières obchodził tę uroczystość z wszelką jak mógł świetnością a prócz: Nabożeństwa, Rewii, Obiadów i Balów, było także i ulubione widowisko hiszpańskie: de los Toros, to jest walki byków. Nie było to igrzysko na skalę tych jakie się odbywają w Madrycie, Sewilli i innych wielkich miastach Hiszpanii, ale odzna-

czało się w Valladolid tą osobliwością: że zamiast matadora była kobieta matadorką! widziałem więc na swoje oczy, jak młoda Hiszpanka szczupła ale zwinna, jednem uderzeniem noża (cuchillo)zwaliła pod swe nogi byka rozhukanego. Krytykarze Europejscy, ganią zwyczaj ten igrzysk byków, jako barbarzyński, jakoby czyniący ujmę sercu Hiszpanów... ci co tak piszą, pewnie nie mieli matek coby walczyły z bykami, ale też ani takich, co by broniły Saragossy tak zapamiętale, jak nam to opisał Jenerał Mroziński. Dowiódł naród hiszpański, Kartagińczykom, Rzymianom, Maurom i Francuzom, że łatwiéj wnijść do Hiszpanii, jak wycofać się z niéj; a brzmią dotąd w ludzie hiszpańskim, pieśni o: Viriato guerrero, który z pasterza owiec, wzniósłszy się aż do naczelnego dowództwa wojsk, 14 zwycięztw odniósł nad Rzymianami. — Wspomnąwszy o Owczarzu, i pisząc o Hiszpanii, nie godzi się nie wspomnieć Ziomkom o *Meście.* Mesta, jest to urządzenie któreśmy jeszcze w Hiszpanii zastali, że właściciele owiec z cienką wełną, połączali je na pasze wspólne całoroczne: to jest, przez pory roku ciepłe, w górach północnéj Hiszpanii, a w czasie zimy, w Estramadurze. To chodowanie owiec z cienką wełną, było znamienitem bogactwem Hiszpanii, któréj podniebie i dawny obyczaj, dozwalały takowego chodowania owiec, w ilości kilku milionowéj, a z wełną, jakiéj wówczas nigdzie nie było. Przemysł ten, uważany za narodowy, zostawał zawsze pod kierunkiem którego z ministrów państwa, pod którego prezydencyą była Junta, (chunta) to jest rada, zgromadzenie, mające tytuł: El honrado Consejo de la Mesta. Nazwanie *mesty,* pochodzi ztąd: że *mestal,* znaczy pustynię nieuprawną, na pastwisko tylko użyteczną. Instytucya ta musiała niezmiernie ucierpieć przez wojnę, toczącą się przeciągiem lat sześciu, bo zapewne wojska angielskie, nie więcéj szanowały merynosy, od Francuzów; ztąd

niewiadomo nam jest, czy jeszcze utrzymuje się mesta, to jest: zwyczaj wspólnéj paszy merynosów? — Cesarz Napoleon, kazał z tych stad, wybrać najprzedniejsze, i przeprowadzić do Rambouillet, ekonomii Rządowéj, nie daleko Paryża, gdzie odtąd kwitnie gospodarstwo wełny. Marszałek Bessières od chwili objęcia zarządu w Valladolid, starał się pozyskać miłość i zaufanie mieszkańców tego miasta, utrzymywać surową karność między wojskami francuzkiemi, i wymierzać sprawiedliwość Hiszpanom, w każdym przypadku; jednem słowem usiłował uzyskać ten naród dla swego Cesarza i dla jego brata króla Józefa — szczególniéj zwracał uwagę i staranie swoje na szpitale, chorych i ubogich — Na tem polu niesienia ulgi cierpiącéj ludzkości, zjawił się rodak nasz Lekarz 4go pułku Legii Nadwiślańskiéj, nowo uformowanego w Augsburgu przez Jenerała Bronikowskiego, Doktor medycyny i chirurgii *Lewkowicz*, wychowaniec Akademii Wileńskiéj Operator i Okulista znakomity, ten pod protekcyą i kosztem Marszałka odbył w Valladolid kilka operacyj szczęśliwych, zdejmując katarakty z oczu osobom podeszłego wieku i między innemi z wyższego duchowieństwa: ten Doktor był późniéj profesorem i operatorem w akademii Jagiellońskiéj w Krakowie.

Przy tych szpitalach, bardzo znacznych, tak wojskowych jako i cywilnych, starannie urządzonych pod opieką Marszałka, odznaczali się także naszego pułku Lekarze pp. *Gadowski* i *Kuszański* oba Krakowianie i uczniowie Akademii Krakowskiéj. — Wątpliwości nie podpada że książe Istryi Bessières, zostawił nawet w Hiszpanii pamięć oddającą mu sprawiedliwość, ale ciągłe zmiany w jego powołaniu, nie dały mu długo wywierać tego wpływu na umysły i urządzenie prowincyj północnych Hiszpanii.

Nie mogę oznaczyć chwili w któréj Marszałek Bessières opuścił znowu Hiszpanię; czy już był powołany na obrząd Chrztu króla Rzymskiego który się odbył 9go Czerwca 1811 roku — czy późniéj powrócił do Francyi. Tyle tylko pamiętam, że po oddaleniu się Masseny, kiedy Jenerał Voison dowodził interymalnie ostatkami armii Portugalskiéj, a Marszałek Marmont nadciągał do niéj, uczestniczyłem wyprawie jak się zdaje całego naszego oddziału, atoli szczegółów nie pamiętam.

Jeszcze późniéj pułkownik Delaitre zrobił wyprawę z całą swoją komendą przeciwko Anglikom, w któréj ja, złożony na ten czas chorobą w Valladolid, nie znajdowałem się, kolega Mikułowski który do niéj należał, nazywa ją wyprawą aż do Alfnatis — tego miejsca ja na mapie nie znajduję, tem więcéj zatem przytaczam wyrazy szanownego kolegi:

„Poszliśmy za Anglikami aż pod Alfnatis, w tym to „pochodzie — gdy kapitanowie: *Trzciński* i *Szeptycki* „zostali rannymi, Jankowski i ja, wzięliśmy po nich do„wództwa szwadronów, i mieliśmy obydwa szczęście „zyskania pochwały i wzmiankę, za odpędzenie dra„gonów angielskich, którzy wciągnąwszy w zasadzkę „pułk ułanów W. Xcia de Berg i pobiwszy ich na głowę, „bliscy już byli zabrania naszych armat. W tych dniach „straciliśmy także kilku ludzi, a co pamiętam, dwóch „z mego szwadronu, *Loberta* i *Żylicza* obu Warszawia„nów. Towarzyszył nam w téj wyprawie pod Alfnatis, „pułk 4ty Legii Nadwiślańskiéj uformowany w 1809 r., „w którym miałem brata mego ciotecznego *Jagmińskiego*, „kapitanem, a który był u nas dawniéj podoficerem i „za bitwę pod Rioseco otrzymał krzyż Legii honorowéj „razem z podoficerem *Starzyńskim*. Po tem wkroczeniu „naszem w granice Portugalii, i cofnieniu się Welling„tona, powróciliśmy do Rioseco“.

Podczas téj wyprawy naszego oddziału ja z kapitanem *Hermolausem Jordanem*, oba chorzy, zostawaliśmy w Valladolid, i będąc już konwalescentami uważaliśmy codziennie wieczorami na placu starożytnéj katedry kometę sławnego r. 1811.

Po powrocie pułkownika Delaitre z całą swoją komendą do Rioseco, odbyłem *ostatnią* moją wyprawę z Jenerałem piechoty *Roguet*, któremu dodany zostałem z jednym szwadronem złożonym w połowie z naszych, a w połowie ze strzelców konnych gwardyi. Expedycya ta wyruszyła przez *Villaloa* ku górom na Partyzanta osławionego pod przezwaniem: *el provedor*, co by znaczyło mnicha gospodarza klasztoru, atoli ja widziałem w potyczce, człowieka ubranego od stóp do głów w axamicie koloru jasno czerwonego, który dowodził Hiszpanami. Potyczka ta była za wsią nazwiskiem *Melgar*, których jest wiele, atoli ja tego Melgar nie znajduję na mapie.

Podczas gdy Jenerał Roguet zdobywał tę wieś, ja ze szwadronem starałem się odciąć Provedorowi rejteradę, to jednak w części tylko się powiodło, Provedor, czyli dowódzca pąsowy, uszedł straciwszy kilku ludzi. Kolega Mikułowski podaje mi że był w wyprawie téj pod Jenerałem Roguet ze mną, ja zaś pamiętam: że porucznik mojéj kompanii *Zawadzki* — podobno Stanisław — odznaczył się w téj potyczce, z któréj, przyjaciel Polaków Jenerał Roguet był bardzo zadowolniony.

Powróciwszy do Rioseco, otrzymałem w krótce rozkaz od Jenerała Krasińskiego z pismem Marszałka Duc d'Istrie z Paryża z d. 14 września 1811 własnoręcznie przez *Napoleona parafowanem* (którą relikwię cudownym sposobem jeszcze posiadam, widać że jéj nie miałem z sobą w wyprawie na Moskwę r. 1812) skutkiem powyższego rozkazu, ja kapitan, wróciłem do Francyi z 10ma porucznikami pułku, między którymi byli: *Jankowski*,

*Mikułowski*, *Dobiecki Wincenty*, *Mierzejewski Maciéj*, *Łęski*, *Gotartowski Floryan* i kilku innych których już, łącznie z Mikułowskim nie pamiętamy.

Do Bajonny maszerowaliśmy razem, ztąd koledzy udali się do Chantilly, a ja z porucznikiem mojéj kompanii Jankowskim Antonim, pojechaliśmy o swoim koszcie dyliżansami pocztowymi i wodnymi: przez Pau, Tarbes, Toulouse, Carcassone, Cette, Montpellier, Nismes, Avignon, Lyon, Macon, do Paryża

Opuściliśmy wszyscy Hiszpanię z radością, pewni że nim koledzy zdążą za nami z Rioseco, my niezawodnie będziemy brać udział w pożądanéj przez nas tak gorąco wojnie za Niemnem i Bugiem.

Spędziliśmy trzy lata naszéj młodości, *na nauce wojny* w Hiszpanii, 1808, 10, 11, wkroczyliśmy do tego kraju pełni zaufania w potęgę i szczęście naszego wskrzesiciela, opuszczaliśmy Hiszpanią dużo rozczarowani. Cóż się pozostało Francyi z zamierzonego podboju Hiszpanii?.... dym i popiół, te godła znikomości.... chcę mówić: Cigarry! Do roku 1808 nie znał kontynent Europy téj namiętności Hiszpańskiéj, od téj chwili dopiero, ta zdobycz Francyi rozeszła się po całéj Europie.

Pisałem w Jasienicy w miesiącu październiku 1859.

Józef Załuski.

# HALSZKA
# Z OSTROGA.

DRAMAT HISTORYCZNY.

---

## Osoby dramatu:

*Król Zygmunt August.*
*Uchański*, prymas.
*Zebrzydowski*, biskup krakowski.
*Marcin Zborowski*, kasztelan kaliski.
*Kniaź Wasyl Ostrogski*, brat zmarłego Ilji.
*Kniaź Dymitr Sanguszko.*
*Kniaź Siemion.*
*Łukasz Górka*, późniéj wda sandomirski.
*Czarnkowski*, obrońca i dworzanin księżny Beaty.
*Odachowski*, obrońca i dworzanin kniazia Dymitra.
*Astrolabus*, astrolog na dworze księżnéj Beaty.
*Beata z Kościeleckich Ostrogska*, wdowa po Ilji z Ostroga.
*Halszka z Ostroga*, jéj córka.
*Kunegunda*, panna dworska Halszki.

Dworzanie — rycerze — służba.

**Rzecz się dzieje w 1szym i 2gim akcie w Ostrogu — w 3cim na sądach królewskich w Knyszynie — w 4tym w Nimburgu w Czechach — w 5tym w Ostrogu i na zamku kniaz'a Sanguszki; — roku 1553.**

---

# AKT PIERWSZY.

**Ogród przy zamku Ostrogskim.**

*Dymitr, Odachowski.*

DYMITR.

Mój Odachusiu, toć dziś się rozstrzygnie
Los naszych długich a ciężkich zalotów.
Caesar aut nihil — mąż księżnéj Elżbiety,
Albo w grochowym wieńcu biedne książę.

ODACHOWSKI.

Chroń Panie Boże!

DYMITR.

Ha! nierzec dwa razy:
Jéjmość kniahini przeciwna mnie wielce,
Krezus niewiasta — chciwa i przebiegła
Musi znać dobrze moją pustą kieszeń —
I wszystkie dziury w dachu mego zamku.
Za lepszych czasów, gdy mi chętną była
Nieraz kazała jak ksiądz na ambonie
O oszczędności i srogiemi słowy
Ganiła moje młode gospodarstwo. —

ODACHOWSKI.

I miała racyę pono, miły książę:
W skarbnicy ojca, daj mu niebo Panie
Dno świeci jasno, jak słońce w jeziorze.

DYMITR.

Ale animusz rycerski niegaśnie...
Skąpić nieumiem, jeśli się ożenię
To będę rządny jak książę nieboszczyk.

ODACHOWSKI.

Wielki czas na to. Znam ja co krew młoda
I wiem, że poszły na harce rycerskie
Zasoby domu, na turniéj wyprawy
Przeciw Tatarom Bóg daj, by ta pani
Jeżli kniahinią naszą wkrótce będzie,
Wniosła nam szczęście a spokój do domu.

DYMITR.

No! stary gdéro! Kniaż opiekun za mną
I panna za mną — panna jak królewna,
Gdy ją dostanę, na mą cześć rycerską
Wypędzę z zamku całą przeszłość moją
Stoły biesiadne wyrzucę oknami
Puhary nasze pijackie rozbiję
I będzie czysto — jasno jak w kościele;
Aż się rozchmurzysz stary, rozpogodzisz
I dawne czasy powitasz na starość.

ODACHOWSKI.

Dyże to Panie!

DYMITR.

Kniaż Wasyl nadchodzi —
Idziem do księżnéj.

ODACHOWSKI.

Szczęść wam kniaziu miły.

(Odachowski odchodzi. Kniaż Wasyl wchodzi).

*Kniaź Wasyl i Dymitr.*

WASYL.

A! witam! witam! cóż tam kniaziu młody
Serce kołace?

DYMITR.

Kiedy was oglądam
Bije nadzieją!

WASYL.

Tak Bogiem a prawdą
Mało nadziei. Kniahini bratowa,
Niechaj Bóg broni od takich bratowych,
Twarda a wielce przemądra niewiasta
Wiem, że odmówi — lecz to że mną sprawa
Jako opiekun chcę — i na tem dosyć.
Waszmościa kocham jak syna, choć waszmość
Masz swoje sztuczki i wybryki młode —
Weźmiem cię w ryzę, młodość się wyszumi
A jeden dzielny człowiek nam przybędzie.
Halszka poczciwe dziecko — nieszczęśliwe
Trzeba by szczęścia i życia użyła.
Panna dorosła — czas myśleć o mężu,
A jeśli jejmość sama go obmyśli
Wątpię, by z niego pociecha urosła,
Koroniaszów tu nie chcę — jakem Rusin!
Nie! w ręce obce niepójdzie gród stary
Kędy Konstantyn, wielki człek siadywał!

DYMITR.

Jestem spokojny.

WASYL.

A Jejmość mi pono

Tuż za plecyma dziwne rzeczy snuje,
Do króla pana lecą posły gęste
A pana Górki częste nawiedzania
Nie bez kozery. Póki Wasyl żyje
Pan Górka z Halszką mieszkać tu niebędzie.
Musim się trzymać, boby nam niedługo
Przerosły głowę pany Koroniasze:
Podole wzięli, Wołyń i kęs Rusi
A kiedy unii żądamy — to milczą!. . .
Pójdźmy Dymitrze!

(odchodzą).

*Beata i Halszka z towarzyszką, Doktor Astrolab.*

**BEATA.**

Niesforne dziecko. Darmo w gwiazdach czytam
Że z ciebie żadnéj nie będzie pociechy.
Doktor Astrolab skarży się na ciebie,
Że nieuważną jesteś i niepilną,
Uciekasz z lekcyi i figle mu płatasz,
A nie korzystasz z nauk podawanych.
Mów sam Doktorze — czyli w teologii
Lub innéj jakiéj nauce najmniejszy
Postęp choć czyni.

**ASTROLAB.**

Powiem cum moerore
Że principissa Elisabeth valde
Negligens — wielce odrodna od matki
Virilis paene doctrinae muliere.
Proh dolor! nawet prawdy teologii
Niechcą się czepiać umysłu księżniczki
A gdym jéj kiedyś multo cum sudore
„De gratia" księgę łacińską tłumaczył,
Wtedy puszczała, infandum powiedzieć

Do doktorskiego mojego beretu
Owady, chrząszczem które lud nazywa
A lingua docta scarabaci dicti.

BEATA.

Niezbożne dziecko! toć cześć dla religii
Toć jest staranie o wieczne zbawienie?

HALSZKA.

Matko o pani moja! Pan Bóg widzi
Że ja nie jestem wcale niepobożną,
Modlę się rano i wieczór, jak trzeba,
Za duszę ojca i za wasze zdrowie,
Do Panny świętéj koronkę odmawiam
A me świętości od Czerńców z Kijowa
Które mi ojciec przywiózł ukochany
Szanuję święcie i wieczór i rano
Całuję szczerze. Lecz cóżem ja winna
Że nierozumiem pana Astrolaba,
A kiedy w zapał dowodzenia wpadnie
A ja nie mogę nic pojąć z dowodu:
To myślę o czem innem.

ASTROLAB.

Tak! widocznie
De aliis rebus myśli principissa. —
Wieczór, gdy gwiazd jéj tłumaczę circula
I influentiam na życie człowieka
Respicit astra — ale gdy się spytam
O repetycyą — obmutescit plane.

HALSZKA.

Bo astrologii nierozumiem także
A i nie lubię — wszakże matka pani

Mówi, że moja gwiazda nieszczęśliwa,
I tylko troski na ten świat przyniesie,
Więc ja już niechcę badać tych tajemnic
Bo gdy się ziszczą dość będzie kłopotu.
A kiedy patrzę na gwiaździste niebo,
Na białe chmurki, co go koronkami
Słonią i nikną za wiatru powiewem:
To mi się niechce wierzyć, by te gwiazdy
Po nad którėmi Bóg i Matka Boża
Nieprzyjaznemi być dla człeka miały,
One się patrzą na mnie tak przyjaźnie,
Jak gdyby drogich umarłych źrenice.

ASTROLAB.

Ecce — otóż to — ecce superstitio —
Quoties mówiłem, że chmury te blade
Są tylko ziemi zwilżonėj vapores —
Że non probatum est in Theologia
Aby in coelo, które my widzimy
Angeli społem z świętemi mieszkali...

HALSZKA.

Ale już mówię, że nic nierozumiem
Z tych wszystkich nauk! Wy tam matko pani
Nauką w całėj słyniecie Koronie
Mnie tego daru widać Bóg odmówił!
Łacińskich książek sens mi jest ukryty
Słabym rozumem ująć go niezdołam —
Księgi mnie mierżą...

ASTROLAB.

Quod pejus! alumna
Nieprawdę mówi. Spernens źródła wiedzy
Które jėj z morza nauki podaję

Clam książki inne, zgubne dla młodzieży
Avide legit i właśnie dziś rano
Znalazłem.
(Szuka po kieszeniach — wyciąga z kieszeni książkę i podaje księżnie).

BEATA.

Cóż to? (czyta) Thomae Aquinatis —
Przecież nic złego.
(Halszka parska śmiechem z towarzyszką).

ASTROLAB (w gniewie).

Rozumiem — rozumiem!
Delictum novum! Niosłem księżnie pani
Ariosta, dzieło, włoskiego poety
Pełne dziwacznych a niesfornych fabuł
Niegodnych umysł zaprzątać niewiasty.
Dziś rano w rękach go Halszki zdybałem.
Widać że furtim wyszedł z méj kieszeni
A dolo malo wszedł tam święty Tomasz.

BEATA.

Więc tak?

HALSZKA.

Niemiejcie, pani matko sromu!
Prawda czytałam Orlanda, którego
Pan Kochanowski czytać mi zalecił
Ale niewidzę, co tam złego przecie.
Rycerze dzielni, co niewinność bronią
I bohaterki co się mieczem mierzą
A wszystko jakoś tak jasne i złote
Jako w pogodny dzień, gdy słońce świeci.
Ale gdy pani matka zakazuje
Niebędę czytać.
(Oddaje książkę).

BEATA.

Dość tego kłopotu —
Uczyć się więcéj niebędziesz, masz widać
Nieociosaną ojcowską naturę.
Teraz pocałuj w rękę Astrolaba
I za fatygi podziękuj daremne.

HALSZKA.

Dziękuję szczerze — ale niewiem matko
Za co mam w rękę doktora całować—
Czy za to że się niecierpliwił na mnie
I skargi wieczne nosił na niewinną,
Że mnie łagodnem nieprzywabiał słowem
Ale odstręczał obliczem ponurym?

BEATA.

Każę —

ASTROLAB (podaje rękę).

Ex jussu!

HALSZKA.

(Bierze za chudą rękę Astrolaba, ściska gwałtownie — a potem całuje — Astrolab krzyczy).

Całuję z rozkazu!

BEATA.

Złośnica! Odejdź, szanowny doktorze
Odtąd już wolny, będziesz mógł twym studiom
Żyć niezależnie. — Wieczór cię odwiedzę
Aby z badaniów gwiazdarskich korzystać.

(Astrolab odchodzi).

Ty nieposłuszna i niesforna córo!
Do poważniejszych gotuj się przedsięwzięć

A myśli lekkie oddal sobie z głowy,
Rycerzy włoskich i panny Arjosta.
Wiedz, że twe losy bliskie rozstrzygnięcia
Że z kawalerów, co gród odwiedzają
Wybrałam tobie męża, sobie zięcia.

HALSZKA.

Ja mam pójść za mąż, matko. Niemyślałam
O tem. —

BEATA.

Tem lepiéj. —

HALSZKA.

I za kogoż Matko?
Jeżli się spytać można. Od zamęścia
Jak mówią, przyszły cały los zależy
Szczęście lub smutek całego żywota.
Więc trzeba wiedzieć, kto ten los podzieli. —

BEATA.

O tem rodzice stanowią jedynie
Córce posłuszną być ich świętéj woli.
Lecz zkądże takie myśli wytrawione
U mojéj Halszki — czy także z Aryosta?
Czy może z innąd? Słuchaj mnie dziewczyno,
Grzeszysz jeżli co kryjesz przedemną. —

HALSZKA.

Ja nic niekryję — chociaż pani matko
Nigdyście serca mi nieokazali
Ani ufności obudzać niechcieli
Lecz nic niekryję.

BEATA.

Nieprawda Sanguszko
Zajrzał ci w serce.

HALSZKA.

Nierozumiem matki
Kniaź Dymitr z wszystkich co tutaj bywają
Najlepiéj mi się podoba — ni słowa —
Był to rówiennik mój i jako dzieci
Nieraz się tutaj bawilim w ogrodzie
A teraz chętnie mówię z nim wesoło
A gdy mu matka złe oko pokaże
Smutno mi bardzo i radabym, żeby
Nieprzyszedł więcéj, a kiedy przychodzi
Tom zła na niego. Nic więcéj —

BEATA.

Ja myślę
Że wkrótce więcéj przychodzić niebędzie.
Wydam cię za mąż.

HALSZKA.

Matko, matko pani
Strzeżcie się wielce, aby te gwiazd wróżby
Się niespełniły — bo gdy mnie wydacie
Gdzie moje serce nieprzylgnie od razu:
To nieszczęśliwy ten, który mnie weźmie.
Będę złośnicą, szatanem wcielonym
I zgubię duszę moją i zbawienie.
Wiecie, że jestem zła, mówicie nieraz
Astrolab mówi — o jeżli kochacie
Tego człowieka, strzeżcie go odemnie!

BEATA.

Poradzi na to ten, który cię weźmie.
(Odchodzi).

HALSZKA.

Więc już Astrolab niebędzie mnie uczył
Ani „de gratia“ ani astrologii.
(z namysłem).
I pójdę za mąż.
(do towarzyszki).
Słyszysz pójdę za mąż
Za kogo pójdę? Zróbmy przegląd wszystkich
Kompetytorów.

KUNEGUNDA.

Pierwszy podług wieku
Kniaź Siemion.

HALSZKA.

Ma lat sześćdziesiąt i siedem,
I siwą brodę i kocha mnie bardzo —
Piastował niegdyś — Poważny na ojca
Ale na męża — co myślisz Kondusiu!

KUNEGUNDA.

Nie — nie na męża. Potem kniaź Zasławski!

HALSZKA.

Ach nie! to niedźwiedź — zawlókłby mnie jeszcze
Gdzieś na straszliwy zamek pograniczny
I na tatarskie kazał patrzeć harce
Niemówi słowa — a patrzy jak jastrząb,
Ja nie gołąbka ale się go boję.

KUNEGUNDA.

Pan Piotr Zborowski.

HALSZKA.

A! sensat paskudny
Niech sobie siedzi w senatorskiem krześle,
Niech się z statutem nie z kobietą żeni.

KUNEGUNDA.

Pan Łukasz Górka.

HALSZKA.

Niechcę ani słyszeć
O panu Górce.

KUNEGUNDA.

Dla czego? — przystojny
Młody i grzeczny i wielki kawaler,
Czczony od króla, bogaty i szumny
A w takiéj świcie rycerskiéj przybywa.

HALSZKA.

Niechcę go —

KUNEGUNDA.

Pono Kniahini i prawdę
Rzekła, że Dymitr do serca jéj przypadł
A że na Górkę przyzwolić niechcecie
To kniaź Sanguszko jeno jest przyczyną.

HALSZKA.

Dla czego?

KUNEGUNDA.

Bo pan Łukasz Górka pono
Aplauz kniahini otrzymał jedynie!

HALSZKA.

Ja mam za niego iść? Nigdy — Kondusiu!

KUNEGUNDA.

Pan Górka długie miał z matką rozmowy
Ostatnią razą — a dzisiaj dwór cały
Już się gotuje na jego przyjęcie;
Czekać wesela tylko!

HALSZKA.

Co ty mówisz!
Ja za niego niepójdę! nie! niepójdę —
Ja go niecierpię. — Nie! nigdy niepójdę. —
Matka mnie nieprzymusi — o nie może!
Jabym umarła z bólu i rozpaczy
Jabym umarła, nimbym rękę dała!
Czemu mam tracić moją złotą wolność
Ja chcę być tutaj, z tobą, tu w Ostrogu,
Chodzić po polach — rwać kwiaty i śpiewać —
A wieczór słuchać dumek i powieści.
Mnie mąż nie w głowie.

KUNEGUNDA.

Lecz za mąż iść trzeba!

HALSZKA.

Trzeba! To potem za rok, za dwa lata
Za trzy — gdy kto mi się będzie podobał,
Kiedy przybędzie taki...

KUNEGUNDA.

Taki Dymitr!

HALSZKA.

Jeszcze nie Dymitr. — Nie! jeszcze nie Dymitr —
Dymitra lubię, gdy grzmi na Tatary
Jedzie na turniej — ale gdy tu przyjdzie
To go nielubię — poco on tu chodzi
Kiedy na niego krzywo matka patrzy —?
Nie, nie, nie Dymitr — inny — rycerz jakiś
Z kruczemi włosy pod złotą przyłbicą
Z marsem na czole — uśmiechem na ustach
A taki wolny, rzutny, jak ptak nieba. . .
Głupia'm dziewczyna; śmiejesz się Kondusiu
Takiego niema — tylko w Aryoście
I naszych skazkach. . . No! to już przepadło —
Ale ja niechcę iść za mąż Kondusiu!
A gdy już trzeba koniecznie, to niechcę
Tego pysznego koroniasza Górki
Wolę biednego mojego Dymitra!

KUNEGUNDA.

Biednego kniazia — z dziurami w kieszeni. . .

HALSZKA.

Lubię go za to. Hojnym był, rozrzutnym
Majątek sterał na tatarskie harce
Turnieje świetne! Niecierpię bogatych
A odkąd matkę widziałam liczącą
W skrzyniach łakomem okiem złota grzywny,
To się już patrzeć niemogę na złoto.
Górka bogaty — niechcę — niechcę — niechcę!
Dymitr pomocy może potrzebuje
Biedne on dziecko — często smutny bywa —

Wolę Dymitra i kochać go będę
Będzie szczęśliwy on i ja szczęśliwa.

*Wasyl z Dymitrem* (wchodzą)

WASYL.

A ty tu o czem tak Halszko rozprawiasz.

HALSZKA.

Stryjaszek!
(Rzuca się mu na szyję).

WASYL.

Ja — ja — i nie sam jak widzisz.

HALSZKA.

Kniaź Dymitr! —

WASYL.

Tak — tak i z ważnemi sprawy
Tu przybywamy. — Szukamy twéj matki.

HALSZKA.

Właśnie na zamek poszła z Astrolabem.

WASYL.

Nic to nieszkodzi — żeśmy cię spotkali
Kochane dziecko, bo właśnie i z tobą
Mamy pomówić.

HALSZKA.

A jabym stryjowi
Także tysiączne rzeczy donieść miała.

A najpierw: Już mnie nieuczy Astrolab!
Kniahini matka pogniewana na mnie,
Że niekorzystam nic z téj astrologii
I teologii, kazała mu przestać.

WASYL.

A ty? tyś rada temu?

HALSZKA.

Czy ja rada?
O bardzo rada! Ale drugiéj rzeczy
Trudno powiedzieć.

WASYL.

Ale wiedzieć łatwo;
Matka cię za mąż chce wydać, za pana
Łukasza Górkę.

HALSZKA.

Za Łukasza Górkę...
Ale stryjaszek na to niepozwoli —
Nie — niepozwoli. — Ja pana Łukasza
Górki niecierpię...

WASYL.

Nie — nie — niepozwolę. —

HALSZKA.

Dziękuję, bardzo stryjowi dziękuję. —
(Całuje go w rękę).

WASYL.

Ale by ciebie od Górki wybawić
Innego, jako dziewosłąb prowadzę,

Znanego z dawna, z poczciwego domu
A rowiennika twoich lat dziecinnych,
Kocha cię dawno — gdy pójdziesz za niego
To z rodzinnego niewydrze cię koła
A stary Wasyl, co kocha oboje,
Będzie się cieszył waszem spólnem szczęściem

(Bierze Dymitra za rękę — Dymitr klęka).

HALSZKA.

Panie Dymitrze — proszę wstać! Mój stryju
Czyliż koniecznie mam być żoną kniazia
By nie być Górki Łukasza małżonką?
Pan Bóg i serce własne mi powiada,
Że chcąc być żoną, trzeba kochać męża
Trzeba szanować go i służebnicą
Być w jego domu, w maleńkości własnéj
Patrzeć na niego i widzieć w nim razem
Ojca i matkę i pana swéj duszy.
Jać mam przychylność do kniazia Dymitra
A szczerą przyjaźń a po was i matce
Nikomu może tak dobrze nie życzę.
Kiedy on smutny i ja się zasmucam
Kiedy wesoły, chętnie patrzę na to
Ale sumienie mówi mi tam w duszy,
Żebym go jako męża niekochała,
Nieszanowała, jak to czynić trzeba,
Więc nie — niemogę być Dymitra żoną.

WASYL.

Kiedy go kochasz trzeciego z kolei,
Gdy mężem będzie, oddasz mu pierwszeństwo.
Górka lub Dymitr — wybór ci otwarty.
Matka już z Górką zrobiła układy
Sam król Jegomość był mu dziewosłębem.

HALSZKA.

Więc matka moja przeciwną kniaziowi
A ja méj matce przeciwną niebędę.
Za Górkę iść niemyślę — nie! bo niechcę
Nieszczęście komu gotować miast szczęścia.
Ale wbrew matki niewejdę też w śluby
Bo tego święte posłuszeństwo broni.

DYMITR.

Kniahini Halszka tak widać niepomna
Serdecznéj naszéj przyjaźni od dziecka,
A choć życzliwą Dmitrowi się mieni
Na jego przyszłość bolesną nie baczy
Gdy to, co było mu nadzieją życia
Zgaśnie, lub w inne ręce się dostanie.

HALSZKA.

Będę się modlić, byście mężem byli.
Ja będę cierpieć, wy znosić umiejcie!

WASYL.

Rycerskie dziecko, widać krew ojcowską,
Lecz słuchaj Halszko. Znasz matkę kniahinię
Nieprzełamanéj siły duszy panią,
Gdy ona zechce a ja cię opuszczę
Nikt cię od pana Górki nieuchroni.
Wiem, że kniaź Dymitr dobrym będzie mężem
I chcę, by Ostróg nieszedł w obce ręce!
Moje i jego szczęście w twoich rękach
Idąc za niego przyniesiesz ojczyźnie
W Dymitrze Polsce dzielnego obrońcę
A filar silny Rusi ukochanéj.
Rycerskie dziecię, Konstantyna wnuka

Gdzie indziéj szczęścia dla siebie nie szuka.
Bądź mu chętna Elżbieto!

HALSZKA (podając rękę Dymitrowi).

Jestem chętna.
Chciałabym szczęścia dla niego i dla was!
Jeżeli matka ma sprzeczną niebędzie
Pójdę za niego.

WASYL.

A no! mój Dymitrze
Pocałuj rączkę — pójdźmy w imie Boże

KSIĘŻNA BEATA.
(z listem w ręku wchodzi).

Kniaż szwagier — i kniaż Dymitr! Halszko moja
Możesz oddalić się.

WASYL.

Za jéj łaską —
Niechaj zostanie chwilę — jest to sprawa
Która wymaga obecności Halszki. —

BEATA.

Cóż to za sprawa może jéj wymagać —?

WASYL.

Nietajna pewno jéjmości bratowéj
Przyczyna częstych a pilnych odwiedzin
Kniazia Dymitra Sanguszki. Wiadome
Niemniéj układy obu nieboszczyków
Kniazia Sanguszki i brata mojego
Względem małżeństwa dzieci ich jedynych
A połączenia dwóch domów przesławnych!

Ja sam opiekun z nieboszczyka woli
Kniazia Dymitra wiodłem tu na zamek
A o przychylność jego dobrym chęciom
Prosiłem księżnę. Dziś czas spełnić wolę
Książęcia Ilji — więc starym zwyczajem
Kniazia Dymitra jako swat prowadzę,
Starania jego mą wspierając wolą,
A prosząc z duszy, aby Wasza Miłość
Wierna zmarłego ostatecznéj woli,
Pamięcią jego rozkazów wiedziona
Inne przeciwne porzuciła myśli
A córką swoją starym matek torem
Litewski dom ten uszczęśliwić chciała,
Jako ja wielce sobie tego życzę,
A młoda księżna przeciwną niebędzie.

BEATA.

Wielce mi cenny afekt kniazia Dmitra
A pamięć woli męża mego święta.
Ale dla tego właśnie, że tą wolą
Było, by dziecko szczęśliwem uczynić
A dziś ten związek szczęścia mu niewróży;
Matka troskliwa przyzwolić nie mogę.
Chcąc przykrość mojéj odmowy oszczędzić
Księciu Sanguszce, starałam się pilnie
O odwrócenie jego oświadczenia
Odkąd ujrzałam związku niestósowność,
Kniaź Dymitr niechciał widzieć.

WASYL.

Owszem widział —
I gdyby nie ja — niebyłby się pewnie
Na kwaśne księżny przyjęcie narażał.

BEATA.

Zresztą Elżbieta jest już przyrzeczoną
Jegomość panu Łukaszowi Górce. . .

WASYL.

Co mówisz księżno! Elżbieta jest wolną —
Ja o tem niewiem i wiedzieć nic niechcę,
Ni opiekunem malowanym będę!. . .
Czy księżna zapominasz — toć przypomnę
Ale nic wtedy woli méj niezłamie.

BEATA.

Myślę, kniaź szwagier będzie za rozsądnym
By się sprzeciwiać małżeństwu, którego
Sam król jest swatem.

(Podaje mu list).

WASYL.

Ho! ho! mości księżno
Będę na tyle wolnym synem Polski
By się sprzeciwić. Pisma widzieć niechcę
Król czyli papież — to mi wszystko jedno
Jam głową rodu i ojcem Elżbiety.
A co tam wasza miłość ułożyłaś
Choćby z wszystkiemi królami chrześciańśtwa
I pieczęciami mądrze opatrzyłaś
To nic, gdzie mojéj niezłożę pieczęci.
Jeżli kniaź Dymitr ma odejść z koszykiem
Niech go i Górka z swoim swatem nosi.

BEATA.

Więc nielękacie się gniewów królewskich.

WASYL.

Będę się lękał, gdy mnie sejm osądzi.

BEATA.

Zobaczym kniaziu!

WASYL.

Zobaczym kniahini!
Póki się podnieść może siwa głowa
Koroniasz w zamku ostrogskim niesiędzie.
(Do Halszki).
Ty moje dziecię — nie troszcz się zbytecznie,
Bo Łukasz Górka mężem twym niebędzie.
(Halszka całuje w rękę stryja i płacze).
Patrz na to dziecię. — Ty patrzysz jéj szczęścia
Dumna kobieto — czy te łzy to szczęście?
Nie na to Ilji, brata mego córa
Pókim żyw jeszcze!

BEATA.

Tu do mnie Elżbieto
Matka ci każe. Żegnam moich kniaziów!
(Odchodzi z Halszką).

WASYL.

No miły kniaziu! teraz Halszka twoja.
Jakem Ostrogski! masz mą rękę na to!
(Kurtyna spada).

# AKT DRUGI.

**Na zamku Ostrogskim.**

Komnata księżny Beaty.

---

*Astrolabus, księżna Beata.*

ASTROLABUS.

Terque, quaterque felix dies ista
Jak zapisano w księdze gwiazd niebieskich.

BEATA.

Dobrze doktorze. A méj córki gwiazda.

ASTROLABUS.

Felicissima. —

BEATA.

Chwała Panu Bogu
Konstellacye zmienione.

ASTROLABUS.

Ad leonem
Zbliża się. —

BEATA.

Bo też i „Leon" się zbliża.
Idź mój doktorze!

(Astr. odchodzi).

Pan Górka dziś wieczór
Obiecał przyjazd. — Rzecz bliska skończenia.
Ale oględnie trzeba ją prowadzić
Bo książę Wasyl gotowy na wszystko.

(Klaszcze w ręce. — marszałek wchodzi).

BEATA.

Straż ustawiona?

MARSZAŁEK.

Na rozkaz kniahini

BEATA.

Przy bramach straż podwoić i armatek
Dwie poustawiać przy każdéj na blankach
Niech tam straż z wieży opatrzne ma oko
Nikogo nieprzypuszczać aż za hasłem,
Gdy powie hasło, mnie przynieść i dalszych
Czekać rozkazów.

MARSZAŁEK.

Rozumiem kniahini. (n s.)
Inne my hasło znamy mościa księżno.

(Odchodzi).

BEATA (patrząc na zegar ścienny).

Tak późno. Górka nieprzyjeżdża jeszcze
Chowaj Boże nieszczęścia. Miał tu przybyć
Z brzaskiem wieczora — teraz północ blisko
A nieprzybywa. — Kniaż Wasyl oddawna
Z swoim Sanguszką żarłocznie spogląda
Na moje kufry napełnione złotem.
Halszko!

HALSZKA (wchodząc).

Co każe mi pani a matka?

BEATA.

Byłaś ty u spowiedzi?

HALSZKA.

Byłam, matko
I w Bogu ufność pokładam, że odtąd
Będę wam dobrą i posłuszną córką.

BEATA.

Ubieraj się Elżbieto!

HALSZKA.

Matko — pani?

BEATA.

Wdziéj białą suknię, co mą ślubną była,
W dziesiątéj szafie na lewo — na kartce
Napis przeczytasz, że to moja ślubna,
I tobie ona dziś na ślub posłuży.

HALSZKA.

Ślub! pani matko!

BEATA.

Cicho! żadnych fochów
Fochy po ślubie dla męża zachować —
Idź się ubierać — niech ci przypną wieniec,
Panny cię dworskie do ślubu powiodą.
Pan Górka w krótkim przybędzie momencie.

HALSZKA.

Matko?!

BEATA.

Ni słowa! Nieczas tu na lament —
Wszystko gotowe — pośpiech nam potrzebny
Bo niebezpieczna każdéj zwłoki chwila.
Chcę — bądź posłuszną! Ubieraj się Halszko!

HALSZKA.

Nie! ja niepójdę — nieruszę się z miejsca
Matko! niepójdę — niepójdę do ślubu!
Niezabijajcie mnie! Błagam na wszystko
Na cienie ojca, na niebo i Boga,
Jeżeli w sobie serce Matki macie.
Muszę być nieposłuszną — muszę — muszę —
Bo nienawidzę tego Pana Górki
Niech do rozpaczy mnie matka niewiedzie,
Bo moja dusza na waszéj zacięży.

BEATA.

(Klaszcze w ręce — Kunegunda z kilkoma pannami wchodzą).

Z szafy dziesiątéj na lewo tam — szatny
Ślubną wam suknię wyda. W nią ubierzcie
Kniahinię Halszkę.

HALSZKA.

Matko, czy ty myślisz —
Że ja „tak“ powiem przy ślubie. Ha! ha! ha!
Suknię weselną wtłoczą na mnie sługi
Ale któż słowo z ust wydrzeć potrafi?
Nikt mi niewydrze! nie! bo w głębi duszy
Czuję, że prawo mam, by się sprzeciwić
I niedać wepchnąć w nieszczęście na wieki.
Nie! przed ołtarzem ja zęby zacisnę
A piersi moje będą milczeć wiecznie!
Lecz ten na krzyżu, co patrzy z ołtarza

A wielką boleść mojéj duszy widzi
Ten nas rozsądzi!
(Odchodzi — i wraca).

HALSZKA.

Matko! matko — moja!
Zgrzeszyłam bardzo! Uniosłam się wielce,
Bo bardzo, bardzo mnie serce bolało —
Podniosłam głos na siwą waszą głowę...
Dziś w dzień spowiedzi. Wielka moja wina!
Lecz ja was kocham, matko, kocham szczerze!
I na kolanach błagam was! litości!
Niechciejcie mojéj zguby i nieszczęścia
Tego człowieka! Nieciągnijcie w przepaść
Biednéj Elżbiety! Ja tak zła niejestem,
Ja czuję w sercu, że mam skrzydeł dwoje
Które ku światu i ku niebu biją —
Ale wy nigdy mnie niedali ująć
Temi skrzydłami tego, com powinna
Kochać na ziemi... O niechciejcie teraz
By pękło serce, co was kocha w głębi —
Nieodpychajcie Halszki matko pani!

BEATA.

Gołębich gruchań słuchać niemam czasu.
Córka — posłuszną bądź rodziców woli.
Idź się ubierać.

HALSZKA.

Tak... Pójdę więc matko!
Ale co mówić zakaże sumienie
Tego niepowiem. Pójdę do ołtarza,
Ale powrócę tą samą, co jestem
A kto niezważy na moje milczenie
Ten świętokradzkim splami duszę czynem.

BEATA.

Mniejsza o ceremoniał — moja Halszko!

(Halszka odchodzi).

BEATA.

(Idzie ku oknu — za którym raca błyska).

Jadą.

(Kunegunda z pannami przechodzą).

Ubierać kniahinię co prędzéj —
I wy w świętalne ubierzcie się szaty.

MARSZAŁEK.

Podług rozkazu wpuszczono rycerzy.

BEATA.

Ale ich hasło? hasło?

MARSZAŁEK.

Ruś i Litwa!

BEATA.

Co to ma znaczyć? Ha! zdrajco!

MARSZAŁEK.

Ruś, Litwa!

(Wychodzi).

BEATA.

Tentent koni słychać.

(Beata biegnie ku oknu).

Ha! nieznajomy jakiś poczt. Pan Górka
Miał przyjechać samoczwart.

KUNEGUNDA (z kobietami dworu).

Księżno pani!
Gwałt, rozbój, napad. Cały zamek w ruchu!
Powiadają, że czambuł Tatarów —
O mój Boże!

BEATA.

Gorzéj niż Tatarzy
To kniaż Wasyl —!

(Upada na krzesło).

HALSZKA (wbiegając).

Matko! matko! matko!
Panie! ratuj!

BEATA.

Precz żmijo odemnie!
Zabiłaś mnie!

HALSZKA.

Ratujcie! Ratujcie!
Mówi od rzeczy! Zawołać doktora!

BEATA.

Precz odemnie! Zabiłaś twą matkę!
O zabiłaś — zabiłaś na wieki!
Żmijo! — odejdź mi ztąd żmijo!
Nieprzytulaj się do mnie!

HALSZKA.

Matko — Matko!
To ja córka wasza, pani Matko!
Wasze dziecko! co was kocha bardzo!
O ja biedna...

BEATA.

Przeklinam cię! przeklinam! przeklinam!
Gdzie są ludzie? Ha! wszyscy zdradzili
Nawet córka mnie własna zdradziła —
Ale po mym trupie — po mym trupie!...

HALSZKA.

Matko! matko! czego chcesz odemnie?

BEATA.

Ty się pytasz? bezwstydna.

HALSZKA.

Bezwstydna!
O ratujcie ona jest w malignie!

BEATA.

Precz! precz! żmijo! Znosić się na matkę
Rozbójników wołać na swą matkę —!

(Słychać tętnienie kroków na wschodach).

HALSZKA.

Ha! rozumiem! Więc matka o córce
Mogła myśl tak przypuścić straszliwą!
Matko! matko! na dziewictwo moje
(klęka i wznosi rękę do przysięgi)
Na grób ojca, na pradziadów kości,
Na zbawienie méj duszy po śmierci
Na Najświętszą klnę się Maryą Pannę
I na Boga i Trójcę jedyną
To nieprawda! przeklnij mnie inaczéj!

*Wasyl* i *Dymitr* (ze świtą wchodzą).

HALSZKA.

Precz ztąd! Jéj Mość matka moja chora
Niezamącać ciszy jéj komnaty!
I to stryj mój i to kniaź Sanguszko!
Jako zbójce wjeżdżają na zamek
Gwałcąc straże i niesfornym tłumem
Napełniając stary gród Ostroga!
Precz ztąd mówię, matka moja chora!

WASYL.

Łatwo twoim przebaczamy słowem
A miłości poczciwéj ku matce.
W wrogiéj tutaj nieprzychodzim myśli
Jeno srogą zmuszeni potrzebą
Wojennego użylim fortelu.
Kiedy w zamku wjeżdżaliśmy bramy
Łukasz Górka nadjeżdżał samoczwart
W ciszy nocnéj, by pod jéj zasłoną
Księżnéj Pani dokonać zamiarów —
Wzięty dzisiaj, jutro puszczon będzie.
Ale słowo dał Wasyl Ostrogski
Że się księżnéj zamiary niespełnią
I dotrzymał. Teraz, raz ostatni
Jako zwyczaj starodawny każe.
Prosim księżny o jéj zezwolenie,
Żaden opór tutaj niepomoże.
Więc błogosław i pójdziem do ślubu.

BEATA.

Błogosławić będę memu dziecku
I przepraszać, żem go posądziła
O ohydne sprzymierzenie z wami.
Pójdź ma Halszko! błogosławię tobie

Serce złote masz, i nieugięte.
Ale temu zbójcy i bandycie
Co pogwałcił gościnności prawa
Ręka moja krzyża niepołoży
Na zbrodniczem i wszetecznem czole.
Wy moc macie, róbcie, co możecie.
Bóg i sędzia widzi wszystko z góry
A na ziemi namiestnicy pańscy
Winnych kary dosięgną piorunem!

WASYL.

Gorszy pono, co winę wywołał
Lecz sumienie niech każdego sądzi.
Wy kniahini, chcieliście gwałt zadać
Córce waszéj, mojéj, ojca woli.
Więc też gwałtem gwałt wasz odpieramy
Nieuczeni we włoskich fortelach,
I nieznając sztuk królowéj Bony,
Wjechaliśmy z rycerską drużyną
Gwałtu w grodzie nieczyniąc nikomu.
Bo przyjazna nam zamku załoga.
Wjechaliśmy we świętalnych szatach
Bo wesele, jak widać gotowe:
Panna ślubną ma suknią na sobie
A kaplica od świateł się jarzy.
Błogosławcie, kniahini Beato
Bo daremne opory i gniewy.

BEATA.

Kończcie gwałtem, gdyście gwałt zaczęli,
Kończcie gwałtem, by pioruny niebios
I przekleństwo uciśnionéj matki
Więcéj skutku i siły nabrały!
Ja niepójdę i ona niepójdzie —

Więc nas weźcie rycerską prawicą
I ponieście jak zmarłe do grobu.

WASYL.

Nie, niesłucha Bóg złośliwéj mowy
A człek prawy z przekleństwa się śmieje:
Kto raz w życiu dobrą niebył matką
Niema prawa użyć téj godności.
Niechcecie błogosławić, mniejsza o to
Moja ręka przychylna i stara
Nowożeńcom niech pobłogosławi.
Pójdźmy teraz. — Halszko! podaj rękę...

HALSZKA.

Nie! kniaź Dymitr dzisiaj zbójcą został
I potérał siwą matki głowę —
Wstyd mój zdeptał nogami jak zbrodniarz,
Więc też gardzę nim jako zbrodniarzem.
A Ostrogska, Konstantyna wnuka
Z nim przed ślubnym niestanie ółtarzem.

WASYL.

Ho! ma Halszko! myślisz, że kniaź Wasyl
Niewieściemi się miękczy gniewami,
A gdzie z pocztem po pannę zajedzie
Tam bez panny, jak zmyty powraca.
Chcę i każę.

(Bierze ją za rękę i daje Dymitrowi).

DYMITR.

Halszko! Halszko moja!
Pójdźmy, pójdźmy!

HALSZKA. (Wyrywając rękę).

Gardzę wami kniaziu.

Nieba wzywam, jako gwałt czynicie
Mojéj woli!

DYMITR (chwytając ją za rękę).

Późniéj pomówim o wzgardzie
Lub o miłości — mój piękny sokole!
Żelazna ręka rycerska cię trzyma
Pójdź do kaplicy.
(Bierze ją w pół i prowadzi ku kaplicy).

BEATA (zatrzymując ich).

Stójcie! jeszcze chwilę!
Słaba niewiasta niebędę walczyła
Z gwałtem. Niechaj was wielki Pan Bóg sądzi!
Niech świat osądzi, jak bez czci i wiary
Przyjechaliście, jak horda tatarska
I moje dziecko wleczecie jak brankę.
Niech dzieje Polski ten przykład haniebny
Podadzą wiekom, jak rycerz, kniaź Litwy
Z prastaréj władzców litewskich rodziny
Jako rozbójnik napadł gród niewieści
I z niewiastami wojował ohydnie.
Niech dzieje sądzą, mnie patrzeć i milczeć
Lecz, matka, prawa mam tyle do córki
By jéj powiedzieć słowo przed tym krokiem
Który rozstrzygnie cały los jéj życia —
Na całą wieczność bierzecie mi dziecko
Dozwólcie chwilę ująć z téj wieczności —
Niech ją pożegnam.

WASYL.

Żegnajcie, kniahini.
Jeżli na długo żegnać jéj niechcecie
To złamcie upór wasz i waszą zawiść.

BEATA.

Moją nienawiść poniosę do grobu.

(**Bierze Halszkę za rękę — i prowadząc ją do ołtarzyka stojącego po lewéj stronie sceny — mówi przytłumiono i cicho:**)

A moja Halszka także ją do grobu
Poniesie z sobą. Nieprawdaż? Ma córka
Pamiętna będzie hańby swéj i gwałtu
Pamiętna siwych włosów swéj macierzy
Zesromoconych ręką świętokradzką!
Moja Elżbieta będzie tą niezłomną
Nieprzebłaganą, nieujętą niczem
Jaką się w chwili strasznéj pokazała
Kiedy jéj matkę nogami zdeptano.
Będzie tych wielkich błogosławieństw godną,
Które nań zlewam! Córko! córko moja!
Ty będziesz taką —?!

HALSZKA.

Będę, będę, będę!

BEATA

Przysięgnij na tę Matkę wszéj boleści
Na rozpiętego Chrystusa na krzyżu.
Że się nieugniesz niczem, będziesz wierna
Pamięci mojéj i twojéj sromoty,
Że nienawidzić go będziesz jak godzien!
Że twoje serce niezadrży litością
Gdy go grom kary u twych stóp powali;
Bo gdybyś drgnęła miłością, współczuciem,
To ci ten siwy włos rzucę w twe oczy
Przekleństwo matki na głowę ci rzucę —
A Matka Boska odejdzie od ciebie
A Bóg nad tobą laskę sądu złamie —
Przysięgnij, Halszko!

HALSZKA.

Przysięgam!

BEATA.

Idź teraz!

(Odchodzą wszyscy — Beata rzuca się w krzesło).

ASTROLAB.

(Wchodzi i podaje jéj elixiry do ocucenia).

Nefanda dies!

BEATA.

To ty Astrolabie.

Oszukałeś mnie strasznie!

KONIEC IIgo AKTU.

# AKT TRZECI.

W zamku księcia Dymitra.

Halszka siedzi na przodzie sceny zaczytana w księdze pobożnéj — Dymitr w tyle sceny.

---

DYMITR.

Dziś trzy miesiące po ślubie — Elżbieto.....
O tyś niezgięta, kamienna niewiasta!
W moich ramionach gorących jak piekło
Lodowem zimnem mroziłaś pierś moją,
Że mi opadły bezsilnie, z przestrachem,
Jakbym mogiły świętości naruszał.
Stoję jak dzieciuch, ha! ha! ha! jak dzieciuch,
Jak zwierz wstrzymany spojrzeniem człowieka;
Pókiż tak będzie? — Elżbieto! Elżbieto!
Pókiż tak będzie? Rozgryzłaś mi duszę
Rozbiłaś męzki hart i wolę męża,
Dosyć zwycięztwa — niewytrzymam dłużéj!
Spojrz się inaczéj — raz przemów inaczéj
Życie i duszę za jedno spojrzenie!
Życie i duszę! Stary we mnie człowiek
Szyderczo smieje się ze mnie i woła,
Żem ja oszalał... O pewniem oszalał,
Zgłupiałem, mózg mój zagniótł się na głowie,
I pierś się moja rycerska zapadła.....
O tyś mnie zmogła — a zmogła na wieki!
Niepoznaję się więcéj..... ja nie Dymitr:
Hulaszczy Dymitr — wrę gniewem na siebie
Lecz gdybyś chciała o! tobym przed tobą

Spłakał złe wszystko, co na duszy cięży
Jak małe dziecko i ja byłbym czysty
Jak małe dziecko.

Czego chcesz odemnie!
O ja zły byłem — brzydki i swawolnik,
Kobieta brudna, była dla mnie chucią,
I ty, ty nawet — Patrzałem na ciebie
Jak jastrząb na gołębia — Ale teraz
Ja czuję, że dziś jaśniutki Archanioł
Wylata z piersi, by się ująć w skrzydła...
Tylko mi niemilcz i spójrz się inaczéj...

Nieodpowiadasz! Halszko! Halszko moja
Pan Bóg tak zrządził, żeś moja; że gwałtem
Że grzechem moim, to prawda — Lecz Halszko,
Ja gwałt gołębią nagrodzę słodyczą
Grzech mój odklęczę i łzami zaleję
Chociażby płonął strasznie, jako piekło!
Ja będę dobry — dobry i łagodny
Anieli w niebie ucieszą się ze mnie
A ty na ziemi. Czuję, że potrafię
Miłością moją stać się takim silnym
Jak inni ludzie silni są wielkością —
Czuję, że niebem twoich świętych oczu,
Jeżli się ku mnie przyjaźnie rozchylą
Polecę w niebo i gwiazdy zdobędę...
Ale ty Halszko miéj litość nademną!
Nieodpowiadasz?

HALSZKA.

Wielkie sądy Boże,
Co nas złączyły, by nas ukarały,
Tę jedną tylko mogę dać odpowiedź.

DYMITR.

W twojéj jest mocy przebłagać te sądy,
Niebo otworzyć Dmitrowi i sobie!
Zbawić człowieka duszę i w spokoju
Stróżem Aniołem stać mu się na zawsze
W twojéj jest mocy zbawienie człowieka
I ty się wachasz?

HALSZKA.

Przysięgłam na własne,
Że podług czynów waszych wam odpłacę,
Jam karą niebios tylko — nie zbawieniem.

DYMITR.

Czyż mogła tyle zmienić jedna chwila?
Wszakże ten sam ja jestem, com był przódy
Przyjaciel domu, rówieśnik twój młody —
Tylko cię kocham bardziéj, stokroć bardziéj!
Czarności mojéj niemogę dopatrzeć
Od owéj chwili — owszem, lepszy jestem —
A skruchy czuć niemogę, bo dziś jeszcze
Gdyby mi przemoc ciebie odebrała
Jabym znów poszedł zdobyć cię przemocą.

HALSZKA.

Wszystko zmieniła jedna gwałtu chwila.
Pomiędzy wami i mną — przepaść głucha,
Samiście przepaść tę straszną otwarli
I w jéj ciemności rzucili twarz matki
I ojca widmo i cześć mą dziewiczą.
Jam jest shańbiona, ja czysta i dumna
Niewieścią cnotą, jak pannie przystoi. . .
I wy niewiecie, jaka wasza zbrodnia!
Serce me dla was zamilkło na wieki,

Krew młoda w jednéj zatruła się chwili,
Na naszą przeszłość padł kir niepamięci
I znam was tylko od czasu méj hańby.
Idźcie Dymitrze — idźcie z oczu moich
Boleć mnie tylko i płakać na wieki.

DYMITR.

Płakać na wieki — gdy szczęście tak blisko
Gdy te ramiona moje, czuję dobrze
Nieba przychylić mogą ku twéj skroni,
A w mojéj piersi tyle życzeń dobrych
Ile w ojcowskiéj chyba, co zastygła!
Kiedy w méj duszy czuję, że raj nieba
Nieumną ręką umiałbym otworzyć,
I takiem światłem cześci cię spromienić
Jak świętą pańską! Chcesz płakać na wieki!
O Szatan mieszkał w duszy twojéj.....

HALSZKA

Kniaziu!
Niech święte słowo z ust waszych niewyjdzie!
Świat mego szczęścia runął mi na wieki.
Jedna go chwila zniszczyła do szczętu:
Prawda przedemną twarz swą odsłoniła.
Jedna jest tylko droga na tym świecie
Powinność tylko! Biada mi, żem może
Niezawsze świętéj strzegła powinności
A mojéj matce krnąbrną była córką:
Teraz mi srodze pokutować za to,
Cierpieć i milczeć. Wy kniaziu Dymitrze
Ugnijcie karku przed sądy Bożemi
I bądźcie mężem w znoszeniu boleści.

DYMITR.

Nie! ja chcę szczęścia — chcę miłości waszéj,
Ja ją mieć muszę, choćby duszę stracić
Tyś moja, moja! ty musisz być moja!
Czy piekło, czyli niebo ma pomagać.
(Porywa ją w ramiona).

HALSZKA.

Wyście mężczyzna — siłę w dłoniach macie,
A jam bezsilna, złamana i smutna
Łatwe zwycięztwo.

DYMITR (puszcza ją).

Niechcę takich zwycięztw.
Nie! nie! Przebaczcie szalonemu człeku
Co taki niski i mały przed wami.
Idźcie, Elżbieto — a módlcie się za mnie...

HALSZKA.

Będę się modlić — Spokój z wami kniaziu!
(Odchodzi).

DYMITR.

Ze mną spokój — Człowiek zczarowany
Niema spokoju — błąka się jak upiór
W komnatach zamku, czyli niedosłyszy
Szelestu sukni — albo gdzie przez okno
Cienia postaci niedojrzy z daleka.....
Ja niewiem — niewiem — co się dzieje ze mną,
W Dymitrze niema dawnego człowieka:
Tamten zginął gdzieś w stepach za Tatarem,
W kielichu na biesiadzie się utopił,
Lub u dziewczęcéj gdzieś kosy zawisnął —
Niema go. Jam się urodził na nowo,
Zaczął chłopięce lata i postarzał

I schylił głowę od wielkiego trudu.....
Czasem się dawny człowiek we mnie ruszy
Tobym ja wtedy miecz porwał ze ściany
I zabił tę kobietę, aby widzieć
Jakie czary są w jéj sercu krwawem —
A potem szalał — szalał gdzieś po ziemi —
Ażbym w stepowym gdzie usnął kurhanie...

ODACHOWSKI (wchodzi).

Kniaziu!

DYMITR.

Każ mi konia dać — najdzikszego
Konia z méj stajni.

ODACHOWSKI.

Panie, panie miły!

DYMITR.

Słyszysz — ja konia chcę — konia! powietrza!
Ten dach się wali na mnie — w piersi ciasno —
Konia! Marszałku!

ODACHOWSKI.

Nieszczęsna godzina.
Gdy nowa pani weszła w zamku mury.

DYMITR.

Milcz stary! kilka razy już słyszałem
Jakeś narzekał na nią. Milcz mi stary!
Czołem twem siwem przed nią. Konia! konia!

(Odchodzą).

## W Knyszynie.

*Zygmunt-August — Uchański biskup — Zebrzydowski biskup — Marcin Zborowski kasztelan Kaliski — Łukasz Górka Wda Poznański i kilku innych Senatorów.*

ZYGMUNT AUGUST (do Łukasza Górki).

W grochowym wieńcu zostaliśmy oba
Panie Łukaszu.

GÓRKA.

Mniejsza już o wieniec
Królu a panie. Mnie to serce boli
Że taki srogi gwałt uczynion pannie
Wielkiego rodu i pięknéj jak gdyby
Helena grecka.

ZYGMUNT AUGUST.

Toć trzeba nam dzisiaj
Grecką wyprawę na Parysa czynić
A kniaziom moim prawa poczuć ciężar.
O unią krzyk powszechny od dwu wieków
A kiedy wiązać chce ludy braterskie
Król małżeństwami to nieszczęścia jeno
Na nowożeńców młode głowy lecą!
Boże się pożal. Jedni godni drugich
W wściekłéj zazdrości, w nienawiści dzikiéj
W niechrześciańskim gniewie i sprosnościach.
Aleć król Zygmunt nieustąpi kroku
I co ma dopiąć, co mu Bóg rozkazał
To musi dopiąć. Cierpiał on, niech inni

Cierpią — bez cierpień niema unii świecie,
Chyba w wieczności gdzieś... gdzie cierpień niema.
Obiecałem Jéj Mości nieboszczce
Daj jéj niebo wiekuisty Panie,
Że połączę dwa bratnie narody:
I co siły dotrzymam jéj słowa —
Kiedy umrę bezdzietny i smutny
Bezpotomny Jagiełłów następca,
Niech nad moim i Barbary grobem
Krew bratymczych plemion się nieleje.
Ale jako Bóg nas niegdyś złączył
Na złączenia dwóch ludów przeobraz,
Tak niech Litwa z Polską się połączy
W jedno wielkie chrześciańskie ciało
Kościelnemi powiązana śluby,
A to, co mnie bólem życia było
Niechaj stanie się szczęściem téj ziemi.

MARCIN ZBOROWSKI.

Amen, królu. Bóg daj by tak było!
Alеć bracia nasi, pany Litwy
Już dziedziczną ku nam tchną zawiścią,
Jako nowy tego dowód mamy.

ZYGMUNT AUGUST.

Bijcie w piersi dłonią, koroniasze
I wam niebrak dumy i zawiści
A dziedziczne obie nienawiści.

MARCIN ZBOROWSKI.

Starsza siostra w Chrystusa kościele
Służebnica Pańska od lat wiela
Słusznie w bożéj hierarchii ludów
Po przed Litwą miejsca się domaga
A pierwszeństwa w Chrześciaństwie żąda.

ZYGMUNT AUGUST.

Kędy miłość, tam niema pierwszeństwa.

MARCIN ZBOROWSKI.

Kędy miłość, tam nieczuć pierwszeństwa.

ZYGMUNT AUGUST.

Macie słuszność, Kasztelanie miły
I uważcie, czyli wasza mowa
Tak miłosna, że nieczuć pierwszeństwa —
Niechaj strony przed tronem się stawią.

JEDEN z HALEBARDNIKÓW.

Jéj Mość Księżna na Ostrogu sama
Z mowcą swoim Panem na Czarnkowie!

DRUGI HALEBARDNIK.

Jegomość Książe Wasyli z Ostroga
Z Odachowskim obrońcą przybywa.

(Księżna Beata z jednéj — Książe Wasyl z drugiéj strony wchodzą —
Księżna Beata w żałobnych sukniach).

ZYGMUNT AUGUST.

Cześć niechaj będzie matczynéj boleści.
Księżno Beato — proszę siąść — Mąż, ojciec
Na senatorskich zasiadali krzesłach,
Czemuż by miejsca ich córa i żona
Strapiona wielce niemiała zasiadać.

BEATA.

Nie! Na kolanach przed tronem jest miejsce
Strapionéj, srodze uciśnionéj matki
A pokrzywdzonéj w swym skarbie jedynym
W swego drogiego dziecięcia osobie.

Tu na kolanach klęczeć będę, królu
Siwe me włosy do stóp wam rozścielę,
I stopy wasze rękami oplotę
Póki niestanie się zadość méj krzywdzie,
Póki głos matki niewywoła zemsty
Na zbrodniczego domu gwałciciela,
Póki grom kary, co w waszéj drży ręce
Promieniem winnéj niedosięgnie głowy.

ZYGMUNT AUGUST.

Księżno Beato! otrzyjcie łzy wasze
I uspokójcie gwałt waszego bólu,
Król o serdecznem ręczy wam współczuciu,
A dziecię Ilji, daj mu niebo Panie!
Bliskie mu serca, jako własne dziecię —
Toć sprawiedliwość pełna się dokona,
A kara winnych dosięże niebawem.
Siadajcie Księżno.

WASYL.

Jeżlić Król Jegomość
Przed sprawą taką odzywa się mową;
To niepotrzebna pono i obrona.
Alem ja ufny, że jakie tam kolwiek
Związki was łączą z niosącą żałobę
To one waszéj prawości niezmienią.
Nieznanych widzę senatorów wprawdzie
Głowy — koronnych samych widzę braci
Alem ja ufny, że, gdy unia bliska
A utęskniona dla obu narodów
To oni nowym potwierdzą dowodem
Wielkie sąsiednich ludów pobratymstwo:
Gdy niepotwierdzą-no! to nowa próba
Że Polska Litwie siostrzycą niebędzie.

MARCIN ZBOROWSKI.

Kniaziu Ostrogski, nie łatwo z przypadku
Losy narodów obójga wyciągać,
Z prywaty rzeczy publiczne uczynić
A nienawiścią, z prywaty wyssaną
Zarażać Polskę, spólną macierz naszą:
Jeżliście człowiek poważny a prawy
Niekładźcie Polski do prywatnéj sprawy!

ZYGMUNT AUGUST.

Niechaj wystąpi aktor i obrońca.

(Występuje z strony Księżny Czarnkowski — z strony Księcia Wasyla Odachowski).

CZARNKOWSKI.

Gdyby nie wielkość krzywdy wyrządzonéj
Przytomnéj tutaj Księżnie na Ostrogu
Wdowie po świętéj a sławnéj pamięci
Książęciu Ilji, gdyby nie konieczność
Bronienia krzywdy wielkiéj a żałosnéj
Starożytnemu zrządzonéj domowi
Nigdybymć pewnie, ja nieuczny prawa
Trudnego na się niebrał obowiązku
By nieść żałobę Księżnéj przed Majestat.
Lecz szlachcic wolny a cnoty obrońca
Jako w harc chętnie za nią bym wyjechał
Tak ci i słowa mego nieposkąpię
A miast wymowy niech za mną się wstawia
Słuszna ma sprawa u stóp Majestatu.
Wiadomoć królu i koronne pany
Czem dom Ostrogskich bywał téj ojczyźnie
Czem kniaź Konstantyn bywał a kniaź Ilja
Nieszczęsnéj pani téj małżonek zmarły.
Jeżelić drogą pamięć ich ojczyźnie

Toć jako dobra macierz serce tkliwe
I dla nieszczęsnéj córki nieść powinna
Wątłéj gałązki wspaniałego szczepu.
Wiadomo Polsce co się z tą ostatnią
Szczepu Ostrogskich latoroślą stało.
Gwałtem niezbożnym w cudze ręce padła
Na wieczną własną i matki swéj boleść
A na szkaradny potomności przykład.
Węzły rodziny zdarł Dymitr Sanguszko
Tu obecnego kniazia zmocniou siłą,
Przemocą, w poczcie uzbrojonych ludzi
Najechał wielkich bojarzy grodzisko
Wdowie komnaty żołnierstwem napełnił
Przemocą pisklę wydarł z matki łona
I niósł na hańbę do pańskich ółtarzy,
Tam, gdy pamiętna hańby i zniewagi
Niechciała ślubnéj odmówić przysięgi
Bohaterskiego Konstantyna wnuka,
Kniaź Wasyl za nią świętokradzkiem słowem
Przymuszonemu odpowiadał księdzu!
I w tymże poczcie, strzeżona jak zbrodniarz
Wśród gołych szablic miast ślubnych pochodni.
Wśród szczęku broni, miast muzyki dźwięków
Omdlona panna jechała na zamek
Gdzie rozbójniczy z nią kniaź przemieszkuje.
Poco słów więcéj — kiedy zbrodni tyle!
Nieszczęsne dziecko zmarłego Eliasza
W łzach i boleści — matka opuszczona
Po dwakroć wdowa, leżąca w żałobie.
U stóp twych królu — prawo pogwałcone
Najświętsze związki rodów potargane —
Najokropniejsza przyszłość, co nas czeka
Jeźli swawoli i zbrodni rość damy,
Niech mówią za mnie Najjaśniejszy Panie!
Cnota niech mówi, wstyd, godziwość stara,

I Pan Bóg gromy gotujący w górze —
Jeżli ta zbrodnia bezkarnie mu ujdzie,
To pomsta Boża nieśpi tam w niebiosach,
Ale już wtedy bodaj nie nas wszystkich,
Nie samą głowę winnego trafiła!. . .

(Beata klęka przed królem).

ZYGMUNT AUGUST.

Wstań księżno pani i spocznij w boleści —
Prawo nam każe obrońcy wysłuchać.

ODACHOWSKI.

Wiele lamentu, najjaśniejszy panie
A skarg niewieścich i zawodzeń głosy
W świątnicy prawa, gdzie mężowie sądzą
Obżałowanym niemiłą są wróżbą.
Dla tego starzy ano zakazali
By takie głosy niemąciły ciszy,
Gdzie sprawiedliwość świętą wagę trzyma.
Aleć gdy król je miłościwy znosi
Nam niewyrzekać, prosić tylko trzeba
By drugiéj strony niegłuszyły głosu.
Co pan Czarnkowski usłużnym językiem
W usługach księżny powiedział uczenie,
Na to ja prostym odpowiem rozumem,
Nie prawnik żaden ni orator mocny
Lecz jako człowiek co zna rzecz i ludzi.
Sztuk ja wymowy nieznam ni sposobów
Jak ręce łamać lub do łez poruszać;
Aleć ja księżnę Beatę znam dobrze
I księcia Ilię nieboszczyka znałem,
Księcia Dymitra dziecko, piastowałem;
A co ja mówię, mówi Ruś i Litwa.
Więc na Dymitra coś kniazia powiedział

To kłamliwemi, wszetecznemi usty
Rzekłeś, znać panów nieczując litewskich
By ci zamknęli obelżywe usta.
Panię to dobre a wielkiego rodu
A gdy ród jego w królewskim obliczu,
Coć dziwno człeku, wagi nieobudza,
To niech go czyny rycerskie zalecą,
Tatarskie harce i wielkie usługi,
Które na kresach republiki nosił,
Niech go zaleci ta hojność książęca
Co mu niedała zamknąć młodéj dłoni
Gdy republika pomocy żądała!
Lecz dosyć o tem. Nasz kniaź nie rozbójnik!
A że za stryja opiekuna wolą
A podług kniazia zmarłego układu
Spokojnie niemógł dojść do swego celu,
Gdzie afekt serca i myśl ojca wiodły,
Że przeciw księżnéj przytomnéj knowaniom
(Których, że tutaj niespomnę, powaga
Mnie królewskiego broni majestatu),
Zbrojnego hufu użył swych rycerzy
Z umiarkowaniem atoli i względem
Jak na dobrego rycerza przystało:
Toć nie kto inny jeno księżna winna!
Obyć ją Polska jako Litwa znała!
Tę panię dumną, co męża niepomna,
Wodze puszczając pysze i łakomstwu
Chciała potargać układ starodawny,
I sławę domu Ostrogskich zaprzedać.
Nie! oratora skarg jéj obyczajem
Litości tutaj niebędę ja żądał,
Ani niewieścim jękiem wywoływał
Echa przyjazne w judicium królewskim:
Lecz kto knowaniem się tajemnem brzydzi,
Kto woli zmarłych winną cześć oddaje,

Kto czuje boleść obrażonéj dumy,
Kto swe klejnoty umie czcić domowe,
Komu zasługa cenna i ród ojców;
Kto się podstępem i łakomstwem brzydzi
A woli prostą a otwartą drogę;
Ten kniazia czyny pochwali w swéj duszy,
A własne serce dopowie mu reszty,
Czego, człek prosty, powiedzieć niemogę.

ZYGMUNT AUGUST.

Kniaziu Wasylu! zuchwała to mowa,
Obrażająca cną książęcą panią
Obelżywemi, niegodnemi słowy
Chroń was sam Pan Bóg by uszy królewskie
Drugi raz takiéj niesłyszały mowy.

WASYL.

Koronne pany, senatory wielkie
Coście słyszeli, jako pan Czarnkowski
Kniazia Dymitra darzył zbójcy mianem
Koronne pany, siwe Polski głowy,
I was chroń Boże, by z was może który
Niestał się wkrótce celem takiéj mowy!
Niebawić mnie tu dłużéj królu panie,
Kędy prywata do sądu się wkradła
Tam jak przed widmem sprawiedliwość niknie
I wagi łamiąc do nieba ucieka.
Ale na Boga i najświętszą Pannę,
Co po nad Rusią święte berło trzyma
Jeźli ma takie być ludów złączenie,
Przeklęta chwila, gdy się trzy narody
Pod Jagiellonów połączyły berłem.
Jeźli wy wielcy koronni panowie
Takiemi chcecie braćmi być naszemi;
Przeklęta chwila, gdy nieprzyjaźń padła

Co oddzielała nas od polskiéj ziemi!
Teraz niebawić mi dłużéj, mój królu
Sądźcie i radźcie, nam czekać wyroku —
Jaki on będzie — przewidzieć nietrudno,
Gdzie płacz niewieści za ustawę stoi:
Aleć go będziem czekać w spokojności,
Kto wierny sobie — kary się nieboi —."

(Odchodzi z Odachowskim).

ZYGMUNT AUGUST.

Raczcie głosować zebrani sędziowie
A choć słowami kniazia oburzony;
Radzę i proszę, by w sąd wasz nieweszła
Prywata albo nienawiść narodów
Łączyć nie drażnić, kochać nie potępiać,
Sądzić bez gniewu i karać bez złości
Otoć jest ludu chrześciańskiego cnotą
A godłem naszéj ojczyzny i domu
Więc na bok rzućcie srom wasz i zawiści
A słowo nasze niech będzie miłosnem.

MARCIN ZBOROWSKI.

I w karze słusznéj jest miłość pokoleń,
Gromi jednego — plemiona ratuje —
Dziś przedewszystkiem gdy gwałty i zbrodnie
A wszystkich świętych węzłów pokalanie
Ostatnią grozi ojczyznie zagładą
Gdzie w dom ojczysty wśliźnie się ohyda
A bezwstyd świętość rodzin podkopuje,
Gdy dumny nierząd głowę żmij wznosi
I gmach ojczysty trzyma brudnem ciałem,
(Bogdaj nierunął w tym strasznym ucisku),
Dziś ręka mądra, co gadziny tępi,
Co drzewo państwa z pasożytów czyści,

Co w progach domów, przy domów świętościach
Z płomiennym mieczem archanioła stoi
Ręka to święta — ręka dobroczynna —
Będą jéj późne błogosławić wieki.
Jeżlić przesławni państwa luminarze
Wodze maluczkich i niskich sterniki
Gwałcą najświętszą rzecz, bo wstyd kobiecy,
Matki pokoleń płochością zatrują,
Zbeszczeszczą przeszłość i przyszłość znieważą.
Jeżli bezkarnie świętości domowe
Potężny przybysz, niesłychaną zbrodnią
Skala i czystość rodziny zatruje:
Toć jako z góry wysokiéj na pola
Ojczyste jady zepsucia pocieką,
A kiedy wślizną się w każdy zakątek
I każdą ciszę domową zamącą,
Przepadło wszystko, boć z domów świętości
Wielkość rodzinnéj wyrosła nam ziemi —
Gdy ta skalana, anioł stróż narodu
W niebo powróci skrzydłami białemi!
Więc kto najpierwszy tę świętość pogwałcił
Niech padnie królu, i niech jego głowa
Od gwałcicieli nas innych zachowa,
Niechaj podpadnie wyrokom infamii,
A świętéj ziemi kędy cnota rosła
Niech dłoń wszeteczna i brudna nieplami!

ZYGMUNT AUGUST.

Znam waszą prawość — Marcinie Zborowski
A wiem że mąż z was ukuty z granitu,
Aleć napomnę. Rachujcie się dobrze
Nimli miecz prawa zdejmiecie ze ściany.
Bo biada temu, który go najpierwéj
Ze świętéj litości pochew wydobędzie.

Raz wydobyty może ostrzem krwawym
Na karku jego potomków usiędzie.

M. ZBOROWSKI.

Biorę miecz prawa — a niedrży mi ręka:
Boć mi tak rozum a sumienie każe
A pókim żywy, pierwszy zawsze będę
Stać w nieugiętem wypełnianiu ustaw
A moja ręka niezadrży, gdy Bóg da
Nawet nad syna rodzonego głową!
Straszliwe czasy — pewnéj trzeba ręki!

ZYGMUNT AUGUST.

A wasze vota, cni senatorowie?

PRYMAS.

Idę za radą pana kaliskiego
I dla przykładu pierwszego w Kownie
Śmierć i infamią wotuję.

BISKUP UCHAŃSKI.

Ja moje
Wotum dodaję. Kniazia Ostrogskiego
Mowa mnie kłoni.

INNY SENATOR.

Ja radzę złagodzić
Wyrok na samą bannicyą. —

INNY.

Bannicyą?
Aby kniaź Gliński urosł nam powtórnie.
Idę za zdaniem pana kaliskiego.

INNI.

I my idziemy.

ZYGMUNT AUGUST.

Ja ręce umywam —
Bóg was niech sądzi, panowie koronni.
Aleć zaklinam raz jeszcze, jeżeli
Nienawiść jeno wiedzie was do sądu,
To wasze dzieci odpowiedzą za to.

MARCIN ZBOROWSKI.

Niechże krew jego na me dzieci spada.
Czystym i w sercu prywaty nienoszę.
Aleć w téj naszéj ojczyznie swawolnėj
Jeżeli prawo żelaznym niebędzie
To się zamieni w trok, co nas powiąże.
Dla tego, skoro wyrok zapadnięty
Większością głosów, ja sam go wykonam
Jeżli go sądy nieznajdą ojczyste,
Boć nie czas wtedy pożar wodą gasić
Gdy dom sąsiada dach mego zapali —
Piorun co runął dziś na brata głowę
Jest wieszczem tego, który mnie obali.

ZYGMUNT AUGUST (wstając).

Obyście sobie wróżby niewyrzekli —

(Odchodzi — za nim inni).

. . . . .

## ZMIANA DEKORACYI.

Na zamku księcia Dymitra.

— *Halszka, Kunegunda.*

(Halszka siedzi nieruchoma, w osłupieniu głębokim, milczy).

KUNEGUNDA.

Kniahini! — Droga kniahini! — Elżbieto!
Halszko!

(Halszka milczy).

Boże, żal się lat jéj młodych,
Że tak w boleściach i trosce mijają.
Kniahini Halszko, toć raz dajcie pokój
Niewieścim płaczom i gniewom niewieścim.
Kniaź Dymitr wielce was kocha, z miłości
I z rozpaczenia chwycił się tych środków.
Nie samo niebo było w zamku matki,
A gdyby Dymitr nieporwał was z grodu
Już pana Górki bylibyście żoną.

HALSZKA.

Nie! ja niepłaczę — patrz — suche mam oczy,
Niewieścim łkaniem niedrżą piersi moje,
Jestem spokojna — patrzę się w mą hańbę
Jak sokół w słońce i oka niespuszczam.
Powinnam patrzeć — pozostaw mnie dziewczę...

KUNEGUNDA.

Żal się młodości waszéj, panie Boże
Macie wzrok dziwny — szklannego połysku,

Choroba wnętrzna wypiekła wam usta
I wypaliła pieczęć na jagodach.
Ogień nurtuje wam, nie krew po żyłach,
A i pan Dymitr blady jako ściana,
Marszczki mu czoło poorały młode,
Grzech to, tak Bożéj sprzeciwiać się woli.

HALSZKA.

Precz ztąd odemnie. Niechcę takich radczyń,
Halszka kniaziowi wiary nieprzysięgła
A więc mu nigdy powolną niebędzie.

KUNEGUNDA.

Zgubicie siebie i jego zgubicie!
Nieszczęsna matka, co wam życie struła,
Co z was przysięgę tę straszną wymogła
Przeciw krwi młodéj i duszy tęsknocie,
Przeciwko szczęściu, które miłość daje;
Wiem, książę Dymitr niewstrętnym jest dla was,
A teraz, kiedy tak smutny i blady
To serce w głębi bolem się wam ściska
A wasza dusza pęka wśród cierpienia
A wasze usta kłamią duszy waszéj.
Wy macie litość i miłość dla niego.
Lecz was przysięga jako wąż obwiła
I struła żywot obojga na wieki.

HALSZKA.

Nie! Ja niecierpię go, ja nienawidzę —
Ja go przeklinam! żądnam jego kary —
Ja — ja niebędę spokojna — aż piorun
Prawa w zbrodniczą jego skroń uderzy
Aż siwa głowa matki méj się pomści
I stara grodu ostrogskiego chwała.
Aż — aż!

KUNEGUNDA.

Kłamiecie duszy waszéj, księżno!
Sercu kłamiecie!

HALSZKA.

Idź — idź — idź odemnie
Ja chce być samą!

KUNEGUNDA.

Biedne! biedne dziecię!
(Odchodzi.)

HALSZKA (pada przed obrazem Maryi.

Królowo nieba, obrono bolesnych
Matko boleści, Ty mnie nieopuszczaj —
O! Ty mnie ratuj — Ty niedaj zapomnieć
Jaka mnie sroga spotkała sromota
Niedaj zapomnieć słów mojéj przysięgi
I Twojéj twarzy w obrazie w Ostrogu
Co się na straszny jego czyn patrzała.
Niedaj zapomnieć gdy on będzie blady,
Smutny, gdy będzie oczy płonącemi
Patrzał i mówił — To dla ciebie było!
Kiedy mnie porwie w gwałtowne ramiona
I słyszę bicie jego serca głośne
Potwierdzające jego straszną mowę...
Ty mnie nieopuść — O! daj mi w téj chwili
Kamienność głazu i głazu nieczułość
Pozwól by ręka wtedy miała siłę
Odedrzeć ranę i zaszarpać w sercu
Które się goi pod jego spojrzeniem!
Pozwól je zdzierać i krwawić bez końca
Jakem powinna, jak mi ślub mój każe.
O niewypuszczaj mnie, Dziewico łaski,

Liljo czystości, ucieczko strapionych
Orędowniczko pragnących ratunku!
O nieopuszczaj mnie, biednéj niewiasty!
(Słychać kroki).
Krok jego słyszę — krok cichy, ponury...
I drżę. O czemu kusiciel go odział
Najokropniejszym z wszystkich wdzięków, smutkiem?
Póki był dziki — gwałtowny — szalony —
To miałam puklerz wzgardy i jak skała
Stałam w uporze. Dziś się w bluszcz zamienił
I koło piersi moich się pierścieni
Dziecinną duszą — dziś rycerska duma
Zgasła, swawola zniknęła rycerska,
Pokorny ugiął wysokiego czoła
I mówi: kocham! i patrzy mi w oczy
Czyli współczucia iskry niewywoła...
O czemuż wtedy jako śnieg przed słońcem
Wina topnieje, a z lodów uścisku
Kwiaty i wonie pełne upojenia
Lecą do duszy.
(Kroki zbliżają się ku drzwiom).
Ha! idzie. Żelaznem
Bądź serce moje!

DYMITR (z listem w ręku).

Kniahini Elżbieto!
Z ucieszną do was przybywam nowiną —
A chociaż gromkiéj dla mnie ona treści
Bogdaj bym chociaż nią dzisiaj zasłużył
Na przyjaźniejsze raz w życiu spojrzenie.
Chęci wasze spełnione. Król jegomość
Wymierzył karę — Oto list Wasyla!

HALSZKA (biorąc list).

Śmierć i infamia! ha!

DYMITR.

Śmierć i infamia.
Dopięła księżna celu swojéj zemsty
I méj tęsknocie stało się zadosyć.

HALSZKA.

Śmierć i infamia! Niechcę waszéj śmierci
Kniaziu Dymitrze — niechcę waszéj śmierci!
Spieszcie z ucieczką do granicznéj ziemi,
Choćbyście więcéj zrobili mi złego,
To przecię waszéj niechciałabym śmierci,
Bóg tego niechce i wiara niekaże.
Ratujcie się mój kniaziu — zaraz — zaraz
Wyjedźcie — niema chwili do stracenia. —
Miecz kary wisi wam nad młodą głową.
Ja do stóp króla rzucę się pokorna.
Przebłagam matkę, by was uratować —
Niewstanę z kolan, aż mi król przyrzecze,
Że i włos z waszéj nieupadnie głowy.
Jedźcie! na Boga! jedźcie, kniaziu miły!

DYMITR.

Więc wy doprawdy nieradzi nowinie
Księżno Elżbieto!

HALSZKA.

Jedźcie! niepytajcie!
Ja niechcę waszéj śmierci — wielki Boże!
Ja niechcę śmierci!

DYMITR.

Niechcesz mojéj śmierci
O, to ja żyję — żyć będę na wieki!
Bo każda chwila będzie wiekiem szczęścia!

Halszko! ty pójdziesz ze mną, pójdziesz ze mną
W przepaście piekła, a ja razem z tobą
W otchłań wygnania, ale razem z tobą!
Ja ciebie złamię, jako skałę twardą,
I z piersi wydrę ten serca dyament
Choćby nałożyć głową, choć żywotem!
On mój, mój będzie, ty mnie kochać będziesz,
Ty niechcesz mojéj śmierci, w twojem oku
Zabłysła bojaźń, jak niebieska gwiazda,
Jutrznia miłości. Ty mnie kochać będziesz
Bo mnie nie nienawidzisz, moja Halszko!
Prawda, ja byłem złym i lekkomyślnym,
Rozrzutnym, dzikim, szalonym młodzieńcem,
Lecz teraz czuję, jak miłość ku tobie,
By archanielskich dwoje skrzydeł białych
Rośnie mi z piersi i wznosi ramiona
Ku tobie Halszko, która płyniesz ku mnie
Jak biały anioł nadziei i cnoty!
Ja cię niepuszczę! o! trzymać cię będę
Póki ta miłość, co mnie duszę pali
Spólnym oboje obejmie płomieniem
Boś mnie ty niebem, szczęściem i zbawieniem!

HALSZKA.

Litości kniaziu! Puśćcie mnie!

DYMITR.

Niepuszczę!
Tyś moja, moja! Ty mnie nieopuścisz!
Ty będziesz moją! Ty niechcesz méj śmierci!
Tyś drżała, kiedym list kniazia podawał
A potem rzekła mnie: Niechcę twéj śmierci!
Żem w głosie twoim słyszał chóry nieba
I jasny promień słonecznéj radości
Pierwszy raz przedarł się w ponurą duszę.
Patrz jako dzieciuch klęczę tu przed tobą

I dawny rycerz śmieje się z dzieciucha,
Klęczę i słucham jeszcze twego głosu:
Niechcę twéj śmierci. O w proch mnie ugniotłaś
Moja dziewicza — ale cała siła
Spotęgowana leci mi w ramiona
Aby cię objąć i niepuścić więcéj!
O! ja niepuszczę!

HALSZKA

Litości! litości!
Na miłość boską żebrzę was litości
Nademną litość miejcie i nad sobą!
Wszędzie was mściwa dłoń matki dosięgnie.
Wszędzie grot prawa trafi nieuchronny.
Ja go zatrzymam, ja zbawię was kniaziu!
Powiem królowi, żem ja waszą żoną,
Żem nią być chciała, powiem, że was kocham
Jako się godzi żonie! o kolana
Króla oplotę ramiona błagalne
I płaczem zmiękczę serce króla pana!
Król nas połączy — będziemy szczęśliwi,
Elżbieta będzie wam żoną do śmierci.
Puśćcie mnie, błagam, błagam was na Boga.
Na prochy ojców!

DYMITR.

O moja gołąbko!
Świta gotowa! do Czech pojedziemy!

HALSZKA.

O jeżli mnie kochacie, jak mówicie,
Jeżli ta miłość was uszlachetniła
Jeżli podniosła — błagam na tę miłość —
Puśćcie mnie — puśćcie — ja wrócę do matki!
Inaczéj śmierć was czeka. — Na kolanach
Błagam was kniaziu, jeżli moją miłość

Posiadać chcecie — będziecie ją mieli
Wielką, potężną; pierwszą i ostatnią
Jaka w Elżbiety duszy mieszkać może!
Będę was kochać, jako wierna żona
Jak prawa żona — jako zbeszczeszczona
Kochać niemogę, bo mnie Pan Bóg broni!
Na miłość Boską! puśćcie mnie Dymitrze!

DYMITR.

Nie! nie! mój ptaszku, nie! ptaszku mój rajski!
Szczęście raz pierwszy śmieje mi się w życiu
Więc jak białozór łapię w lot to szczęście.
Niechcę przyszłości — bo przyszłość daleka.
Wygnanie śmieje się ku mnie nadzieją
Piękniéj niż nieba ojczystego błękit!
Bo mnie ty kochasz.

HALSZKA.

Kto mówił że kocham?
Nieumiem kochać tam, gdziem niepowinna.
O! próżną marą niełudźcie się kniaziu!
Bo nieszczęśliwi będziemy oboje.

DYMITR.

Oboje Halszko! oboje! Pójdź ze mną!
Nic mnie niewstrzyma. Jedziem na wygnanie.

HALSZKA.

A więc ponawiam raz daną przysięgę
Bogu i matce: Serca mego skarbu
Nigdy kniaź Dymitr z piersi niedobędzie!
Przysięgam Bogu i Bogarodzicy.

DYMITR.

Pójdź Halszko moja! Żegnaj zamku stary.

(Odchodzą).

Zasłona spada.

# AKT CZWARTY.

**W Nimburgu — w Czechach.**

Komnata kniazia Dymitra.

(Dymitr na pół ubrany — leży na łożu — przy nim Odachowski).

ODACHOWSKI.

Panie mój miły — co wam?

DYMITR.

Będę chory
I bardzo chory. Umrę może — umrę —
Umrę i będę spokojny. Tylko mnie tu
Źle będzie leżeć w Czechach w obcéj ziemi,
Więc mnie zawież do domu — pogrzeb w kniei
Albo gdzie w szczerym stepie — nie w kościele —
Bo ja infamis jestem — nie w kościele
Bo wszyscy święci z nią tylko trzymają
A Matka Boska najbardziéj. Ale w stepie
Mnie gdzie pochowaj — każ kurhan usypać,
Na kurhan przyjdą cztery świata wiatry
I będą szumieć w trawiskach kurhanu
Albo husarze wylecą na kurhan
Patrzeć za szlakiem i wieczny spoczynek
Powiedzą twemu umarłemu panu.

ODACHOWSKI.

O! tak pomarnieć dla jednéj niewiasty!
Schnąć na wygnaniu, chorzeć i umierać!

Niemówcie panie, że chcecie umierać
Bo stary sługa wasz jak dziecko płacze
On co nieumie płakać...

DYMITR.

Płacz mój stary —
Przecież ktoś płacze za mną. O! chcę umrzeć
I niechcę znowu. Strach mnie grobu wielki
I Pana Boga i żal mi umierać,
Bo mi żal świata. Chciałbym jako wydrzeć
To serce moje z piersi, by umarło
A ja żył jeszcze... Chciałbym się położyć
I spać — spać długo — a potem się zbudzić
Niepomnąc mego wczora — gdzieś na koniu
Na moim Djable karym, czy pamiętasz
Mego karego?

ODACHOWSKI.

Pamiętam! koń dobry —
Najlepszy ze stada.

DYMITR.

Otóż na mym Djable
Chciałbym się zbudzić z kordem ojca w ręku,
Z hufem rycerzy — step by woniał rano —
A światło słońca płynęło po rosie.
Wtedybym sztandar rozwinął na wiatry
I leciał naprzód, naprzód na południe —
Aby raz uciec od Halszki z Ostroga
I od jéj grodu — leciałbym na przełaj
Aż ku Czarnemu morzu!

ODACHOWSKI.

O! nieszczęsna
Halszko z Ostroga!

DYMITR.

Niemów mi nic na nią —
To święta Pańska — a jam nie jest święty —
Ja potępiony — dla tego to od niéj
Chciałbym uciekać na mym karym Diable —
W step, w step daleko! Niemów mi nic na nią!
Ona niewinna — ona sprawiedliwa —
Anioł jéj strzeże. Słuchaj, ja niedawno
Tu na wygnaniu już nad nią widziałem
Tego grożnego mściciela anioła...
Jak mnie odpychał od niéj. Ona święta,
Ona się modli ciągle, jak się modli
To taką siłę ma, że moja siła
Ginie jak szatan u krzyżowéj drogi.
Ona mi kiedyś rzekła: Jam przysięgła,
Niechciejcie abym złamała przysięgę!
I założyła dwie ręce na piersi
I patrzała się ku mnie tak niebiesko
Że ja poszedłem i choruję odtąd...
I umrę sobie już, aby spokojna
Była przedemną.

ODACHOWSKI.

Ależ panie miły!
Ona zgubiła waszą jasną młodość,
Zatruła żywot i zdrowie zatruła.
O niedaruję ja jéj niedaruję.
Czyż trzeba było, aby Dymitr młody
Tak życie tracił dla jednéj niewiasty,
Schnął na wygnaniu i niemiał w nagrodę
Nawet niewieściéj miłości i pieszczot
Coby mu ciężkie tułactwo słodziły.
Pan mój, co godzien był królewskiéj córy,
Litewskich książąt potomek przesławny,
Aby nie ginął i więdniał tak marnie...

DYMITR.

O! marnie — marnie — prawda Odachowski...
Toż srom mam do niéj i żal i płakałbym
Że mnie tak prędko męzki hart odbieżał
Gdyby łzy moje niebyły słabością.
O tak oszaleć — tak zgłupieć jak dzieciuch
Odbiedź wszystkiego, zapomnieć o wszystkiém
Jak staruch jaki, co wziął żonę młodą...
Mnie — mnie — młodemu, silnemu jak olbrzym.

(Zrywa się).

Mnie, com kopije łamał, jako pręty
I najsilniejszych miotał w piach we szrankach!
O dość mi tego! Gdyby można wrócić
To życie dałbym za stary rynsztunek
A postawiłbym duszę za mój oszczep...

ODACHOWSKI.

Bądźcie spokojni, panie. Doktor kazał...

DYMITR.

Doktor — ha doktor! Teraz mnie doktory
Kują do łóżka! Niewytrzymam w łożu.
Niejestem stary dziad...

(Wstaje i upada na łóżko).

ale dziad młody!
Taczam się jak pijany...

(Wstaje znowu).

Chcę powietrza
Chociaż w obczyźnie — daj mi rękę stary
Może od Litwy jaki wiatr zawieje
Co Białowiezkie przelatywał knieje —
Daj rękę stary. —

(Odchodzi z Odachowskim).

Mieszkanie księcia Dymitra Sanguszki.

Komnata Halszki.

HALSZKA (sama — wieczór).

Ciężko mnie, ciężko bardzo — o za wielki
Krzyż Pan niebiosów na me barki włożył.
Póki był silny, możny, dumny, wielki
Łatwo mnie było rzucić go od siebie.
Ale wygnańca, co biedny i chory,
Opuszczonego od wszystkich na świecie,
W proch ugiętego — a z miłości dla mnie —
Trudno niecierpieć i jak lwa co kona
Nieczułą nogą pchnąć w wybladłe czoło.
Nie — to za wiele. O biednam niewiasta,
Ptakby nademną upłaknął powietrzny!
Lecz jako widmo gdzieś z tamtego świata
Przysięga moja stoi między nami,
A gdy już wzniosę ku niemu ramiona
To mnie mrożnemi odepchnie dłoniami
I w proch mnie rzuci, zrywając zawiązki
Z ran mojéj hańby, co nigdy niezaschną. —

(Idzie ku drzwiom i mówi z cicha).

Kondeczko! Kondziu!

KUNEGUNDA.

Cicho! kniaż spoczywa...

HALSZKA.

Pójdź tu na chwilę — powiedz co tam chory?

KUNEGUNDA.

Zda się, że lepiéj. —

HALSZKA.

Chwała, chwała Bogu!
I spokojniejszy. —

KUNEGUNDA.

Powiedział że wstanie.

HALSZKA.

I już niemówi od rzeczy?

KUNEGUNDA.

Niemówi...

HALSZKA.

A mnie niepragnie widzieć. —

KUNEGUNDA.

Nic nie mówi —
Mówił że widział, kiedy był chor bardzo
Jakeście stali nad łożem, jak anioł
I mówi, że was tak kiedyś zobaczy —
Lecz teraz niechce widzieć. —

HALSZKA.

Lecz tyś przecie
Mu niemówiła, że to ja tam byłam,
Nie anioł żaden.

KUNEGUNDA.

Nie! nic niemówiłam.

HALSZKA.

To dobrze. — Tutaj masz zioła i leki,
Przygotowałam jako doktor kazał
Ciepło go kazał trzymać — miejcież pieczą
By było ciepło w komnacie, gdzie leży,

A ten szkaplerzyk, czyś mu przewiesiła
Przez piersi?

KUNEGUNDA.

Zdjął go, przypatrzył się długo
I pocałował — ale go niewłożył.

HALSZKA.

Niewłożył?

KUNEGUNDA.

Łzy mu tylko ciekły duże,
Po bladéj twarzy, że żal patrzeć było.

HALSZKA.

Smutno mi że niewłożył — ale niedziw
Bo w nieprzyjaznych rękach go widywał.
Idź moja Kondziu i miéj o nim pieczę
A kiedy mocno uśnie, to mnie wołaj —
Chcę go zobaczyć. —

(Kunegunda odchodzi).

Biedny — biedny człowiek
I o mnie jedną, mnie błahą dziewczynę
Tyle niedoli! O czemu klasztorna
Brama mnie raczéj nieodgraniczyła
Od wszystkich burzy i zabiegów świata!
Znać ja niegodnam byłam spokojności,
Zuchwała zawsze, dzika, nieposłuszna,
A niepowolna rozkazom méj matki.
Toż na mnie sroga upadła sromota,
A siły niemam, żeby znieść ją godnie —
Nie — niemam siły.

(Upada przed obrazem i modli się).

MARCIN ZBOROWSKI (wchodzi — przybliża się do niéj i staje).

Modli się — modlitwy
Przerywać niechcę. —

HALSZKA.

Słyszałam dźwięk mowy
Miałbyż być chorszy? Ha!

MARCIN ZBOROWSKI.

Halszko z Ostroga
Przyjaciel jestem — nowiny ci niosę
Z domu. —

HALSZKA.

Od matki! Z Ostroga!

MARCIN ZBOROWSKI.

Od matki!
Zborowski jestem. —

HALSZKA.

Witam was jak ojca
Gdy mnie nowiny od matki niesiecie
Siadajcie, mówcie, zdrowa macierz moja,
Zdrowa po tylu nieszczęsnych wypadkach?

MARCIN ZBOROWSKI.

Pan Bóg ją krzepi i krzepi nadzieja
Że was zobaczy...

HALSZKA.

O! Matkę zobaczyć!
Byłam złą dla niéj, niepowolną córką,
Skarżyła nieraz się na mnie kniahini!
Teraz me winy odpłakuję srodze
By jeno Pan Bóg dał mi ją oglądać —
Siadajcie panie! mówcie — niemasz listu
Od pani matki — tu w obcéj krainie

Tak rzadko wieści ojczystéj posłyszeć
Więc stokroć witam was panie Zborowski —

MARCIN ZBOROWSKI.

Dziecię poczciwe — oto list od matki —
Z niego się dowiesz — pocom tu przyjechał,
Czytaj, bądź mężną. —

(Halszka bierze list od matki i czyta — przeczytawszy stoi niema, osłupiała, drżąca)

MARCIN ZBOROWSKI.

Przyjechałam tutaj,
Znaleść i ująć zbiegłego przed prawem —
Krzywdę twą pomścić. Elżbieto z Ostroga
A z tobą święte polskich niewiast plemię,
Publiczna sprawa, Republiki sprawa
Kazała starcu gonić wszetecznika,
Aby na przyszłość od nich świat uchronić.
Aleć pomniący na twój ród szlachetny
Na wielką boleść i losy nieszczęsne,
(I jać mam córkę, taką jak ty Halszko)
Pierw cię uprzedzić chciałem i napomnieć
Byś pomna hańby twojéj, gwałtu twego,
Niesłychanego w dziejach naszych rodów,
Mężną i serca była szlachetnego
Gdy twego zbójcę kary grom uderzy
Bo tak przystoi Konstantyna wnuce —
Matka twa biała przyciśniona smutkiem
Ojczyzna twoja, drżąca przed swawolą,
Rodzinny Ostróg zaklina przezemnie,
Co widział chwałę dziadów a twą hańbę!
Bądź mężną Halszko, cokolwiek się stanie

(Halszka milczy i stoi osłupiałą).

Pomnij przysięgi, którąś w chwili gwałtu
Przed utrapioną złożyła macierzą.

HALSZKA.

Ha!... (Po długiéj chwili — głucho).
Więc ty niesiesz śmierć? —

MARCIN ZBOROWSKI.

Wyrok wykonam. —

HALSZKA.

Człowiecze! ja go — kocham.

MARCIN ZBOROWSKI.

Wiarołomna.
Cudzołożnico!

HALSZKA.

Ja!

MARCIN ZBOROWSKI.

Krzywoprzysięzna!

HALSZKA.

Widziałeś go — nie! tyś go niewidział —
Tybyś kamień był, nie człek; nie starzec,
Co ma żonę, ma synów i córki.
Widziałeś go, jak tam leży blady
Rozgryziony bólem i męczarnią,
Rozłamany tułactwa tęsknotą.
Strasznie blady — trupio blady leży.

MARCIN ZBOROWSKI.

Bóg go karze!

HALSZKA.

Niech ludzie niekarzą...
Kiedy Pan Bóg grom wziął w swoje ręce.

MARCIN ZBOROWSKI.

Jeźli chory, szanować go będę
I do Polski odwiozę z staraniem.

HALSZKA.

By go zabić...

MARCIN ZBOROWSKI.

By sądu dokonać.

HALSZKA.

Starcze, starcze, ty niewiesz! On z mojéj
Chory przyczyny, ja mu życie struła,
Ja go zabijam, ja kroplę po kropli
Jadu wlewałam w jego młodą duszę...
Aby dotrzymać téj strasznéj przysięgi.
Byłam żelazna, starcze, nieugięta
Litości biały anioł mnie odleciał,
A kiedy przyszedł tom go odegnała
Pamięcią przysiąg, jak krzyżem szatana.
Dnie — noce całe błagałam Dziewicy
By mi niedała upaść — nieupadłam...
Na co morderców innych — ja nim była!
Ja nieupadłam, choć mi głos sumienia
Mówił: źle robisz — dwa miałam sumienia
Swoje i matki —. O! com wycierpiała...
Ale ty niechciéj o! błagam na wszystko
Na Boga błagam, na żonę i dzieci
Litości starcze...

MARCIN ZBOROWSKI.

Precz hańbo Ostrogskich!

HALSZKA.

Raz jeszcze błagam — błagam was na wszystko...
Ja kocham Dmitra — wbrew światu całemu —
Wbrew matce, w pełnym sejmie powiem: kocham!
Niemacie prawa brać męża małżonce!
Niemacie serca. Blisko wam do grobu,
Niechciejcie duszy ładować na siebie,
By was trapiła w godzinie konania!
O! miejcie litość nad nim i nademną!

MARCIN ZBOROWSKI.

Niewieścim płaczom nieprzyszedłem tutaj
Folgi pozwalać — ani wiarołomnych
Szukać zaklęciów.

HALSZKA.

Tyś nieubłagany...
O tyś żelazny — jak ja była, człeku...
Ale żelazną będę i w ratunku.
(Rzuca się do drzwi i chce je zamknąć).
Służba!

MARCIN ZBOROWSKI (odpychając Halszkę).

Przekleństwo matki — waszéj duszy!
Hańba pokoleń czołu twemu! Precz ztąd!
Zborowski nieda się złapać na potrzask. —
(Wychodzi).

HALSZKA (upada na ziemię — zrywa się i leci ku komnacie męża).

Dymitrze drogi! Dymitrze! Dymitrze!

DYMITR (wychodzi powoli z komnaty).

Bliskim znać śmierci, gdy głos taki słyszę
Od księżnéj Halszki!

HALSZKA.

Ratuj się Dymitrze,
Uciekaj! Marcin Zborowski. —

DYMITR.

Był tutaj—
A no! to słowa moje nieskłamały,
Przyszedł wykonać wyrok. Księżno Halszko,
Daj kord mój z ściany!

HALSZKA.

Dymitrze! Dymitrze!
Uciekaj! klnę się na świętości wszystkie!
Ratuj się! ratuj! Dymitrze, na moją
Miłość! Ja ciebie kocham, mój Dymitrze!
Ratuj się dla mnie — dla mnie — będę twoją,
Ciałem i duszą — cała, cała twoją!

DYMITR.

Trochę za późno!

HALSZKA.

O rany Chrystusa!
Matko! siedmioma przeszyta boleśćmi
Idą — uciekaj. —

DYMITR (kord biorąc).

Drogo życie sprzedam!

(Marcin Zborowski pokazuje się we drzwiach z ludźmi — Halszka krzyżuje się na progu.)

HALSZKA.

Po moim trupie —

MARCIN ZBOROWSKI.

Z drogi mi! wyrodna...

(Halszka rzuca się na Dymitra i obejmuje go ramiony).

W imieniu ustaw chwytam cię jak zbiega
Kniaziu Dymitrze!

DYMITR.

Precz Halszko odemnie!
Zapóźna miłość! Przez miecz do mnie droga!
Broń się Zborowski!

(Naciera).

MARCIN ZBOROWSKI.

Giń mi! gwałcicielu!

DYMITR (pada trafiony).

Ha! dobrześ trafił. — Przeklętaś Elżbieto!...

(Umiera).

HALSZKA.

Ha! ha! przeklętam — przeklęta — przeklęta. —

(Mdleje).

MARCIN ZBOROWSKI.

Trupa przystojnie pogrześć na cmentarzu
A księżnę Halszkę ocucić. — Wraz z świtem
Wrócim do Polski. — Wyrok dopełniony.

Zasłona spada.

# AKT PIĄTY.

W Ostrogu.

Komnata księżny Beaty.

---

*Księżna Beata, Astrolab.*

BEATA.

Odpisz mi na list Króla Jegomości
Żeć oczekuję jego wielkiéj łaski
W Ostrogu moim — i radość mą wyraż
Że go dom wdowi przyjmie. Pisz, że Halszka
Powraca dzisiaj wolna i pomszczona
A temu, który względy jego wielkie,
Jako najpierwsze z zaleceń posiada
Droga otwarta — ja za nim, król za nim,
A Halszka, losu doświadczywszy złego
Chętnie w objęciu pana Górki spocznie. —

ASTROLAB.

Secundum wszelkich reguł list napiszę,
Humilitatem jungens gravitati —
Benevolentiam captans et clementiam
Suum cuique oddając honorem.

BEATA.

Potem do Górki napisz i usilnie
Proś by królewski chciał przyspieszyć przyjazd
A do wesela gotował się prędko.

ASTROLAB.

Materia nimis plena ubertatis —
Są zaprosiny na nuptiae — na gody —
Pokażę w liście próbę ingenii
Który zabłyśnie omni cum splendore
W epithalamium, sermone legato
Na ślub złożonym principissy młodéj.

BEATA.

Dobrze doktorze! będziem go podziwiać
Kiedy czas przyjdzie. — Teraz gotuj listy.

(Astrolab odchodzi).

MARSZAŁEK (wchodząc).

Jéj Mość Księżna Elżbieta z Ostroga!

BEATA (z wykrzykiem).

Moja córka!
(Halszka w żałobie — blada — wchodzi powoli z świtą).
Biedne dziecię moje!
Taka blada — zmieniona! Ma Halszko!
Moje biedne, me jedyne dziecko!
Cóż to? Słowa niemówisz do matki!
Moje dziecię.

HALSZKA (głucho).

Witam pani matko!

BEATA.

Pójdź odetchnąć z cierpień i podróży
Własna matka ci twoja usłuży,
Spocznij — usiądź — mów do mnie ma Halszko
Chwała Bogu, ty znowu w Ostrogu,

Szczęście przyszłe ból twój ci odpłaci
Już się wszystko skończyło —

HALSZKA.

Skończyło.

BEATA.

Zkąd ta mowa tobie córko miła
Zkąd żałoba na szacie i twarzy,
Zkąd to zimno dla matki, radosnéj
Że cię widzi i żeś już pomszczona.
Halszko moja ty chora być musisz,
Astrolaba zawołam do ciebie...

HALSZKA.

Jestem zdrowa matko i spokojna,
Wasza wola spełniona do skutku,
Wszystko przeszło — wszystko wraz z nim w grobie
Poco więcéj się pytać, kniahini?

BEATA.

Lecz ty smutna, ty chora, Elżbieto!
Ty dla matki serca niemasz, widać —
Niepoznaję cię.

HALSZKA.

Któżby się o serce
Moje pytał — o serce kobiety!
Niechaj pęknie — tego nikt niesłyszy,
Serce niewiast do sprawy niewchodzi —
Bić zaczyna i umiera w ciszy.
Pani matko — zkąd pytać o serce —?
Jestem tutaj — myśl wasza spełniona,
Krwawą raną w czarnéj trumnie leży;

Niepytajcie co potrzeba było
By ją przewieść i przywieść do skutku
Bo przywrzały całun mego smutku
Jako chmura gromem w was uderzy!

BEATA.

Córko moja miałażbyś wyrodna
Gwałciciela kochać i bannitę,
Infamisa żałować upadku
I nad czynem, co ją światu wrócił
Kazirodzczą zawodzić żałobę?

HALSZKA.

Nie, Elżbieta Ostrogska niepłacze —
Bo ten piorun, co ją w pierś uderzył
Rozgruchotał urnę łez w jéj piersi
By w ponuréj pustyni jéj duszy
W mękach żadnéj ochłody niemiała!

BEATA.

Córko, córko! dziecię moje biedne!
Wiem jak krwawy czyn cię ten przeraził,
Zniosłaś wiele — Pan Bóg ci nadgrodzi
I ta Matka Boska ci wymodli
Za twych świętych przysiąg dotrzymanie
Szczęście w życiu, twojéj duszy godne,
Które zatrze przykrych chwil wspomnienie.

HALSZKA.

Dla mnie szczęście? szczęście pani matko!
A nagroda za przysiąg trzymanie?
Patrzcie, patrzcie, jak Pani bez zmazy
Jak Dziewica anielskiéj miłości
Na was — na mnie — o — na mnie spoziera!

Z piekła wyszła myśl waszéj przysięgi
A ukryty szatan za obrazem
Słuchał słów tych zawiści piekielnéj!
A w niebiosach anioł stróż méj duszy
Pozasłaniał oczy swe skrzydłami
I odleciał mnie precz — precz w niebiosa!
Aż gdy leżał przedemną zabity,
On zabity po dwakroć — to wtedy
Anioł, duszę na sąd biorąc wieczny
Z płomienistym spłynął ku mnie mieczem
I pokazał mi, com ja zrobiła
Niemiłosną, szaloną przysięgą!
Biada! biada! kto światy miłości
Nienawistną śmie zawzywać duszą!
O niemówmy więcéj pani matko!

(**Słychać marsz pogrzebowy i śpiew księży: De profundis.**

BEATA.

Co to? Kogo ten karawan wiezie
Mimo grodu?

HALSZKA.

To kniazia Dymitra
Zwłoki z mego rozkazu prowadzą;
W familijnych swoich spocznie grobach.

BEATA.

Wszak go Marcin Zborowski pochować
Na nimburskim rozkazał cmentarzu?
Jako banaitę grzebać należało.
Niemiał wrócić do Polski za życia
Niepowinno powracać i ciało.

HALSZKA.

Ja kazałam. O! czyż po za grobem
Nawet zawiść kniahini go ściga?
Trup nie szkodzi więcéj — a na Sądzie
Kiedy wstanie z pękniętego grobu,
To wynajdzie nas w otchłani duchów
Choć oddalon.

BEATA.

Dziwięć się niemało
Że pozwolił na to pan Zborowski.

HALSZKA.

Nie! przeszkodzić niemógł pan Zborowski,
Gdyśmy z ciałem książęcia ruszyli
W austryackiem już siedział więzieniu
Jako prawa wygnańców gwałciciel.

BEATA.

To twa sprawa.

HALSZKA.

Ma — kniahini matko!

BEATA.

Wieczna boleści moja i nieszczęście
Przeklęte dziecko!

HALSZKA.

Przekleństwo spełnione
Gorszego się nieboję pani Matko.

BEATA.

(Na głos trąb odzywających się z wieży i dwóch wystrzałów).

Ha! Król Jegomość! Boże! Król Jegomość *)
Halszko! na siwą twojéj Matki głowę
Bądź-mi rozsądną.

HALSZKA.

Nierozumiem Matki!

BEATA.

Król tu przyjeżdża, jako swat Łukasza
Górki.

HALSZKA.

Kogoż to Księżna Matka swatasz — ?

BEATA.

Na Boga, bądź rozsądną —

HALSZKA.

Pogrzeb czeka
Przed kościołem w Ostrogu — ja za chwilę
Pójdę za trumną.

BEATA.

Tybyś miała niszczyć
Wszystkie marzenia moje od lat tylu!
Niesforna córko, wyrodku natury!
Pójdź przeciw króla ze mną — Dziś wieczorem
Z Łukaszem Górką klękniesz u ółtarza!

---

*) Niespodziewany przyjazd króla pana.

HALSZKA.

Żart pani Matko! Idę za pogrzebem
Kniazia Dymitra.

BEATA.

Zostań — ani kroku!

(Wychodzi).

(Halszka klęka przed oknem — z którego słychać żałobny śpiew kościelny — i modli się; — jednocześnie odzywa się dźwięk trąb i kotłów; wchodzą na scenę po chwili:)

*Zygmunt August — Łukasz Górka — Ks. Beata.*

(Halszka niewstaje i zostaje odwrócona ku oknu).

BEATA.

Witam wielkiego króla w moich progach,
Szczęśliwa chwila która go przyniosła.

ZYGMUNT AUGUST.

Szczęśliwą i ja nazwę, gdyście dziecko
Wasze wydarte odzyskali znowu
Choć sposób dla mnie przykry i bolesny.
Kędyż to biedne dziecię — wzdyć by Bóg dał
Aby go drugie ukoiły śluby.
Aleć żałobną muzykę ja słyszę
Miałażby strata spotkać was bolesna.

BEATA.

Orszak pogrzebu Książęcia Sanguszki
Idzie pomimo. Dziw dla mnie niemały,

Żeć ciało jego, bannity, powraca.
Mimo królewskiéj się znać woli stało —

ZYGMUNT AUGUST.

Niechajże wraca w spokoju, kniahini
Ojczystéj ziemi wart rycerz ojczysty
Do zabitego nietrzeba mieć sromu.

BEATA.

Smutno mi, że ten orszak na początku
Wesołość króla a gościa zamącił,
Widać, kniaź Dymitr plaga ma za życia
W śmierci mnie jeszcze chciał trapić upornie —

ZYGMUNT AUGUST.

Spoczynek zmarłym — Kędyż Księżna Halszka!

BEATA.

Choć za winnego tyle, przecież, widzę
W głębokiéj modle za nim zatopiona.
Poczciwe dziecko. Halszko, dziecię moje
Wstań, Król Jegomość przybył w nasze progi.

HALSZKA.

Król — Pani Matko — Witam Króla Pana.

ZYGMUNT AUGUST.

Halszko z Ostroga, ból wasz nas obchodzi
Jako ból dziecka — ojca rodzonego —
Z biednym młodzieńcem grzech idzie do grobu,
Odżyjcie światu, matce i krajowi.
Bóg daj mu niebo — wam spokój i szczęście.

HALSZKA.

Tak Król Pan mówi — spokoju mu życzy
I niebios — Dobry Król Pan i łaskawy
Ja dzięk mu czynię. Pogrzeb z miejsca rusza
Muszę Książęcia prowadzić do grobu,
Jakom za życia do grobu go wiodła.
Za dobre słowo dzięk królewski Panie!

BEATA.

Halszko zostaniesz!

ZYGMUNT AUGUST.

Zostańcie przy Matce
Halszko z Ostroga. On zmarł — wina jego
Już odpłacona — wy żyjcie dla matki.

BEATA.

Halszko! króleski zaszczyca się rozkaz.

HALSZKA.

Król Pan nic mnie nie każe. Ja królowi
Wdzięczna iż jego prochom nieprzeklina,
Że się lituje po nad jego śmiercią,
Że lepszy widać, niż my obie były,
Cośmy mu życie zatruły do śmierci,
Że podług jego woli znać młodego
Takaby sroga nietrafiła kara!
Wdzięcznam królowi panu, jak innemu
Byłabym wdzięczną, biednemu człekowi.

BEATA.

Halszko!

ZYGMUNT AUGUST.

Niech mówi!

HALSZKA.

Bo dla mnie — cóż dla mnie
Nazwy te świata — Co król? Król go niemógł
Wyrwać od śmierci — król go niezratował!
Więc król u mnie nic niejest.

BEATA.

Ha! szalona!

ZYGMUNT AUGUST.

Hamujcie się kniahini!

HALSZKA.

Nic! nic niejest —
Dla mnie nic niema — tylko tam — tam wszystko—
Tam tam — i tutaj.

(Pokazuje na piersi).

Tutaj piekło moje —
Słuchajcie — dzwon mnie tam do trumny woła —
Żegnaj mi królu — żegnaj matko moja!...

BEATA.

Ani kroku! Halszko!

ZYGMUNT AUGUST.

(Zatrzymując Beatę).

Niechaj idzie w spokoju.

(Halszka wychodzi).

Okłamaliście mnie strasznie kniahini!
I wszystko wściekłéj poświęcili zemście.
Róbcie co chcecie daléj — córka wasza —
Król, do niej niemam prawa. Lecz Sąd Boży

Was czeka Księżno, jeśli ją do reszty
Zgubicie waszem niemiłośnem sercem.
Chciałem by Łukasz Górka ją szczęśliwą
Uczynił. Niechaj stara się, gdy zeche,
Wielka zasługa, kto to serce zleczy,
Ale pomocy méj więcéj nie dozna
Sumieniu tylko ją matki oddaję —
A Panu Bogu — Żegnam was kniahini!

(Odchodzi).

BEATA.

O dniu nieszczęścia!

(Odchodzi za królem).

---

## ZMIANA DEKORACYI.

Zamek Księcia Sanguszki.

*Kniaź Wasyl — Odachowski.*

WASYL.

No! wszystko skończone
Mój Odachowski. Nic mu już nietrzeba —
Chyba pacierzy.

ODACHOWSKI.

Żeby to jeszcze na Tatarskim tańcu,
Żeby go dzik był rozpłatał na puszczy
Ale tak — niecnem niewieściem knowaniem —
Ginąć młodemu — wnukowi Lubarta,

Z prastaréj książąt litewskich rodziny!
Toć gdym zobaczył, jako szła za trumną
Taka mnie boleść zdjęła i nienawiść
Żebym był rzucił ją precz — precz od trumny
Niewarta była postępować za nią.

WASYL.

Więcéj tam matka winna niżli ona,
Mój Odachowski. Bogdaj, czy nie dwoje
Zgubiła razem.....

(Kunegunda prowadząc Halszkę).

KUNEGUNDA.

Wasza Mość Książęca
Raczy mieć litość nad mą biedną panią —
Ledwie od grobu kniazia oderwalim
Księżniczkę Halszkę.

ODACHOWSKI.

Póżny żal zaprawdę.

HALSZKA.

Póżny za póżny! — Byłam w téj komnacie
Przed rokiem — on żył — lubię tę komnatę —
I ten zamek — pozwólcie mi zostać
Na tym zamku.....

WASYL.

Dwoje ich zabiła
Księżna Matka. Halszko — biedne dziecię,
Gniew i zawiść miałem ja ku tobie
Ale teraz już niemam, Bóg widzi —
Kocham ciebie, jak pierwéj kochałem —
I jak mego kochałem Dymitra.
Co się stało — zapomnę — bo widzę

Że choć wielce sprzeczna mu za życia
Toś w żałobie po jego skonaniu.
A i czyny twoje ja słyszałem,
Jakoś gwałt ten bezprawny pomściła
I do Polski powróciła z ciałem
By go obca niegniotła mogiła.

HALSZKA.

To stryj Wasyl tak przemawia do mnie!
Czy niewiecie jakam ja dlań była!

WASYL.

Dziecko Ilji! szatan cię omamił
W ciele Matki — wiem coś wycierpiała
Ja już niemam żalu k'tobie, Halszko
I on w niebie bez gniewu na ciebie.....

(Słychać dźwięk trąby i tentent koni).

WASYL.

Co to znaczy.

MARSZAŁEK ZAMKU.

Pan Górka to z pocztem
A niemałym w koło gród obskoczył
I przez posła żąda, by w imieniu
Księżnéj Ostrogskiéj wydana mu była
Wdowa Księcia nieboszczyka Pana.

HALSZKA.

O! ratujcie mnie kniaziu Wasylu!
Niewydajcie mnie Matce i Górce
Ja tu zostać chcę kniaziu Wasylu!

WASYL.

O bezwstydzie niewstrzymany niczem,
Nawet trumną i kirem żałoby!

Wasyl Górce rękawicę rzuca
W twarz haniebną, a Księżnie Beacie
Wzgardę swoją rzuca w czoło z stali!
Księżna wdowa w zamku pozostanie —
Chce ją dostać — niech przód zamek zwali!

(Marszałek odchodzi).

WASYL.

Do obrony gotować się trzeba!
Odachowski!

ODACHOWSKI.

Krótka będzie walka —
Gród bezbronny.

WASYL.

Więc krwawa niech będzie!

(Odchodzi z Odachowskim).

HALSZKA.

Kondziu! Kondziu i mnie miecz daj w rękę!
Niedostanie mnie żywą pan Górka.

(Odchodzi).

---

## ZMIANA DEKORACYI.

Część muru zamkowego.

HALSZKA.

(Spotyka się z Odachowskim).

Próżno bronić pono! Dziś wieczorem
Padnie zamek.

ODACHOWSKI.

Dziurawy jak sito!

HALSZKA.

Ludzi mało.

ODACHOWSKI.

Zginęła połowa.

HALSZKA.

Szlij więc kogo panie Odachowski
Do bliskiego grodu z tem pisaniem.

(Daje mu list).

Niech Kniaź Siemion przybywa z pomocą.

ODACHOWSKI.

Siwy starzec — co mieszka samoczwart
Jaką pomoc da z pustego grodu?

HALSZKA.

Kniaź mnie Siemion jako córkę kocha
Znajdzie pomoc — Wskażę-ć skrytą drogę —
Milę idzie pod ziemią za zamek —
Idź, na Boga!

ODACHOWSKI.

Idę, Pani moja!

(Halszka odchodzi z Odachowskim).

---

## ZMIANA DEKORACYI — WIECZOR.

Miejsce przed kaplicą zamkową.

*Występuje Łukasz Górka — Beata i rycerze w świcie*

ŁUKASZ GÓRKA.

Rzecz cudowna! Naraz zcichło w zamku —
Straże znikły — bramy się roztwarły —
W całym zamku żywéj niemasz duszy —
Tylko w wnętrzu kaplicy się świeci.

BEATA.

To ostatnia zbrodnia mojéj córki —
Niech wywalą drzwi do téj kaplicy!

ŁUKASZ GÓRKA.

To dom Boży —

BEATA.

Gdzie fortele knują.....
Drzwi wywalić — panowie rycerstwo —

**(Drzwi się otwierają — z oświeconéj kaplicy występuje w gronie rycerstwa — Wasyl kniaź — Odachowski — i Halszka z 80 letnim Siemionem).**

HALSZKA.

Oto małżonek i pan mój — Kniaź Siemion!

BEATA.

Porwać zbrodniczą! Śmierć temu starcowi!

ŁUKASZ GÓRKA.

Dość tego Księżno! Rycerstwo mi więcéj
Kroku nieruszy. Jeżli wam służyło
To, żem chciał wyrwać z rąk kniazia Wasyla
Córę książęcą i powrócić matce.
Boleść księżniczki widząc, króla pana
Słowa słyszawszy — niemyślałem więcéj
O ślubach z Halszką — gdyby nie wy Księżno
Niepomyślałbym nigdy. Dosyć tego!
Cześć nowéj parze! Cześć kniaziu Wasylu
Dzielny z was rycerz! Niech Litwa z Koroną
Na gruzach tego zamku się pogodzi —
A proch co w moich armatkach pozostał
Niech salwą koniec téj sprawy ogłosi!

KONIEC.

Józef Szujski.

# PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

## Dzieje Księstwa Warszawskiego

p. *Fryderyka hr. Skarbka.*

**Tomów 2. Poznań u Żupańskiego roku 1860.**

Nader mało mamy takich prac historycznych w którychby autor był świadkiem i bystrym obserwatorem swojego czasu, w którychby nadewszystko umiał przedstawić z głębszym poglądem na przyczyny i skutki, wierny obraz wpływów politycznych oraz instytucyi zawiadujących krajem.

Pamiętniki licznie ogłaszane, a obejmujące najwięcéj okres stu lat ostatnich, są raczéj zbiorem obrazków i zapisków z życia towarzyskiego, i to w szerszym lub szczuplejszym obrębie; dlatego, lubo dostarczyć mogą ciekawych rysów i szczegółów do różnych miejscowości, niedają przecież téj skończonéj całości, tego wielostronnego rzutu oka, tego wreszcie strzeszczenia wypadków,

odniesionych do kierującéj niemi przyczyny politycznéj lub administracyjnéj, jakie dać może w wyższém znaczeniu historya, zasługująca prawdziwie na miano: *magistra vitae.*

Na nieszczęście, z epok najbliżéj nas obchodzących niemamy takiéj historyi. Całe panowanie Stanisława Augusta składa się z samych pamiętników i urywkowych pism mogących służyć za materyał, lub z obcych prac historycznych niedość wtajemniczonych w ducha narodu. O następnych epokach, lub o dziejach niektórych prowincyi przeszłych pod inne rządy, jeszcze mniéj wiemy; piszący bowiem zwracali się tylko do pewnych momentów kiedy się życie narodu budziło, a od symptomatów letargu i przyczyn co go sprowadziły w codziennym rzeczy porządku, niejako odwracano oczy. Tymczasem badanie tego procesu przez jaki przechodził naród wyrwany z publicznego najszerszego życia, a w najbierniejszą bezwładność wtrącony, nastręcza tyle ciekawych i uczących postrzeżeń, tak otwiera oczy na charakter narodu, taką daje jasną diagnozę jego choroby — że nieraz deklamacyami wydają się te gorzkie wyrzuty jakie od tylu lat ciskamy na los ciężący nad nami, i na ludzi wykonywających wyrok losu. Niebędąc zwolennikiem teoryi fatalistycznéj, widzę w dziejach palec Opatrzności wtenczas dotykający, kiedy poprzednie ostrzeżenia, próby i kary, niemogły sprowadzić godziny opamiętania się, albo ją sprowadzały za późno. — Po katastrofie dopiero odejmującéj byt polityczny, organizacyą władz i przywiléj, zostaje naga treść z tych uroków ogołocona i z niéj to można dopiero wnioskować o stopniu żywotności, o siłach moralnych wewnętrznych; te bowiem powołane są do odgrywania roli wprawdzie trudnéj, lecz mimo tego wielkiéj i zaszczytnéj, choć w dziejach zwycięztw i tryumfów niegłośnéj. Ciche walki w obronie najdroższych interesów religii, języka, wła-

sności, obyczaju, walki prowadzone w jedności, i z godnością budzącą nawet poszanowanie w oczach przeciwników, dają najlepsze świadectwo że z upadkiem politycznego znaczenia pozostały żywioły organiczne.

Dziejopisowie ojczyści wymowni w opisach tych chwil w których na hasło ofiar z krwi i majątku, naród pokazywał gorącość uczuć, i gotowość poświęceń się, zazwyczaj bardzo skąpi są w dotykaniu innych stron życia że tak powiem: codziennego; kiedy upokorzenie było chlebem powszednim, kiedy wszystko cofnięte w domowe ogniska skazane na bierną nicość, bez żadnéj spójni między sobą, bez cienia solidarności w najżywotniejszych interesach. Zapewne od przykrego obrazu myśl odwraca się aby szukać w piękniejszych objawach ducha, pocieszenia i chluby — ale same dytyramby życia dziejowego niedostarczają jeszcze téj nauki, jakiejby dla nas szukać należało w prozie zwykłego biegu spraw ludzkich. Cośmy robili w dniach czarnéj żałoby? Czy umieliśmy zastósować się do położenia w jakie nas rzuciły wypadki, i wyciągać z niego wszystkie możebne korzyści ku ratowaniu najdroższych własności, jakich niechce zazwyczaj szanować obca władza, kiedy w ich obronie nikt stanąć nieumié i nieśmie? Czy duch spędzony z pola walk orężnych, umiał się skupić około innych środków mniéj głośnych i świetnych, a stokroć ważniejszych? Czy cicha praca rządności domowéj wychowania, oświaty, gromadziła zasoby na przyszłość w którą wierzono? — Wszystko są to pytania, omijane przez dziejopisów naszych, a raczéj zbywane wykrzykami na niesprawiedliwość losu. Tymczasem kto się rozpatrzy w te chwile upadków lub przejść z jednego stanu w inny — przekona się że sposobność do działań obywatelskich była niekiedy łatwa, ale nikt korzystać niechciał, wszystko się usuwało posypując głowę popiołem, i wo-

ląc przyjmować łatwą demoralizacyę, niż wydobyć siłę moralnéj samodzielności, któréj źródłem wiara w siebie.

W życiu prywatnem jak publicznem, różne bywają drogi; niewiedzie się komu na jednéj, niech innéj próbuje; jest to najprostsza rozsądkowa praktyka, którą wskazuje przyrodzony konserwatyzm. Nieumieliśmy nigdy być konserwatystami w wielkiem tego słowa znaczeniu. Każde niepowodzenie wtrącało w bezwładność lub też w zgubne wetowanie tego, imajnacyjnemi siłami, co się straciło przy rzeczywistych siłach.

Jak już napomknąłem, w dziejach naszych nowszéj epoki mało sobie zadawano trudu w oddaniu tego usposobienia w jakiem się naród znajdował gdy przechodzi pod nowe mu prawa i instytucye, kiedy ducha jego w obce wtłaczano formy. Nikt nietłumaczył z jakich przyczyn skazywano się na bezwładną bierność, i czy widoczne były usiłowania w utrzymaniu tych własności, co mogą być wydzierane, lecz tylko znikczemniałym bez skrupułu odjęte. Działanie nowych praw, wpływ instytucyi, obcéj ludności, języka, publicznego wychowania, zasługują przecież na studia o sto procent więcéj objaśniające, i uczące, niżeli wspomnienia rycerskich czynów na polach bitew; samą odwagą żołnierską nieżyje i niemoże żyć żaden naród cywilizowany, lecz żyje tem co zdobędzie pracą: i jednością sił solidarnie ze sobą złączonych.

Niewiem czy może być ciekawsza karta jak stan kraju naszego po upadku Kościuszki? Opisują nam zazwyczaj szeroko i świetnie o tych, co kraj opuścili, lecz o tych co w nim zostali, co przechodzili przez wszystkie formy nowéj, a tak różnéj od dawnéj organizacyi — o tych których koléj zmiennéj fortuny najdotkliwiéj cisnęła, o tych zaledwo rzucono nic nieznaczący ogólnik.

Najświeższa książka hr. Fryderyka Skarbka: *Dzieje Księstwa Warszawskiego*, skreślona jest właśnie w tym

celu aby dzisiejsze pokolenie obznajomić z wewnętrznemi dziejami tych prowincyi, co po ustąpieniu z tronu Stanisława Augusta, przeszły pod berło pruskie, a następnie pod rząd króla saskiego, a właściwie pod panowanie Napoleońskie; król saski bowiem będąc niejako lennikiem Francyi, był oraz ścisłym wykonywaczem widoków Napoleońskich dotykających nieraz obywateli Ks. Warszawskiego w sposób lekceważący nietylko ich interesa materyalne, ale uczucie godności, a mianowicie uczucie samoistności narodowéj, które okraszone szczyptą sławy zdobytéj na klęskach obojętnych nam narodów, należało do najoczywistszych złudzeń.

Można powiedzieć że w dziele tem spotykamy się po raz pierwszy z rzeczywistością, nieobwiniętą w buletyny tryumfów Napoleońskich, które dotąd ćmiły wszelki trzeźwy pogląd na stan kraju i jego mieszkańców.

Jeżeli tedy ubywa nam coś ze złudzeń naszych, z drugiéj strony przybywa niejedna nauka, choćby tylko ta jedna: że skazywanie się na bezwładność w oczekiwaniu jakiegoś zjawiska, co jak polityczny *Deus ex machina*, wszystko rozwiąże bez trudu — należy do najsmutniejszych symptomatów upadku ducha, i nawet w najpomyślniejszym trafie, daje jeszcze najopłakańszy wypadek. — Czy chorą i wyniszczoną osobę położysz na marach, czy ją posadzisz na rydwanie tryumfalnym posypanym kwiatami — niezmienia to istoty rzeczy.

Jak wspomniałem ze wszech względów ciekawy i nauczający to obraz przedstawiony, zaraz w pierwszym rozdziale Dziejów Ks. Warszawskiego, w którym autor pokazuje nam kraj, społeczeństwo i rządy pruskie.

Jaki był stan téj części dawnéj Rzeczypospolitéj co się razem ze stolicą dostała Prusom? Łatwo sobie można wystawić. Upadek życia publicznego, a z nim upadek klasy uprzywilejowanéj, któréj pozostała tylko uprawa roli; przemysł w kolebce, a prawie żaden; bo niebyło

innych źródeł bogactwa narodowego prócz tych, któremi ją uposażyło samo przyrodzenie. Ludność nadzwyczaj mała, bo ledwie tysiąc paręset dusz na milę; miasteczka rzadkie, bez handlu, nic niekonsumujące, gdyż sami mieszkańcy trudnili się rolą, żydowska zaś ludność opierała zyski swe na rozpajaniu i demoralizacyi chrześcian. — Rolnictwo było jedyném bogactwem. — Alić i źródła tego bogactwa niebyły tak świetne, więcéj bowiem wynikały one z urodzajności ziemi i z wielkiéj rozległości pól uprawie poświęconych, jak z przemysłu właścicieli. Z resztą znaczny wywóz zboża w najświetniejszych chwilach, dowodził tylko że wewnętrzne zużycie było niedostateczne, że zbywało krajowi na środkach zamiany, i na téj rozmaitości płodów krajowego przemysłu, która jest zasadą wewnętrznego handlu. Dochody ciągnione ze sprzedaży zboża za granicą, nierozdzielały się między ludzi przemysłową pracą zajętych, a tylko szły do rąk większych właścicieli dóbr.

Przy takim braku wewnętrznego przemysłu i handlu przy małych potrzebach ludu, zawsze prawie źródła dochodów publicznych były nadzwyczaj u nas skąpe. Nigdy niebyło skarbu publicznego — a tak najzbawienniejsze zamiary, poświęcenia się obywatelskie, przemijały jak dym bez tego środka aby je mógł w rzeczywistość zamienić.

Każda karta historyi naszéj potwierdza tę prawdę.

Z przyjściem rządów pruskich uregulowano podatki, i niewiele podwyższono nad postanowione przez sejm 1789 r., wszakże dążnością fiskalną nieusiłowano wysysać wszystkich zasobów krajowych; owszem po starostwach, dobrach duchownych i narodowych zaprowadzono porządek i gospodarstwo.

Autor oddaje tę słuszność rządowi pruskiemu że w ogóle postępowanie jego było łagodne i wyrozumiałe, urzędnicy pełnili powinność swoją skromnie, w obcho-

dzeniu się z obywatelstwem grzecznie, bez upokarzającéj dumy, która właśnie cechowała władze rosyjskie — lecz mimotego lekceważono sobie słabość i brak spójni w narodzie — bo odrazu skasowano dawne magistratury, na ich miejsce wprowadzono nowe, a z nimi obcy język. Z administracyą poszło bez trudności, z sądownictwem nieco więcéj było zachodu. Sądownictwo bowiem oparte na prawach i zwyczajach krajowych, a tem samem w związku z duchem narodu, niemogło być zmienione odrazu stósownie do widoków rządu. Jakoż obok zaprowadzonych Justitz-komisyj, czyli sądów pruskich, zachowano obok tego sądy niższe polskie gdzie się wszystkie sprawy odbywały po łacinie. Żeby zaś podkopać użyteczność tych sądów, zostawiono stronom wolność udawania się do jednych lub drugich. Skutkiem większéj pilności i prędszego wymiaru sprawiedliwości w sądach pruskich niż polskich, strony wolały udawać się do pierwszych; gdy potem zaś wyszło prawo że jeżeli sądy polskie niemają dziesięć spraw na wokandzie, zwiniętemi zostaną — juryzdykcya ta ustała r. 1799. Z tego rysu można mieć wyobrażenie jak duch publiczny musiał być słabym, kiedy od niego zależała obrona jedynéj pozostawionéj mu instytucyi, a on nieumiał jéj zachować.

Tak tedy lud odmienny rodem, językiem, wyznaniem religijnem, obyczajami, ustawami i skłonnościami, wtłoczony został w formę nowego politycznego bytu, i stał się, jak mówi autor: martwą masą, którą bez żadnéj obawy tłoczyć, przetwarzać można było, która na powierzchni wszelkie dowolne przybierała kształty i odciski...

Raptowne dokonanie zagłady cech narodowych mogłoby uchodzić za dzieło śmiałe, gdyby niewiedziano o tem że powodzenie tego kroku łatwem było na zgnębionych i bezwładnych; bo chociaż niewygasła w du-

szach siła moralna, ale ta ograniczała się na tak szczupłą liczbę, że masy niedomyślały się nawet aby na jakiejbądź zmianie ucierpieć mogły. — Zresztą część narodu przechowująca żywą tradycyę, i jedynie mogąca coś znaczyć, skazana na życie gnuśne i nieczynne, otoczone ponętami próżności i zbytków, stawała się tem mniéj niebezpieczną; a wśród dobrego bytu który za tych czasów podwoił dochody fortun szlacheckich, łatwo zacierała się pamięć przeszłości. Zaszła też zmiana nagła w społeczeństwie reprezentującem naród. Niedawni przewodnicy bez wszelkiego zachodu zepchnięci zostali z dotychczasowego stanowiska, i zredukowani do zera. Wyżsi dygnitarze i urzędnicy Rzeczypospolitéj straciwszy znaczenie i udział w sprawach pospolitych, ukryli się w domowem zaciszu, szczęśliwi, jeśli im czyste towarzyszyło sumienie; inni wynieśli się z kraju. Dawni wojskowi szukali służby za granicą. Mnóstwo urzędników sądowych, i tych, co mieli pomieszczenie w starostwach i dobrach duchownych, teraz inkamerowanych, zostało bez chleba i musiało szukać przytułku w innych prowincyach sąsiednich; co wyludniało kraj i tak już nieludny, a nowym panom było bardzo na rękę, gdy natomiast spodziewali się przez naprowadzenie obcych kolonistów zatrzeć właściwy charakter kraju. Drogi to był sposób; bo osadzenie jednéj familii kosztowało około 1000 talarów! — Celem miało być podniesienie rolnictwa, ale się pokazało że rolnictwo mało zyskało na tem, a rząd tak wielkie ponosił koszta, że mając co innego na względzie, niemyślał zapewne aby się nakład powrócił. Kolonistom tym zawdzięcza kraj wyniszczenie lasów — wielu bowiem prywatnych idąc ślepo za przykładem, zaczęło sprowadzać Holendrów pozwalając im rudować lasy i zakładać osady. Najczęściéj jednak gdy właściciele po latach domagali się od nich umówionego czynszu, Holendrzy zabierali się i szli gdzie indziéj szukać lasów do niszczenia.

Donacye dóbr narodowych urzędnikom i wojskowym pruskim, także miały na widoku usunięcie szlachty i pozbawienie ją sposobu utrzymania się; dawni polscy oficyaliści zastąpieni zostali amtmanami, i obcymi dzierżawcami, a stosunek ich z ludem rolniczym stawał się bezpośredni.

Trudno było oprzeć się tym środkom z góry idącym, a mającym charakter zręcznego wyzyskiwania słabości i namiętności nieodłącznych od człowieka, zwłaszcza opuszczającego ręce i ciemnego na to, co się dokoła niego działo. Autor z całego tego nienaturalnego stosunku między rządzącymi a rządzonymi, wyprowadza dwa niezmiernie szkodliwe i zgubne wyobrażenia jakie sie wszczepiły w umysły krajowców; jedno, że każda władza rządowa jest siłą działającą w brew życzeń i potrzeb narodu, z którą zawsze w sprzeczności i wojnie być trzeba; drugie, że ludzie uczciwi i majątkowo niepodlegli niepowinni się oddawać służbie krajowéj, aby się w służalców niezamienić.

Nie potrzeba przekonywać jak dwa te wyobrażenia stawszy się nałogiem, przeszły w wadę trudną do pozbycia się nawet wtedy, gdy dobro kraju wymagało aby obywatele zajmowali wszystkie urzędy. — Poszło też za tem prędkie otrętwienie siły działalnéj ludzi mogących pracować w zawodzie publicznym; zaniechano kształcenie się do służby krajowéj, przez co stracono wszelkie pojęcie o stanie i siłach produkcyjnych kraju.

Możnaby przypuszczać, że jeżeli dojrzałe pokolenie żywo dotkięte, usuwało się na bok, to przynajmniéj przyspasabiało młode na przyszłych obywateli. Lecz i tu zwichniony był kierunek. Rodzicom zdawało się że dzieci ich nigdy niemogą ani powinny być użytemi do służby publicznéj, więc też woleli je kształcić na przyjemnych ludzi towarzyskich. Francuzki język i literatura łatwo dająca się nabyć za pomocą tułających się

u nas emigrantów francuzkich, składała cały zasób naukowości; języki zaś starożytne i umiętności ścisle, poszły w zupełne zaniedbanie.— Szczęściem ocalałe w téj powodzi przeobrażeń, szkoły i konwikta pijarskie, zaszczepiały w młodzieży gruntowniejsze wiadomości. — Wszakże były to tylko przygotowawcze kursa do dalszych uniwersyteckich nauk; atoli na te ostatnie mało kto się puszczał, woląc poświęcić życie rozpustnéj nieczynności niż pracy.

Że ten rodzaj wychowania wywierał niekorzystny wpływ na język ojczysty i literaturę — łatwo się domyśleć. Rząd nie udzielał żadnéj opieki i zachęty pisarzom polskim; do katedr nauczycielskich dawał przystęp li tylko swoim. — Mała zaś liczba pozostałych z czasów Stanisława Augusta uczonych lubo uprawiała naukę w cichości, niemiała komu udzielać postrzeżeń i wniosków swoich.... któż w takiem zwątpieniu, liczył na naukę?

W prawdzie zdarzył się w ówczas fenomen, jakiego niemożnaby pogodzić z intencyami pruskiego rządu; fenomenem tym było zezwolenie na Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Warszawie, mające na celu utrzymywać język i badać dzieje narodu.— Lecz byłato nieszkodliwa koncessya; coż mogło zrobić Towarzystwo Naukowe, przy tak niskim stopniu wychowania młodzieży? W łańcuchu oświaty brakowało tyle ogniw, że dwie jego kończyny, niemogłyby się zrozumieć.— Do wszystkich tych środków jakich z wyrafinowaniem używał wtedy rząd pruski, aby europejskich indyan wyprzeć gdzie daleko na północ, było ustanowienie w r. 1797 komisyi hipotecznych które z taryf podatku ofiary powziąwszy wiadomość o wszystkich dobrach gruntowych i ich właścicielach, wezwały tychże do uregulowania hipotek dóbr swoich, naznaczając im prekluzyjne termina, wysyłały komisye na grunt do zrobienia regulacyi, i wezwały wszystkich

wierzycieli do stawienia się pod utratą praw swoich.— Zdawałoby się że ugruntowanie i zregulowanie kredytu tak potrzebnego w kraju, dało powód do zaprowadzenia hipotek — lecz z późniejszego obrotu rzeczy pokazało się, że przewidzianą była przez rząd słabość nasza w nadużywaniu kredytu, a zatem i przyszła ruina nadużywających go.

Trzeba wiedzieć że za czasów pruskich wywóz do Gdańska zboża i wszelkich surowych produktów pomnażając dziesięćkroć dochody z ziemi, podniósł zarazem wartość dóbr nieruchomych; — właściciele biorąc chwilowy ten dochód za zasadę, nadali w hipotekach fałszywą podstawę kredytowi, zapominając o tem że każdy przezorny właściciel gruntowy, nie podług wartości hipotecznéj dóbr swoich, lecz stosownie do możności uiszczenia się z długu pożyczkę zaciągać powinien.— Hipoteki stały się odtąd urzędowem omamieniem, oszukującem zarówno i dziedziców i wierzycieli. Dla większéj łatwości zaszargania majątku znaleźli się ajenci banku berlińskiego którzy zleciawszy się do Warszawy, wchodzili w układy z właścicielami dóbr pożyczając im pieniędzy na własną ich zgubę.— Prócz tego wypożyczano na hipoteki majątków prywatnych z depozytów sumy małoletnich; — zgoła ułatwienia były najobszerniejsze w zaciąganiu długów. Tym sposobem wszystkie prawie dobra ziemskie obciążone zostały, po większéj części nad swoją wartość; — toż od chwili kiedy ze zmianą stosunków intraty zredukowały się do zwyczajnéj miary, ruina stała się powszechną, a majątki zaczęły przechodzić w obce ręce.

Był to wysoki stopień niemoralności, jak mówi autor— gdy władza z istoty swojéj opiekuńcza i ojcowska, poddanych swoich demoralizuje lub z ich demoralizacyi korzysta; żaden pozór dobra pospolitego niezdoła usprawiedliwić takich kroków. Należało bowiem rządowi

ostrzedz lekkomyślnych, że drożyzna ziemiopłodów, przez chwilowe okoliczności przywiedziona, niemogła być miarą rzeczywistéj dóbr wartości; — lecz niebyło to ani zamiarem ani interesem ówczesnego rządu; a tak byt i zamożność stały się narzędziem zagłady.

Taki obraz téj części Polski berłu pruskiemu podległéj, skreślił szanowny autor ukazując mieszkańców pogrążonych w téj otrętwiałości która nierozumie nawet ani chce rozumieć co się dokoła niéj dzieje, a tylko grzęźnie w zwierzęcem zaspokojeniu codziennych potrzeb, przeradzających się w zbytek i lekkomyślną rozpustę, zwłaszcza gdy znalazły podnietę w pomnożonych dochodach i łatwości dostania pieniędzy — na kredyt. Wszystkie najdroższe interesa: język, religia, wychowanie, stanowisko społeczne, własność, wymiar sprawiedliwości — oddane zostały na łaskę..... Niedziwimy się, że sobie lekceważono tych, co tak lekceważyli spuściznę i obowiązki po ojcach wzięte... jeszcze tak świeże w pamięci.

Stan ten prowincyi niezmieniał się w niczem, i zapewne byłby się rozwiązał okropną katastrofą wywłaszczenia polskiéj szlachty, gdyby nie zwycięztwo Napoleona pod Jeną, i dalsze następstwa kroków wojennych, co przywiodły Francuzów na brzegi Wisły.....

Cała ta wojna prowadzona na przestrzeni od Warszawy do Królewca znaną jest z historyi — Więcéjby nas obchodziły szczegóły odnoszące się do ruchu sprawionego w kraju przez otwierające się dlań widoki. Lecz autor dotknął ich dość ogólnie, chociaż ku temu miał źródło niepodejrzane, bo pamiętniki Wybickiego, który jak wiadomo, najbliżéj był przypuszczony do osoby Cesarza i miewał z nim rozmowy dające poznać co ów wielki wojownik myślał, i jakie miał wyobrażenie o kraju i jego mieszkańcach którym chciał byt polityczny przywrócić. Sądzę że przytoczenie kilku słów tra-

fnych napisanych przez Wybickiego o Napoleonie odnośnie do sprawy narodu, byłoby rzuciło poważne światło na wszystko co dla nas robił. Jeżli je hr. Skarbek pominął, to nie od rzeczy tu je przypomnieć: „Rozumieliśmy, powiada Wybicki — że Napoleon sejm r. 1791 wskrzesi że nam pewne da nadzieje. Ale się pokazało, że on nie mając jeszcze pewnego względem nas systematu, wychodził z nami nic nieznaczącą polityką; a często i przykro przypominał nam z Ruliera zamieszki i anarchię, która od sejmu konstytucyjnego już miejsca niemiała Niekiedy tak niedorzecznie ten wielki człowiek mówił, iż słuchać przykro mi było; jednę tylko nam przyjemność powiedział, że w żadnym traktacie podziału nie zatwierdził.“

Jeżeli słowa Cesarza wyrzeczone do deputacyi obywateli naszych w Berlinie, niezaspakajały oczekiwań narodu, któremu kazał powstawać, krew przelewać i ofiary ponosić, niby dla przekonania się czy warto coś zrobić dlań zato — to po pokoju tylżyckim zaszły większe jeszcze rozczarowania. Wprawdzie trudno było wymagać jakicheś poświęceń się ze strony Francyi, tam gdzie zachodziły inne interesa i polityczne rachuby, — ale te uwagi zimnego rozsądku niemiały wówczas przystępu do umyslów oczekujących zupełnéj restauracyi. Gdy zaś w punktach traktatu tylżyckiego, niebyło innéj wzmianki tylko o Księstwie Warszawskiem utworzonem z zaboru pruskiego — o wiele osłabła wiara w potęgę i wspaniałomyślność Napoleona.

Mimo tego jednak zawodu, choć ściśle biorąc niebyło poprzednich obietnic, utworzenie Księstwa należało do prawdziwych dobrodziejstw, bo obywateli wyrwało z tego zabójczego otrętwienia, do jakiego byli doprowadzeni; nadana zaś konstytucya przez Napoleona, choć niecałkiem odpowiedna duchowi narodu, powoływała go je-

dnak do publicznego życia, oddając mu w ręce reprezentacyę i wszystkie urzędy.

Autor poświęca kilka kart rozbiorowi téj konstytucyi, z lekka jednak dotyka szczegół historyczny tyczący się jéj powstania. Wybicki jako naoczny świadek wybornie skreślił go w swoich pamiętnikach.

Napoleon po traktacie tylżyckim przeleciał przez Polskę i niezatrzymał się aż w Dreznie, wezwał świeżo w Warszawie ustanowioną komisyę rządzącą, aby stawiła się po odebranie konstytucyi, a raczéj aby stawił się Stanisław Potocki i Wybicki. Ten rodzaj wezwania pokazujący że inni członkowie nie są potrzebni, sprawił przykre między nimi wrażenie; przykrzejsze jednak były spory o jaką konstytucyę prosić Cesarza; jedni obstawali za ustawą 3go maja, inni żądali zmian odpowiednich czasowi. Zapomniano że spór daremny, gdzie rzecz sama z góry już była rozstrzygnięta. Jakoż kiedy Potocki z Wybickim stanęli w zamku drezdeńskim w obec Napoleona i zaczęli mu dziękować za przyrzeczoną konstytucyę; Cesarz na to: Wiem że jesteście niekontenci że tylko zrobiłem Księstwo Warszawskie; ale ja interesów Francyi dla was kompromitować niemogłem! — Poczem wziąwszy kapelusz, łamał go w ręku mówiąc: „Wszystko to jeszcze się tak połamie — macież jaki projekt do konstytucyi waszéj?“ — Potocki na to zaczął czytać świeżo ułożony projekt, lecz Napoleon nie dał mu dokończyć, mówiąc: dziś wam trzeba dać inną konstytucyę reprezentacyjną — poczem zawołał księcia Bassano, aby mu dyktował. Dwaj delegowani przedstawili że w przedpokoju był prezes komisyi rządzącéj z członkami. Na to kazał ich przywołać, i zaczął wszystkim robić nieprzyjemne wyrzuty niezgody, dążności do anarchii, i dodał: Zniosę u was naprzód poddaństwo i dam wam konstytucyę reprezentacyjną pod berłem króla saskiego — i nieczekając, daléj zaczął dyktować ową kon-

stytucyę dla Ks. Warszawskiego. Dyktował ją prędko chodząc po pokoju... Do deputacyi obracał się niekiedy i pytał czy z niéj kontenta; a gdy książę Talleyrand przybył nieco późniéj, odezwał się do niego: lubisz wygódki, a ja kończę już nadanie konstytucyi nowemu krajowi, i z wielką radością dodał: Zniósłem odwieczne poddaństwo w Polszcze i to mych zwycięztw laur dla mnie najmilszy."

Są to rysy które wcale dobrze mogły się były w znakomitem dziele hr. Skarbka pomieścić, zwłaszcza że pamiętniki zawsze są najszacowniejszym materyałem dla historyka; one dając życie i barwę uobecniają to co się działo, i podnoszą interes historyczny.

Autor oceniając konstytucyę, robi uwagę, że aczkolwiek takowa różni się w zasadzie od późniejszych ustaw z współdziałaniem parlamentarnem, z tem wszystkiem podziwiać wypada że samowładność rządów Napoleońskich tyle praw i swobód podbitym narodom zostawiała. W rzeczy saméj konstytucya uznawała obok wolności wyznań religię katolicką jako religię państwa; znosiła niewolę; wprowadzała równość w obliczu prawa; utrzymywała język narodowy; wyłączała cudzoziemców od urzędów; przytem ustanawiała wojsko krajowe; niepodległość sądownictwa; dopuszczała reprezentantów do udziału w prawodawstwie; i dawała obywatelom prawo wybierać na sejm posłów, radzców po departamentach i powiatach, oraz sędziów pokoju. — Pod skrzydłami téj ustawy mógł się swobodnie rozwijać duch narodowy, co było jéj największą zaletą. W gruncie zaś odkładając na bok zbawienne jéj wpływy, niemiała żadnych rękojmi praw i swobód przyznanych; był to rząd samowładny, pod formami i pozorami konstytucyjnemi, co może najlepiéj odpowiadało ówczesnéj potrzebie, a nawet i usposobieniu narodu; był to rząd centralny, w którym każde rozporządzenie władz niższych wykonawczych

szło od władzy najwyższéj. Napoleon potrzebujący ślepych swéj woli wykonawców, niebyłby przystał na żadną formę rządu, krzyżującą jego postanowienia.

Taki stan rzeczy zadawalniał jednak ówczesnych obywateli Księstwa, choć może przy téj gwałtownéj zmianie, boleśnie czuć im się dały niektóre reformy. Szczególniéj 47 art. konstytucyi znoszący niewolę i stanowiący równość w obliczu prawa, był więcéj szumnem podkadzeniem rewolucyi francuzkiéj 89 r. niż szczerem zajęciem się dolą naszego ludu. Posłuchajmy co hr. Skarbek powiada o skutku tego paragrafu ustawy: Usamowolnieni chłopi nieotrzymawszy obok wolności, ani własności gruntu, ani zwolnienia siebie z obowiązków pańszczyźnianych, użyli téj wolności na to, aby porzucać rodzinne wioski, i pewien rodzaj wędrówki ludu po kraju odbywać. — Zerwane zostały dawne stosunki panów z włościanami; ostatni utracili opiekę pierwszych a pierwsi przychylność i wpływ nad ostatniemi. Najgorszy zaś ten był skutek téj reformy, że w kraju dość nieludnym, zupełnie rąk do uprawy roli zabrakło, co niemało przyczyniło się do zubożenia tego kraju wysysanego przechodami wojsk i ogromnemi kontrybucyami wojennemi.

Zobaczmyż jaki po zaprowadzeniu władz i organizacyi Ks. Wars. okazał się stan tego kraju, będącego niedawno teatrem wojny.

Razem ze wstąpieniem Francuzów na ziemię polską zdarzył się jedyny może wypadek w dziejach gospodarstwa krajowego, gdy bogactwo narodowe oswobodzonego kraju tak nagle zmniejszyło się, iż pociągnęło za sobą bankructwo, nie już publicznego skarbu, nie kilku bankierów, ale całego narodu, a mianowicie właścicieli gruntowych.

Jak się to stało, łatwo sobie wytłumaczyć, gdy zważymy iż za rządu pruskiego cała zamożność kraju po-

legała na produkcyi surowych płodów i ich wywozie za granicę; z resztą żadnego przemysłu, ani żadnéj prawie wewnątrz konsumcyi. Owoż z przyjściem francuzów, z zoblężeniem Gdańska, i z zaprowadzeniem systematu kontynentalnego, przerwał się cały wywóz. Co było w kraju zboża zużytem zostało na liwerunki dla wojska, wielka część na składach Gdańskich przepadła, a brak rąk i lata nieurodzajne dokonały reszty, a chociaż pokój powrócił, niewróciły dawne pomyślne stosunki.— Dopieroż jak niebyło z czego opłacać procentów z zaciągniętych sum na urojone hipoteki; jak się pokazało że wartość dóbr drogo, a najczęściéj za pożyczone pieniądze nabytych, spadła — posypały się bankructwa jedne za drugiemi. Środki zaś przedsiębrane przez rząd dla ratowania obywateli jako: *juristitium* czyli zawieszenie wymiaru sprawiedliwości, następnie *moratorium* czyli zawieszenie wypłaty długów, dokonały znowu upadku tych, których całe mienie utopione było w wierzytelnościach hipotecznych. — Tym sposobem bankructwo stało się ogólnem, a nędza nieuchronną.— Rząd przez własnych kraju obywateli sprawowany, mógł był przy pilności i oszczędności prędko złemu zaradzić; lecz jakież to brzemię wydatków nieciężyło na kraju! to na wojsko swoje, to obce, to na zaprowadzenie nowych instytucyi; a tu od zniszczonych, i pozbawionych dotychczasowych źródeł dochodu mieszkańców, trudno wyciskać grosz, którego niebyło.— Gdy tedy skarb publiczny niemógł wystarczyć wydatkom, a zewsząd szły utyskwiania na upadek fortun i gospodarstwa, zrobiono trzy operacye finansowe; z tych najciekawszą, było odstąpienie przez Napoleona dla skarbu Ks. Warsz. 47 milionów fran. przez rząd pruski właścicielom dóbr rozpożyczonych, którym nadano w ówczas nazwisko sum Bojońskich, dla tego że odstąpienie onychże w Bajonie dokonanem zostało.—

Operacya ta przypisywana wspaniałomyślności Cesarza, była, jak mówi autor, złudzeniem, a nawet i główną klęską kraju, bo kosztowała go 20 milionów franków, które przeszły do kas francuzkich. Owe pruskie wierzytelności lokowane na złudnych hipotekach niemogły mieć już żadnego znaczenia bo nawet za nie procentu by nieściągniono. — Tak tedy niebył to żaden zasiłek skarbu Ks. War. ale przeciwnie główna przyczyna jego niedostatku i niepowetowanych strat dla kraju; wszystkie bowiem dochody zebrane od wycieńczonych mieszkańców, przelewały się do kas francuzkich. Dla dopełnienia tego obrazu niedoli przychodzi mi na myśl, trafny dowcip powiedziany w ówczas przez ministra Badeniego na te kosztowne rządy francuzkie: Prawda! zdjęto nam pęta, ale z nimi i buty.

Mimo tego wszystkiego duch publiczny ożywiał się, nietylko w Księstwie lecz i w sąsiednich prowincyach; we wszelkiego rodzaju ofiarach nieznano granic; biedę słodzono sobie myślą, że musi być lepiéj, bo wielki Napoleon czuwał; z resztą nieumiano jeszcze wtedy jak mówi autor, brać wszystkiego ze złéj strony co się zdarzało w życiu politycznem; bo gdzie wątpliwą była korzyść narodu, lub prawość zamiarów władzców naszych, tam szukano koniecznie powodów do usprawiedliwienia postępku i zawsze złudzeniem rzeczywistość pokrywano. Ludność Ks. Warszawskiego materyalnie niedostatkiem i klęskami dręczona, była moralnie spokojną i pełną ufności.

W takich to rysach skreślił hr. Skarbek pierwsze dwa lata dziejów Ks. Warszawskiego, to jest, do r. 1809.— W dalszym ciągu przeglądu nieomieszkam zdać sprawy z reszty téj uczącéj, i pobudzającéj do myślenia pracy.

LUCYAN SIEMIEŃSKI.

# KONFERENCYE I TRAKTAT

w

# ZÜRICH

Nieraz już w tem piśmie nadarzała się sposobność wzmiankowania, iż niemałą publicystyce oddałby ten przysługę, ktoby zdołał podać prawdziwe znaczenie, jakie dzisiaj mają w polityce najprostsze częstokroć wyrazy, choćby do tego nie definicyi, ale nawet jak najdłuższego używał opisu. Nigdy potrzeba takiego dyplomatycznego słownika nie dawała się czuć bardziéj, nigdy brak takowego nie utrudniał dotkliwiéj przedstawienia każdéj politycznéj czynności, sprawy lub narad, jak w ostatnich latach.

Przeczuwał ową potrzebę jak się zdaje Talleyrand, ów mistrz w tłómaczeniu wyrazów na język, który według niego był dany dla ukrywania myśli, gdy zagadnięty przez jednego ze swych kolegów z powodu zasady nieinterwencyi, odrzekł spokojnie: „Bardzo przepraszam, bo przecież panu tak dobrze jak mnie wiadomo, że w dy-

plomacyi nieinterwencya znaczy właśnie interwencyę... tylko nieustanną.“ Rozpoczął więc dzieło dyplomata francuzki, szkoda że go nie dokończył. Zresztą nie na wiele by się ono dzisiaj przydało. Przybyło wiele rzeczy o których mu się podobno nie śniło.

Nie przewidział on zapewne tego, że Cesarstwo to pokój, że pokój jest to i pokój i wojna, lub też ani pokój ani wojna, jak się podoba. Nie domyślał się nawet tego co każdy z nas widział: wojny lokalizowanéj, — układów o pokój gdzie nie było ani zwycięzców ani zwyciężonych; — traktatu dla wszystkich równie zaszczytnego; — państwa niepodległego wymagającego rękojmi całéj Europy; — unii która nie jest i być nie może połączeniem; — zawieszenia broni które było pokojem i pokoju który był zawieszeniem broni; — annexyi która nie była przyłączeniem; — rejencyi która nie jest rejencyą... Czyż po tym nader niedokładnym spisie politycznych i dyplomatycznych wyrażeń czekających wyjaśnienia, można bez pewnéj obawy postawić sobie pytanie: co były konferencye w Zürich i jakie ich prawdziwe znaczenie i doniosłość?...

Aby jakkolwiek na to odpowiedzieć, wypada sięgnąć do ich źródła, to jest do saméj sprawy włoskiéj. Pod względem swych dyplomatycznych kolei uważana, a pod tym względem przedewszystkiem zajmować musi, skoro idzie o konferencye, ma ona nie jedno ze sprawą wschodnią z r. 1853 podobieństwo.

I tak gdy do sprawy wschodniéj głównym powodem był wpływ zbyt przeważny Rosyi na Turcyę i na Wschód cały, podobnież i w sprawie włoskiéj służył za pozór wpływ Austryi na Półwysep. Nie było zrazu mowy o Turkach, tylko o Rosyi; utrzymywano że niema kwestyi włoskiéj, ale tylko kwestya austryackiego wpływu. Wydobyto traktaty adryanopolski, Unkiar skelessi itd.; traktaty zawarte przez Austryą z państwami włoskiemi

były głównym przedmiotem przedstawień gabinetowych. Wpływ Rosyi zagrażał równowadze europejskiéj; niepokoiła ją przewaga Austryi we Włoszech. Obie te sprawy z téj strony ujęte, były kwestyami europejskiemi. Jako takie prowadzić winny były do kongresu, do konferencyj; pokazało się że prowadziły do wojny. I nie mogło być inaczéj, bo natura rzeczy silniejsza jest od dyplomacyi choćby najbieglejszéj. Żadne mocarstwo nie zrzeknie się wpływu bez wojny.

Nie udały się przeto konferencye wiedeńskie w sprawie wschodniéj, nie zebrał się kongres w sprawie włoskiéj. Po odrzuceniu przez Turcyę *ultimatum* w sprawie chrześcian, Rosya przeszła Prut i zajęła Księstwa; po odrzuceniu ultimatum przez Piemont w sprawie ochotników, Austrya przeszła Tycyn i wkroczyła do Lomelliny. Lecz aby do tego przyjść mogło, trzeba było aby się sprawy zmieniły, aby wyszły nieco ze swéj abstrakcyjnéj europejskiéj sfery, i przybrały wyraźniejszą i dla dział które głos w nich zabierały, przystępniejszą polityczną formę. Wtedy dopiero ujrzano Turków i niepodległość i nietykalność państwa Ottomańskiego; wtedy również ukazały się Włochy i narodowość włoska, jako konfederacya. Tu wszakże zachodzi ważna różnica: tak przeobrażoną sprawę wschodnią uznały wszystkie mocarstwa za kwestyę również europejską; sprawę włoską tak postawioną popierała tylko Francya. Ztąd w sprawie wschodniéj: traktaty między Francyą i Anglią, Francyą, Anglią, Turcyą i Sardynią, między Francyą, Anglią i Austryą, Austryą a Turcyą, Austryą i Prusami, Francyą a Szwecyą; wojna między Turcyą, Anglią, Francyą i Sardynią z jednéj strony, a Rosyą z drugiéj strony, wreszcie konferencye paryzkie złożone z siedmiu mocarstw; — w sprawie włoskiéj Sardynia ma tylko jednego sprzymierzeńca Francyę, a wojna między Sardynią i Francyą z jednéj strony a Austryą z drugiéj, kończy się konferencyami w Zürich. Wiadomo,

w jakiéj formie stanęła sprawa wschodnia przed konferencyami paryzkiemi, w formie kwestyi europejskiéj objętéj w czterech punktach przyjętego przez Rosyę *ultimatum*. W jakiejże formie stanęła sprawa włoska przed konferencyami w Zürich?

Skoro tylko Francya wzięła w rękę sprawę włoską i postawiła ją tak że wojny uniknąć było prawie niepodobna, łatwo było przewidzieć że nie Włochy ale ona będzie jéj reprezentantem, podobnie jak w sprawie wschodniéj, nie Turcya lecz Francya i Anglia reprezentowały przeciwnika Rosyi. O Francyi więc mówić wypada aby dójść rzeczywistego znaczenia konferencyj w Zürich. Zresztą ona jedna postawiła w chwili gdy do wojny przyszło wyraźny programat.

Od samego początku nieprzyjacielskich kroków trzy niebezpieczeństwa zagrażały Cesarzowi Francuzów. Naprzód potęga Austryi; powtóre możebność koalicyi, potrzecie niepewność rewolucyi. Jeden przeciwnik materyalny, dwa moralne; nad wszystkiemi trzema odnieść trzeba było zwycięztwo, a przynajmniéj jak to mówią zażegnać dwa ostatnie aby programat zapowiedziany przeprowadzić do końca. W razie udania się mniejsza już było o to czy Europa uzna lub nie że sprawa włoska jest kwestyą europejską, stawała się ona nią *de facto*, a traktat zawarty na podstawie programatu rozstrzygał sprawę.

Los wojny sprzyjał Cesarzowi Francuzów i pierwsze niebezpieczeństwo niezatrzymywało jego polityki pomimo oporu jakie mu stawiało. Lecz było w naturze rzeczy, że drugie wzrastać musiało w miarę postępującéj wojny. Na nicby się nieprzydało rozbierać czy obawa koalicyi mogła być większa w razie wygranéj lub przegranéj francuzkiéj. Podzielone w téj mierze były i są zapewne zdania. Dosyć na tem że tak jak było, pomimo wszystkich wytężonych środków jakiemi głęboka i zrę-

czna polityka Napoleona III powstrzymywała koalicyę, zbliżała się ona w miarę jak się orły francuzkie posuwały, a gdy stanęły nad Mincio, zdawać się mogło że je już tylko sławny czworobok od nowego przedzielał nieprzyjaciela. Pomimo całéj flegmatyczności wnosić można było że Niemcy już dłużéj czekać nie będą w stanie. Niemcy nie były jeszcze koalicyą, ale mogły być awangardą. Na wszelki przypadek Francya musiała być gotową. Polityka nie dostarczała jéj sprzymierzeńca; utrzymują za pewne że świadczył o tem wysłannik rosyjski do obozu francuzkiego w Valeggio. Sama, cóż mogła przeciw koalicyi postawić, jeżeli nie sprzymierzeńca, którego miała zawsze pod ręką, niebezpiecznego lecz strasznego którego widmo powstrzymywało podobno najsilniéj dotąd koalicyą.

Sprzymierzeńcem tym było właśnie owo trzecie niebezpieczeństwo, to jest rewolucya. Lecz na to aby jéj użyć można, jako sprzymierzeńca, to jest jako siły, a nie jako zasady, trzeba być jéj panem. Inaczéj łamie ona i druzgoce tych którzy jéj użyją. Od razu staje się sama sobie celem, i nikomu nie udało się jeszcze użyć jéj za środek, tylko temu który ją trzymał na wodzy. Narzędziem była ona tylko w ręku swych najsroższych panów. Któż zresztą zna ją lepiéj od Cesarza Francuzów? Zna ją i we Włoszech i we Francyi. Przeniknął ją na wskróś żyjąc w jéj żywiole, poznał jéj siłę przez walkę, zmierzył jéj wartość przez zwycięztwo. Ujął jéj rwiące potoki w koryto, jak sam oświadczył i zapowiedział że niewystąpi z brzegów. Szło o to aby płynęła wytkniętą przez niego drogą.

Nie łudził się ani chwili, że biorąc sprawę włoską pod swoją opiekę, ciągle z rewolucyą będzie miał do czynienia. Przebijało to we wszystkich pismach, przemówieniach poprzedzających wojnę. Były w nich zawsze pewne zastrzeżenia co do celu i środków, były jakby nowo

sypane groble, a przynajmniéj dawniejsze wzmocnione, mające powstrzymać i kierować nawet rozhukane fale rewolucyjne. Taką najstaranniéj i najsilniéj zbudowaną tamą było powt rzone bardzo dobitnie oświadczenie niezłomnego postanowienia względem nietykalności władzy doczesnéj Papieża, niepodległości i neutralności krajów Państwa Kościelnego. Zgoła wszystkie ostrożności z góry były przedsięwzięte aby pozostać panem niebezpiecznego sprzymierzeńca.

Lecz pomimo wszelkich usiłowań, w miarę postępu kroków wojennych, w miarę wzrastającego zwłaszcza niebezpieczeństwa koalicyi, rewolucya nabierała siły przez samo poczucie niepodobieństwa, w jakiem się znajdowała polityka cesarska, aby przeciw niéj stanowczo wystąpić i gwałtownym poskromić czynem. Owe tajemnicze przeznaczenie 5go korpusu, ową misyę księcia Napoleona do Florencyi, która nie była niczem innem jak tylko zręcznie założonym hamulcem rewolucyi szybko posuwającéj się w owych krajach bez rządu, sparaliżowało powstanie w Bononii i w Legacyach. Tam sobie ona założyła główne swe siedlisko, a książę Napoleon przeszkodzić nie mógł złemu, właśnie z powodu oświadczenia, że Francya szanować będzie neutralność Państwa Kościelnego. Najsilniejszą broń polityki cesarskiéj obróciła rewolucya na swą korzyść. Nadto jeszcze przyszła jéj w pomoc cała biegłość i zręczność tradycyjnéj polityki włoskiéj. Cesarz Francuzów miał do walczenia nietylko z żywiołem którego znał dobrze ruchliwość i niesforność, ale jeszcze z ministrem rządu, którego wojska były razem z nim na polu bitwy, lecz którego widoki były różne. Hr. Cavour używał także rewołucyi ale na wewnątrz nie na zewnątrz; nie trzymał jéj w odwodzie jako pogróżkę, ale wysyłał komisarzy aby nią kierować lecz także aby ją wzmacniać i rozszerzać. Przyszła nareszcie chwila, i to właśnie po bitwie pod Solfe-

rino, gdzie Cesarz Napoleon znajdował się w obec wszystkich trzech wyżéj wypowiedzianych niebezpieczeństw w kulminacyjnym ich punkcie. Z przejściem przez Mincio, znajdował potęgę Austryi w najsilniejszéj pozycyi wojskowéj, sprowadzał uzbrojone Niemcy nad Ren, jak to sam powiedział, a co gorsza, dodać można, że rewolucya wysuwała mu się z pod ręki i przestawał być jéj panem. Takie było położenie i żadne zwycięztwo zmienić już następstw nie mogło.

W szybkości i całości postanowienia jakie kto weźmie w tak stanowczéj chwili, maluje się najlepiéj wielkość człowieka. Takiem postanowieniem był pokój w Villafranca.

Wszystko było półśrodkiem, wyjąwszy zawarcie pokoju. Pokój jedynie usuwał niebezpieczeństwo koalicyi skoro ta istotnie była w dalszéj wojnie niezawodną, a Francya się na nią narażać nie chciała. Pokój jedynie oddawał rewolucyę w ową żelazną dłoń która sama jedna utrzymać ją w karbach dotąd potrafiła. Pokój jedynie lubo niedopełniał zapowiedzianego programatu, zapisywał jako fakt, to co już dokonanem było, i jeżeli nie rozstrzygał sprawy włoskiéj stawiał ją tak jak ją postawiła była Francya, to jest jako sprawę narodowości włoskiéj, i zmuszał niejako Europę do uznania jéj jako taką.

Że pokój w Villafranca odpowiedział zupełnie wymagalnościom chwili, przekonać się łatwo z konwencyi. Utrzymała się w niéj część dokonana programatu, narodowość włoska uznana w konfederacyi, a sprawa włoska nałożona Europie jako jéj własna, jako europejska przez zasadę nieinterwencyi i zastrzeżenia praw książąt włoskich. Wszystko to leżało w zawarciu pokoju.

Wszakże konwencya była tylko układem preliminarnym, jakkolwiek stanowczym, bo go podpisali dwaj monarchowie, z których jeden był reprezentantem sprawy

włoskiéj drugi jéj przeciwnikiem. Wojna musiała się więc skończyć, lecz pokoju jeszcze nie było, bo między walczącemi stronami zaszło tylko zawieszenie broni. Do spisania traktatu pokoju zebrały się konferencye w Zürich. Ztąd więc i cel i doniosłość i cecha owych konferencyj. Prace ich rozbierać szczegółowo, byłoby zbytecznem, ogólne rysy wystarczą.

Celem konferencyj było widocznie ułożyć *status quo* jaki był w chwili przerwania wojny, w ten sposób, aby pokój zawarty między Francyą i Austryą, mógł być zarazem zawarty między Austryą i Sardynią. Świadczą o tem same traktaty, obejmujące trzy dokumenty. W pierwszym spisanym między Francyą i Austryą, ta ostatnia ustępuje praw do Lombardyi, które znów Francya oświadcza przelać na Sardynią. W drugim traktacie między Francyą a Sardynią, na mocy poprzedniego traktatu i w nim uczynionego przez Austryą ustąpienia, Francya oddaje Lombardyą Sardynii, która ją przyjmuje w warunkach ułożonych poprzednio między Francyą i Austryą, z dodaniem nowych, od Francyi tylko i Sardynii zależących, a w tym drugim traktacie objętych. Nareszcie w trzecim traktacie między Francyą Austryą i Sardynią, staje pokój między temi dwoma ostatniemi państwami, i opisane szczegółowo warunki nowego *status quo* podwójną cesyą Lombardyi sprowadzonego. Owóż co trzeba było, aby pokój mógł być zawartym, bo dotąd istniało tylko zawieszenie broni.

Była to dopiero pierwsza część zadania konferencyj w Zürich. Ustąpienie i przekazanie Lombardyi i stąd wynikłe *status quo*, było tylko dotrzymaniem warunków jednéj części programatu, którego lubo Cesarz Francuzów orężem wykonać wzbraniał się, nie zrzekał się jednak bynajmniéj wykonać go na innéj drodze, to jest na drodze dyplomatycznéj. Konferencye tak ograniczone, stałyby się tylko prostemi układami o pokój po wojnie;

Europa niemiała przyczyny wdawania się do nich a raczéj do ich wypadku. Doniosłość pokoju zapadłego w Villafranca nierównie była większą w myśli Napoleona III, a zatem i doniosłość konferencyj musiała być dalszą.

Drugą częścią zadania konferencyj było postawienie sprawy włoskiéj na tym gruncie na jakim ją postawiła Francya występując w jéj obronie, to jest na polu narodowości włoskiéj. Wywiązały się z téj części swego zadania w traktacie między Francyą i Austryą, gdzie w §. 18 obaj monarchowie zobowiązują się sprzyjać wszelkiemi siłami utworzeniu konfederacyi włoskiéj pod prezydencyą honorową papieża; do któréj to konfederacyi, należeć będzie Wenecya, jako jedno z państw ją składających, i weźmie udział w obowiązkach i prawach jakie ze statutu związkowego wynikną, którego warunki oznaczy zgromadzenie złożone z reprezentantów wszystkich krajów włoskich.

Nakoniec trzecią i ostatnią częścią zadania konferencyj było zmusić niejako Europę do uznania sprawy włoskiéj za europejską. Wiązała się ona z drugą częścią, i to tak ściśle, że była prawie jéj koniecznem następstwem. Jakoż konfederacya włoska gdyby do skutku przyszła, byłaby zbyt wielkim w równowadze europejskiéj żywiołem, aby ogólną jéj politykę i cały system żywo obchodzić nie miała. Lecz konfederacya mogła być uważaną za projekt i jako taki, a nawet przez niektóre państwa osądzony za niewykonalny, mógł niebyć dostatecznym przymusem do zwołania obrad Europy. Trzeba mu było więc nadać pewną rzeczywistości cechę, pewny nacisk, który się nazywa koniecznością. Owóż ten nacisk jest w §. 19 traktatu, gdzie znajduje się zastrzeżenie na korzyść książąt włoskich, oparte na tem, iż terytorya państw niepodległych włoskich które nie miały udziału w ostatniéj wojnie, nie mogą być inaczéj

zmienione jak tylko za zgodą wszystkich mocarstw które je utworzyły i uznały ich istnienie. Jest w tem wyraźne zrzeczenie się wszelkiéj interwencyi na rzecz trybunału europejskiego, ale oraz nałożona niejako Europie konieczność wydania wyroku.

Z tego co się powiedziało, wypada oczywiście, że konferencye w Zürich które się na d. 10. b. m. skończyły, nie były konferencyami w znaczeniu konferencyj paryzkich. Były to układy o pokój, ale z europejskiem znaczeniem. Nie zasiadali na nich reprezentanci wszystkich mocarstw mających prawo rozstrzygania o kwestyach europejskich. Nienaradzali się na podstawie systematu przyjętego w r. 1856. Ale konferencye w Zürich oprócz układania pokoju, przygotowywały kwestyę europejską. Był to trybunał wyjątkowy, rozsądzający bez odwołania pewną część spraw, a odsyłający drugą ich część do najwyższego Sądu. Postanowienia konferencyj w Zürich nie wiązały Europy, ale sprowadzały konieczność zebrania się kongresu. W całem tem dziele począwszy od spotkania w Villafranca aż do podpisania traktatów w d. 10. b. m. taka panuje nieugięta loiczność, iż zdawaćby się mogło, że wszystko naprzód przewidzianem i obrachowanem było w chwili, gdy jenerał Fleury z listem Cesarza Francuzów opuszczał główną kwaterę w Valeggio aby się udać do Werony.

Maurycy Mann.

# KRONIKA.

---

**Kraków** w listopadzie.

Wielkie kwestye wewnętrzne, krajowe, przeciągały w tym miesiącu ponad miastem naszem: Sprawa języka w szkole i urzędzie, sprawa żydowska i sprawa gminna. Od rozstrzygnięcia tych trzech wielkich pytań zależy może najbliższy stan kraju w przyszłości; w każdem zaś z nich leży spowitych mnóstwo kwestyj w zakresie moralnym i materyalnym, odnoszących się do prawa publicznego i prywatnego, kwestyj związanych z religią, narodowością, kwestyj społecznych, ekonomicznych, politycznych wreszcie, z których jedne doraźnie się nasuwały, inne dawały się przewidywać w blizkich lub dalszych następstwach, w bezpośrednich i pośrednich wynikłościach. A cóż tu dopiero mówić o owych nieznanych, nieobliczonych z góry, nieujętych w dotykalne formy zastósowania, a jednak przeczuwanych? Kwestye te niby na ostatnim planie, w mgle perspektywy majaczące, zwykly wtedy dopiero występować widocznie w całéj swéj przemożnéj i bezwzględnéj natarczywości, kiedy już nieczas myśleć o ich zażegnaniu. Są to jak owe białe odległe

mgliste obłoczki, na które niedoświadczony żeglarz niezwraca nawet uwagi, a przecież leży w nich grom ukryty; w miarę zbliżania się swego pęcznieją w chmurę niosącą burze. Z takich jednak drobnych, na pozór nic nieznaczących kwestyek, powstają wielkie pytania, które potem przyjdzie rozdziergać a najczęściéj rozcinać; rozciąwszy zaś je zostanie się zawsze dość węzełków drobnych, tamujących swobodę ruchu.

Sprawa językowa, sprawa żydowska i sprawa gminna nie od razu wzrosły do potęgi dzisiejszych rozmiarów. Każda z nich pojawiała się wielokrotnie w drobiazgowych zajściach, wątpliwościach, przyczepiona jak zaród polipowy do chwilowych i okolicznościowych przypadków, do podrzędnych zdarzeń, aż nieznacznie rozrastając się doszła do zagarnięcia całego żywota kraju, że wychodzi wszystkiemi porami jego i czyni od siebie zawisłemi jego oddech, jego ruchy, jego przyszły los nawet.

W tym stanie rzeczy zdawałoby się, że każda z wymienionych powyżéj trzech wielkich kwestyj powinnaby absorbować w siebie całe zajęcie nietylko wszystkich ludzi myślących, ale nawet wszystkich interesowanych, a przeto wszystkich bez wyjątku mieszkańców, bo każda z nich dotyka bezpośrednio w najrozliczniejszych manifestacyach swoich wszystkich stron życia tak publicznego jak domowego, tak moralnego jak materyalnego.

Tymczasem jeżeli co do pierwszéj z trzech pomienionych spraw, ogół mieszkańców gorącą sympatyą wtóruje każdemu by najdrobniejszemu drgnięciu w sferze polityki wewnętrznéj, o ile takowa do pomienionego przedmiotu się odnosi; co do dwóch innych zachowuje się dotąd biernie, a zwłaszcza ustawa gminna wydaje się mu być niedościgłą zagadką socyalną, a to wszystko co o tem piszą lub rozprawiają, jest mu niedostępnem a przynajmniéj nader obojętnem. Obojętność ta ma zaprawdę coś tak w sobie przerażającego, jak przerażającym jest widok dotkniętego paraliżem, który lubo zachował świadomość tego co się dokoła niego dzieje, wszelako skołczały język skazuje go na milczenie, a zdrętwiałe członki trzymają go w stanie bezwładności. Niemoc ta tem atoli różni się od porażenia, że jéj niesprowadziła żadna nagła katastrofa; bo przystępowała ona powoli, denerwując przez

liczne rozczarowania i zawody. Zmartwiałych członków nieorzeźwi wychuchiwaniem ciepłych słówek — komitety i komisye obradujące, wyruzomowane artykuły dziennikarskie z całą terminologią odcieni pojęć przesuwają się im przez usta a uchem wychodzą, niesprawiając innego wpływu nad wrażenie głuchego dźwięku.

Jest także w mieszkańcach tutejszych pewna skłonność do wiary w fatalizm. Myślą oni sobie: to co się ma stać, stanie się, czy będziem chcieli czy nie, czy będziem się starać czy też pozostawimy rzeczy przeznaczonemu z góry biegowi. Jak turek z założonemi nogami, tak oni z założonemi rękami czekają obojętnie, co im dzień jutrzejszy przyniesie, niewierząc bynajmniéj, aby mądrość i przezorność były w stanie skierować rzeczy w inną stronę, aby usilność i wytrwałość mogły jak woda ciągłem a nieustannem zmywaniem chropowatości wygładzić kamień co leży na drodze.

Kwestya żydowska objawia im się tylko jako Kazimierz, a kwestya gminna jako podatek. Jednéj i drugiéj inaczéj nie pojmują. Wpuścić żydów kazimierskich do miasta, a przyjęciem obowiązków i ciężarów gminnych zwiększyć koszta administracyi miejskiéj, to są jedyne punkta zapatrywania się na obie te sprawy. Jest to wprawdzie chwilowy i utylitarny tylko pogląd, nie dotykający w niczem strony zasad, lecz zasady są dla mędrców, a dla ogółu jest pożytek lub szkoda. Zresztą kto śmié twierdzić, że wypadki idą w dziejach świata koleją wskazaną im przez dogmatyków zasady? Czy raczéj chwilowy i okolicznościowy wpływ, namiętność lub dziwactwo losu niezależne od rachub, nie były częstokroć pobudką tego co się stało, a historycy podciągnęli następnie pod system to, co w czasach swego żywotnego istnienia, bezmyślnie i przypadkowo zdziałanem było, albo tylko co najwięcéj ze względu na najbliższe przyczyny i skutki?

Gdyby z kwestyi żydowskiéj można usunąć na bok kwestyę narodową, a z gminnéj kwestyę włościańską, wtedyby można obie postawić na właściwych jéj stanowiskach: pierwszą na religijnem, drugą na socyalnem, to jest na tych, na jakichby jedynie traktować je należało, skoroby je wypadało sprowadzić do zasadniczych punktów. Jak stopniowe uwłaszczanie włościan, tak sto-

pniowe uobywatelanie żydów byłyby wygładziły wiele trudności; jednorazowe nadanie własności pierwszym wstrząsło całym układem społecznym, a nie inaczejby się stało, gdyby naraz zrównoważono żydów z chrześcijanami, i to w wyższym może jeszcze stopniu, albowiem najgłębsze różnice religijne i obyczajowe otarłyby się o siebie bezpośrednio i stanęłyby z sobą do walki.

Po za obrębem trzech powyżéj wymienionych spraw: językowéj, żydowskiéj i gminnéj, reszta wszystko fraszki, nie warte wspomnienia: są to drobne krzaczki, które w jałowéj pustyni mogą służyć za punkt oryentowania się, lecz pośród bujnych rozłożystych drzew, przechodzień nawet ich nie dojrzy, chyba gdy o nie przypadkowo nogą potrąci.

Nie do Kroniki wszakże traktować wielkie kwestye, wpływ ich tylko na umysły mieszkańców tutejszego miasta godzien jest zastanowienia; cóż gdy pomiędzy słowem a pismem taki jeszcze panuje u nas przedział, jak między tajną wiernych kochanków rozmową a oficyalnem ich widzeniem się w salonie, w obecności argusowéj mamy, któréj oka żaden giest, a ucha żaden szept nie ujdzie. Trudno zresztą ządać od kronikarza, aby jak lesażowy djabeł zdejmował dachy z domów, by zaglądać co się dzieje w ich głębi; to tylko wolno mu zatem mówić, o czem wszyscy gadają głośno; rzecz to zaś wcale nie zabawna powtarzać co bez niego powszechnie jest wiadomem...

---

**Berlin** w listopadzie.

Z góry podobno zgadniesz tą razą, szanowny Redaktorze, co ci do kroniki twéj na miesiąc bieżący pisać będą wszyscy korespondenci zagraniczni, nietylko wiedeński i berliński, ale zapewne paryzki i londyński, a być może, że i rzymski, a kto wie, czy nie i krajowi poznański, warszawski i lwowski, a nawet w końcu i sam miejscowy krakowski. Z góry zgadniesz, że pisać będą o obchodzie stuletniéj rocznicy urodzin Fryderyka

Schillera, który się odbywał d. 10go b. m. i następnych wszędzie „gdzie brzmi język niemiecki i Bogu w niebiesiech pieśni śpiewa“, to jest, we wszystkich pięciu częściach świata.

Nie wiem co zrobisz z temi opisami. Czy je potniesz na schillerowskie fidibusy do zapalania schillerowskich cygar, które sobie, znękany dziennikarską reklamą, sprowadzić kazałeś z Wrocławia lub Berlina, po 10 talarów 1000, aby kadzidłem ich tem godniéj uczcić pamięć wielkiego wieszcza, który jak z żywotów jego wiadomo, knaster tylko palił? Czy uniesiony gorliwością *Kreuzzeitung* lub *Universa*, wskażesz nadesłane ci opisy na wielkie „*auto-da-fé*“, aby wynagrodzić niém „*postnumerando*“ illuminacyą, która tak skąpo wypadła w Berlinie, i procesyą z pochodniami, któréj wcale nie było? Czy przestrzeżony dowcipną uwagą korespondenta poznańskiego do *Czasu*: „że nowe niemieckie Zgromadzenie w kościele ś. Pawła w Frankfurcie mogłoby kiedyś opierać na tym obchodzie schillerowskim roszczenia swoje“, wrzucisz bez skrupułu nadeszłe opisy w piec, aby w „Kronice“ krakowskiéj nie zachował się nawet cień świadectwa, że uroczystość schillerowska była i na polskiéj ziemi obchodzona?

Nie wiém co zrobisz; ale ja mimo to o obchodzie piszę. Piszę dlatego, że uważam obchód ten za najważniejszy wypadek, który nietylko w bieżącym miesiącu i roku, ale w całym ciągu ostatnich lat dziesięciu zdarzył się w Niemczech. Piszę dlatego, że mam go za jeden z najważniejszych aktów, którym naród niemiecki okazał, że sam siebie szanować umié. Piszę wreszcie dlatego, że przemilczenie go przez polskiego pisarza, pochodzące bądź z charakteru uroczystości, bądź z celów do niéj przyczepianych, bądź z innych zewnętrznych i czasowych przyczyn i pobudek, uważałbym za niegodną obojętność w obec wpływu wielkiego wieszcza niemieckiego, jeżeli nie na cały naród polski, to na bardzo liczne indywidua, dźwigające i popierające mową i pismem jego duchowe ukształcenie.

Nie lękaj się jednak, szanowny Redaktorze, że ci opisywać będę szczegółowo cały przebieg uroczystości berlińskiéj, z dodatkiem może jeszcze szczegółów uroczystości po prowincyach pruskich i w reszcie Niemiec ob-

chodzonych. Zachowaj Boże! Wiész, że ja cię nigdy zbytecznie tego rodzaju opisami nie zajmuję, bo sądząc po sobie, zdaje mi się, że to nudna dla nieobecnych lektura. Wszakże ma ona swych lubowników i lubowniczki, którzy i opisem strojów balowych nie gardzą. Mógłbym się więc uciec pod ich skrzydła. Ale miarkując z usposobienia twego, że smakowi temu, w chwili, gdzie tyle ważnych spraw stoi na porządku dziennym, nie masz ochoty schlebiać, stosuję się do twych chęci, i nie opisuję obchodu, do czegoby wreszcie i miejsca przybrakło, lecz ograniczam się do skreślenia kilku ogólnych nad nim uwag.

Nazwałem obchód schillerowski najważniejszym kilku lat ostatnich w publicznem życiu narodu niemieckiego wypadkiem. Sama powszechność jego, wybiegająca daleko po za granice właściwéj ojczyzny, nadaje mu tę ważność. Bo jest to zjawisko uderzające, aby jedno całe plemię, liczebnie tak ogromne, religią, ukształceniem, obyczajem a poczęści i mową różne, nietylko to które w wielkich masach w pierwotnéj ojczyźnie swojéj udzielnie choć pod różnemi rządami żyje, ale i to które w większych i mniejszych odłamach na całéj kuli ziemskiéj wśród obcych ludności osiadłe, i od obcych rządów zawisłe trwale lub przechodnio przemieszkuje, aby mówię, całe to plemię, wiecznie rozdwojone i rozprzęgłe, poczuło i uznało się na raz jeden w swem odrębnem narodowem jestestwie, objawionem w uczczeniu pamięci jednego z wielkich ludzi swoich, objawionem w sposobie nieznanym podobno dotąd w dziejach świata.

Żadna zmowa, żadna sztuczna agitacya, żadne usiłowania dziennikarskie, żadne zabiegi rządów i stronnictw, żadne środki moralne i materyalne, nie były w stanie wywołać, przygotować i uskutecznić tak jednomyślnego i powszechnego obchodu, jakim był odbyty na cześć Schillera. Jedno z dwóch: albo człowiek ten stoi tak wysoko w rozwoju ducha niemieckiego, że naród cały widzi w nim rzeczywiście najwierniejszego i najwznioślejszego wyobraziciela i tłumacza całego swego jestestwa, i uważa go niejako za myt, za symbol, za wyrocznię swego przeszłego i obecnego i przyszłego żywota; albo naród niemiecki znajduje się obecnie w takiém umysłowem natężeniu i parciu w stronę plemiennéj i spółe-

czeńskiéj swojéj jedności, że, aby mieć uosobienie, aby mieć sztandar życzeń i dążeń swoich, nadaje wieszczowi swemu więcéj proroczego namaszczenia i historyczego posłannictwa, aniżeli on go miał i ma istotnie.

Czy przypuścimy jedno lub drugie, czy przypuścimy i jedno i drugie, czy sprowadzimy obie pobudki do miary rzeczywistego znaczenia i działającéj siły; fakt jest faktem, ważność schillerowskiego obchodu przez to się nie zmniejszy, ani wpływ jego wywarty na miliony duchów, spełznąć może na niczém.

Zapewne że w obchodzie tym było wiele idealności, w uczuciach i myślach, w życzeniach i dążnościach, idealności niemieckiemu duchowi tak właściwéj a niedającéj się może nigdy wcielić w widome i dotykalne postacie rzeczywistego świata. Ale właśnie ta idealna strona obchodu jest najpiękniejszą jego cechą, i ona też, więcéj niż wszystkie inne, przynosi chluby i zaszczytu narodowi niemieckiemu. Przez nią obchód stał się przystępnym i dla innych narodowości. Obok charakteru narodowego miał zarazem i charakter ogólnie ludzki. Był godnym utworów sztuki nieśmiertelnego wieszcza, napiętnowanych potrójną cechą: indywidualnego geniuszu, szczególnego narodowego charakteru i ogólnéj natury człowieczeństwa. Takie piętno nosić powinny wszystkie prawie arcydzieła sztuki; takie nosić powinny czyny prawdziwego dziejowego rozwoju, mające być zapisane w księdze nieśmiertelności.

Pośród powszechnéj czci, oddawanéj dziś bałwanowi materyalizmu, dziwićby się nawet można, że taka idealna uroczystość mogła być przedsięwziętą, i z tak nadzwyczajnym zapałem i uniesieniem, z tak poważnym i uroczystym ładem dokonaną. Jest to wymowna protestacya i reakcya ducha przeciwko rozpościerającemu się coraz zuchwaléj panowaniu materyi. Badania na polu nauk przyrodzonych, szkoły realne i rękodzielne, fabryki machin, narzędzi i wszelkich innych wyrobów, wynalazki, mechanizm, przemysł, handel, wszystko to ma równe uprawnienie w dziejach kultury ludzkiéj, jak każda inna praca materyalna lub duchowa. Nikomu też nie przyjdzie na myśl zaprzeczać ogromnego postępu, który ta materyalna kultura w naszych właśnie czasach zrobiła, ani nie podziwiać cudów wynalazków, lub nie uznawać

dobrodziejstw oddanych przez nie ludzkości. Ale wynosić tę materyalną stronę cywilizacyi nad jéj stronę duchową, narzucać ją współczesnym pokoleniom, z powodu przynoszonego przez nią widomego pożytku i zysku, na miejsce ich religijnego, politycznego, umysłowego, sercowego, artystycznego, jednem słowem, moralnego wykształcenia, lekceważyć wykształcenie to i patrzeć na prace i owoce jego z obojętnością, że nie powiem z politowaniem i z szyderstwem, zamieniać, jak się jeden z wieszczów naszych wyraził, „narody na kramy"; to to jest, co tę materyalną kulturę ochydną czyni, co przeciwko niéj ducha oburza i wywołuje jego oddziaływanie.

Z tego stanowiska uważany obchód schillerowski, nie protestacyą tylko ducha przeciwko bałwochwalstwu materyi, lecz był jego nad niém tryumfem. Dowiódł on, że ludzkość jeszcze tak daleko nie upadła, aby jéj rozpaczać należało o swe duchowe i moralne dobro, o swe królestwo Boże na ziemi. Świadczą o tem miliony ludzi nietylko niemieckiéj ale i innych narodowości, które w obchodzie tym, czcząc przezeń same siebie, wzięły udział, w obchodzie ku pamięci wieszcza, o którym przyjaciel jego, wieszcz podobnego namaszczenia, po śmierci jego powiedział:

*„Indessen schritt sein Geist gewaltig fort*
*In' s Ewige des Wahren, Guten, Schoenen,*
*Und hinter ihm, im wesenlosen Scheine*
*Lag, was uns Alle baendigt, das Gemeine."*

„Niechaj pokusi się Anglia, pisze Nefftzer, redaktor francuzkiéj *Presse*, niechaj się pokusi o obchodzenie pamięci Watta, jak Niemcy obchodziły pamięć Schillera; przekona się, czy mimo powszechnego panowania i nieocenionych usług pary, uroczystość taka w Anglii podobny wybuch ludowego entuzyazmu i zagranicą podobny powszechny współudział wywoła. Narody mają dobry instynkt, i chociaż życie powszednie wskazuje niekiedy przeciwne pozory, przenoszą one zwykle to co piękne nad to co pożyteczne i ducha nad materyą".

Zostawiam chętnie każdemu z rodaków wolność zdania o właściwości lub niewłaściwości schillerowskiego

obchodu na ziemi polskiéj. Ale takąż wolność biorę i dla siebie. Wyznaję tedy otwarcie, że byłbym się wstydził w duszy, gdyby naród, który ma „Odę do młodości“, nie był miał udziału w tym obchodzie. Nie uzasadniam bliżéj mego widzenia rzeczy. Wypadłoby mi powtórzyć odezwę Eleonory Ziemięckiéj umieszczoną w *Gazecie codziennéj* i przemowę Ignacego Kraszewskiego powiedzianą przy uroczystości warszawskiéj, które obiedwie przeszły i do dzienników niemieckich. Nadmienię tylko, że po przeczytaniu ich, jedna z literackich znakomitości berlińskich, odezwała się w licznem towarzystwie: „Jakżeż podobna, aby naród, wydający z łona swego tak myślących i piszących autorów i autorki, mógł się czuć szczęśliwym w stosunkach w których żyje!“

Lecz chociaż wyłączymy z obchodu schillerowskiego wszystko to co nosiło na sobie cechę idealną i humanitarną, nie będzie dla myślącego bez zajęcia i to, co oznaczone było piętnem szczególnéj niemieckiéj narodowości. Były i tutaj idealne sceny i ustępy, mowy i poezye, oznaki i obrazy, które w wielkim stały i stoją przedziale od realnych stosunków życia powszedniego. Ale byłby to naród godny politowania, któryby ducha i serca swego nie karmił i nie poił podobnemi ideałami. Dopóki się ich naród nie wyrzecze, dopóki nie straci nadziei w ich urzeczywistnienie, dopóty żyje, i żyjąc ma przyszłość przed sobą.

Jednym z takich ideałów jest zlanie się plemion niemieckich w jedno polityczne ciało. Obchód schillerowski pochwycony i odbyty z taką jednomyślnością i zapałem, nie jest jeszcze, jak tu wielu sądzi, wystarczającym dowodem, że cały naród niemiecki gotowym i dojrzałym jest do zlania się już w téj chwili w pożądaną jedność polityczną. Okazało się to w r. 1848, okazało się i w bieżącym. Wszakże dążność ta nie jest już dziś czczą marą, nie jest ideałem bez krwi i ciała. Stała się ona już żywą wiarą, która ma swych gorących wyznawców, i nie zabraknie jéj zapewne, gdy tego będzie potrzeba, i męczenników. Któż śmiałby brać za złe narodowi niemieckiemu, że do jedności téj dąży? Dążność podobna objawia się w wszystkich innych rozerwanych narodowościach. Wywołał ją duch czasu, sprzyjają jéj

stosunki polityczne dzisiejszéj Europy. Stuletnia rocznica urodzin Schillera przypadła jak w samą porę, aby dążności téj nadać tem większego uroku i siły. Ale nawzajem i obchód rocznicy téj, mimo całéj idealnéj wielkości narodowego wieszcza, nie byłby takim jakim był, gdyby go owa dążność polityczna nie była podniecała. Czyni wielu z przyczyny téj obchodowi schillerowskiemu zarzut, że miał charakter demonstracyjny. Nic on jednak zdaniem mojem, które już na innem miejscu objawiłem, nie traci na tem, że był demonstracyą. Każda wielka narodowa uroczystość ma charakter demonstracyjny, nie ten, to ów. Różnica leży w charakterze osoby lub wypadku, które dają powód do uroczystości. Bez myśli, bez celu naród cały obchodu powszechnego nie przedsiębierze. Dla czczéj jakiéjś mary, dla ideału bez krwi i duszy, nikomu się nie powiedzie obudzić powszechnego zapału. Narody dzisiejsze nie znają platonicznéj miłości i nie stawiają ołtarzy i świątyń dla nieznanego bóstwa.

Jest to także jednostronnym sądem, mniéj wysoko cenić akt całego narodu, dlatego że w nim więcéj niż jedna spowitych jest równocześnie myśli. Właśnie dla tego, że więcéj niż jedna jest w nim myśli, że więcéj niż jedna w nim równocześnie pomieścić się może, akt takowy jest wielki. Że w obchodzie rocznicy urodzin Schillera mógł stanąć w myśli nietylko wieszcz sam, ale i naród cały, ale ludzkość cała; że odbić się mogła w nim nietylko przeszłość, ale i teraźniejszość, ale i przyszłość; że w nim przyjść mogła do uznania nietylko artystyczna, ale i etyczna, ale i polityczna strona utworow wieszcza; że wreszcie obchód ten był zdolny zbliżyć do siebie najróżnorodniejsze żywioły umysłowe ludzi, plemion i narodów, aby uszanować to co „prawdziwém, dobrém, pięknėm“ jest i zawsze być powinno w człowieczeństwie; to jest, co stanowi tak wysoką moralną wartość jego, i co go czyni zarazem chlubą żyjącego dziś pokolenia. Oby dla narodów, które uroczystość tę obchodziły, i dla ludzkości, która ją tak czystemi życzeniami powitała, błogie z niéj wyrosły i dojrzały owoce!

---

### **Paryż** w listopadzie.

Jednem z wystających zdarzeń na płaszczyznie życia Paryża oczekującego w cichości ważnych wypadków politycznych, jest jubileusz Szyllera, który zamieszkali tu Niemcy obchodzili wspaniale. W sam dzień setnéj rocznicy urodzin, 10go listopada, było muzykalno poetyczne zebranie w cyrku Cesarzowéj, a nazajutrz śniadanie w sali Barthélemy. Bilety na te bankiety sprzedawano po 10, 6 i 5 franków, we wszystkich niemieckich księgarniach.

Odezwy *Komitetu Szyllerowskiéj biesiady* złożonego z Niemców, były tak wymownie i gorąco redagowane, że Francuzi na podobne uroczystości obojętni, dali się wciągnąć, i przyszli uczcić niemieckiego wieszcza, tłumniéj może niż z własnego popędu uczynili w setną rocznicę urodzin Corneilla lub Moliera.

Uroczystość w rodzaju téj jaką Niemcy wyprawili na cześć Szyllera, jest niemożebna we Francyi. Francuzki naród praktyczny *par excellance*, a w sprawach publicznych zawsze na swój rząd się oglądający — na rząd także składa obowiązek czczenia swych myślicieli. Jeżeli poeta albo uczony dostanie krzyż legii honorowéj, ziomkowie uważają, iż mu się już nic za życia nienależy — a jeżeli jeszcze po śmierci państwo wyznaczy jego wdowie jakie 1500 franków pensyi, naród mniema, że się już z wszelkich długów wdzięczności względem pisarza uiścił.

Jest faktem, że Francuz tak gorący dla ludzi czynu co chwałę narodową podnieśli wysoko, o mężów którzy nie na polu bitwy ale na polu myśli walczyli, co się okryli nie przelotnym blaskiem orężnych łupów, ale wiecznie trwałą aureolą zdobyczy ducha, dba bardzo mało. Jeżeli mu kto powie: to wielki człowiek! zaraz spyta: — Wielki? a co zrobił? gdzie się wsławił? gdzie zwyciężył? w jakiéj był bitwie?

— W żadnéj. Ale napisał genialne dzieło.

— A więc to poeta — nie wielki człowiek — odpowie bez namysłu, i darmo by go przekonywać, przy swojem zdaniu pozostanie.

Naród francuzki dwom tylko pisarzom przyznał nazwę wielkich ludzi: Wolterowi i Russowi, bo ich uważa za ojców swego najpotężniejszego czynu — wielkiéj rewolucyi. Michelet w katechizmie którym „Historyę Rewolucyi“ zakończył, potwierdza tę wiarę narodową. Reasumując na ostatniéj karcie dzieła wszystkie wypowiedziane w ciągu fakta, tak żeby ta essencya ogromnéj pracy jego, w najmniejszéj głowie pomieścić się mogła, historyk kładzie zapytania i odpowiedzi w ten sposób:

„Pytanie: Kto zrobił rewolucyę?
„Odpowiedź: Wolter i Russo.
„Pytanie: Kto ją zgubił?
„Odpowiedź: Królowa.“ i t. d.

Przodownicy wielkiéj rewolucyi, owe tytany, którym się zdawało że w swéj potężnéj piersi mają archimedesowy punkt oparcia i naród pod niebo dźwigną potęgą swéj woli — znali tę smutną dla dzieł ducha obojętność narodu, i nad téj wady wykorzenieniem pracowali. — W *Dzienniku Rozpraw i Dekretów* z 1792, znajduje się nader ciekawe sprawozdanie z posiedzenia Zgromadzenia Prawodawczego, dotyczące téj kwestyi. Józef Chénier najprzód zwraca uwagę na brak współczucia rodaków dla swych pisarzy, a następnie wykłada Zgromadzeniu prawa, jakie mają do narodowéj wdzięczności cudzoziemcy, których światłe pisma przygotowały panowanie wolności.

Po nim, w tymże przedmiocie zabrał głos wymowny Vergniaud, i temi słowy poparł zdanie Cheniéra: . . . „Pomiędzy petycyami podanemi przez obywateli Paryża, żadna na większą uwagę Zgromadzenia nie zasługuje. Z mnogich praw jakieście uchwalili, żadne nie wsławi tak waszéj pamięci, jak to które wam dzisiaj proponują. Dając obywatelstwo francuzkie wszystkim wielkim myślicielom kuli ziemskiéj, którzy przez swe zasady ogłosili niepisane prawa narodów, nietylko wywiązujecie się z długu, ale podnosicie sprawę wyżéj. Oświadczając, że obrońcy wolności zrodzeni we wszystkich częściach świata, są waszymi braćmi — przyśpieszacie szczęśliwą chwilę powszechnéj swobody — bo skoro wolni podają ręce wzdychającym do wolności bliźnim, two-

rzy się łańcuch, którego potężne ogniwa muszą skruszyć przemoc, jak dyamentowe obręcze starą urnę glinianą“ . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Żałuję iż niemogę powtórzyć tu całéj téj wspaniałéj mowy przypominającéj „Odę do młodości“ — należy ona do najpiękniejszych improwizacyj ówczesnych, z których każda przemawia jak grzmot potężny z oświeconego błyskawicami nieba i wstrząsa duszą, jak grom ziemią, nadając jéj też samą moc najwyższą — moc tworzenia.

. . „Panowie, rzekł w końcu Vergniaud, domagam się, żebyście uchwalili nasz wniosek i poruczyli komisyi sporządzenie listy sławnych cudzoziemców, którym tytuł obywateli francuzkich ma być przyznany.“

We dwa dni potem ogłoszono następujące prawo:

„Zgromadzenie narodowe zważywszy, że ludzie którzy przez swe pisma i odwagę służyli sprawie wolności i przygotowali wyswobodzenie ludów, nie mogą być uważani za cudzoziemców przez naród wyswobodzony swem światłem i odwagą;

„Zważywszy, że pięć lat mieszkania we Francyi wystarcza cudzoziemcowi do otrzymania obywatelstwa francuzkiego, a ten tytuł słuszniéj przynależy tym, którzy gdziekolwiek zamieszkując, poświęcili ręce i noce swoje sprawie obrony ludów, wykorzenianiu przesądów i rozszerzaniu granic wiedzy ludzkiéj;

„Zważywszy, że chociaż trudno dziś marzyć, aby ludzie utworzyli kiedyś tak w obec prawa jak w obec natury jedną rodzinę — to jednak przyjaciele wolności i powszechnego zbratania niemniéj przeto winni być drodzy narodowi, który ogłosił że zrzeka się podbojów i pragnie pobratania się ze wszystkiemi ludami;

„Zważywszy nakoniec, że w chwili kiedy Konwencya narodowa ma ustalić przeznaczenie Francyi i przygotować przyszłość ludzkości, należy do ludu wspaniałego i wolnego przywołać do siebie wszystkie światła i nadać prawo ubiegania się o ten wielki akt rozsądku ludziom, którzy przez swe uczucia, pisma i odwagę pokazali że nań zasługują;

„Oświadcza, iż nadaje tytuły obywateli francuzkich następującym cudzoziemcom: doktorowi Józefowi Priestley, Tomaszowi Payne, Jeremiaszowi Bentham, Wiliamowi Wilberforce, Tomaszowi Clarkson, Jakubowi Mac-

kintosh, Dawidowi Williams, Garoniemu, Anacharsisowi Clootz, Kornelowi Pauw, Henrykowi Campe, Pestalozzemu, Janowi Hamilton, Madisonowi, Franciszkowi Klopstock, Fryderykowi Szyller, Jerzemu Washington i Tadeuszowi Kościuszce.

„W Imie Narodu, Rada wyłączna nakazuje wszystkim ciałom administracyjnym i trybunałom, żeby powyższy akt w regestra swoje wciągnęli, ogłosili, obwieścili w swych departamentach i wykonywali jako prawo. Za wiarogodność podpisujemy niniejszy akt, na którym kazaliśmy przyłożyć pieczęć Państwa.

„W Paryżu, szóstego dnia, miesiąca ósmego — czwartego roku wolności.“ Podpisano „*Danton.*“

Kopje powyższego dokumentu rozesłano każdemu z naturalizowanych. Przesyłając ją Szyllerowi, minister Roland dołączył następujący list:

„Paryż 10go października roku 1792, pierwszego rzeczypospolitéj francuzkiéj.

„Do pana Schillera publicysty niemieckiego.

„Mam zaszczyt przesłać Panu tu załączony druk, opatrzony pieczęcią Państwa; jestto prawo z dnia 26 sierpnia które nadaje tytuł obywatela francuzkiego kilku cudzoziemcom. Wyczytasz Pan tam, że Naród policzył Cię pomiędzy przyjaciół ludzkości.

„Zgromadzenie Narodowe dekretem z d. 9go września poruczyło władzy wykonawczéj, ażeby Panu przesłała to prawo. Jestem mu posłuszny, proszę zarazem Pana ażebyś wierzył w radość jakiéj doznaję, iż jestem w téj właśnie chwili ministrem Narodu i mogę złączyć moje uczucia prywatne z temi, które Ci odświadcza wielki Naród upojony pierwszemi dniami wolności.

„Każ mie zawiadomić proszę, o odebraniu niniejszego pisma, ażeby Naród był pewnym, że Cię jego prawo doszło, i żeś nawzajem Francuzów w poczet swych braci policzył.

„Minister spraw wewnętrznych Rzeczypospolitéj Francuzkiéj, *Roland.*“

Skutkiem omyłki w adresie, powyższe dwa dokumenta odebrał Schiller dopiero w pięć lat po ich wysłaniu z Paryża. Ale z gazet dowiedział się rychléj o zaszczycie jaki go spotkał, i jak to z listów jego wiadomo, mocno ważność jego uczuł. Uznanie narodu francuzkiego

pokrzepiło zwątpiałego wtedy ducha poety i w tkliwem sercu jego obudziło osłabłą wiarę w lepszą przyszłość.

Wspomnienie Schillera bardzo naturalnie zapędziło nas w jego czasy — ale trzeba wrócić do dzisiejszego Paryża, boć nie historyę piszę lecz kronikę — wracam tedy chociaż nie sądzę, ażeby to co tu mówili wczoraj literaci o Schillerze, więcéj cię miało obchodzić od tego jak tu sądzono wolnomyślnego wieszcza Germanii przed siedemdziesięciu laty, w kole prawodawców Francyi. Dodam więc tylko kończąc rzecz o Schillerze, iż wieczorne posiedzenie w cyrku rozpoczęto odegraniem dwóch nieznanych kompozycyj Meyerbeera, marszem i kantatą, których wspaniała piękność zachwyciła obecnych. Potem Kalisch mówił o geniuszu Schillera i uczuciach łączących z sobą liczne grono słuchaczy; potem drezdeński aktor Dawison deklamował trzeci akt *Don Karlosa* — potem dobrana kapela zagrała heroiczną symfonię Beethovena, która godnie zakończyła na wysoki ton nastrojone zebranie. Wrażenie ogólne było wielkie i głębokie — takie, jakiego w tych czasach doznać nie łatwo.

Przednowek literacki trwa. Książek nie przybywa, a tymczasem pisarze wynoszą się na tamten świat. W kilka dni po panu Paulin, redaktorze *Illustracyi*, zakończył życie Amedeusz Renée, redaktor *Constitutionnella*, autor wielu dzieł, pomiędzy innemi „Siostrzenic Mazariniego“, które tak pod literackim jak historycznym względem są utworem niepospolitym.

W teatrach nowości pełno — ale nic znakomitego. Sztuki nowe wysnuwane po większéj części z intryg lub zawiści miejscowych, osobistych, mają też tylko powab i znaczenie dla wtajemniczonych w te kabały osób. „Przeszłość kobiety“, dramat przedstawiany obecnie w *Odeonie*, wywołał dyskusye, sprzeczki — a nawet podobno pojedynek z powodu alluzyi, których sobie autor przypadkiem czy umyślnie pozwolił. Inaczéj sztuka przeszłaby zapewne niepostrzeżona, bo przedmiot dla ogółu nie sympatyczny.

Jest na tym świecie istota nie należąca do żadnéj płci, nie będąca ani mężczyzną ani kobietą — Francuzi wymyślili dlań specyalną nazwę *bas-bleu*, u nas uchodzi ona pod ogólnym tytułem literatki. *Bas-bleu* stanowi w społeczeństwie typ szczęściem rzadki, koncentrujący

w sobie antypatye powszechne. Mężczyźni widząc w niéj rywalkę, a nie lubiąc żeby im kto berło intelligencyi wydzierał, zaprzeczają jéj talentu, chociażby go nawet miała. Co do kobiet, te zamiast się szczycić przez ducha korporacyi, i cieszyć geniuszem autorki — w braku politycznego rozumu dąsają się, że je zaćmiewa i rade wynajdują plamy na téj błędnej komecie, nie objętéj porządkiem systematu spółecznego.

Takiéj to istoty przeszłość wziął za przedmiot autor pięcio-aktowego dramatu przedstawionego w Odeonie pod tytułem: „*Le Passé d'une femme.*“ Przedmiot, powtarzam, niewdzięczny i zimny.

— Ależ, zawoła dramaturg, moja literatka stanowi wyjątek w regule, jest fenixem, meteorem, pisze wiersze jak Hugo, a romanse jak Balzak.

— Tem gorzéj. Im rzadszym będzie fenomenem — tem mniéj będzie zrozumianą i mniéj ogół zajmie; tem mniéj potrzebna na scenie która winna być szkołą obyczajów.

Ten zarzut zapisawszy na wstępie, opowiem ci pokrótce treść sztuki.

Kobieta wydana za mąż młodo, bez miłości, przez spekulujących na jéj zamęściu rodziców, po kilkoletniem pożyciu porzuca męża i córeczkę — dla kochanka. Kochanek niedługo odpłaca jéj tąż samą monetą, porzuca ją dla innéj. Opuszczona pani Montfort, nieśmie powrócić do męża, a ponieważ ma wyobraźnię żywą i umysł wykształcony, pisze wiersze i powieści, które pod przybraną nazwą Ludwiki Verneuil, zyskują jéj hołdy i poklaski świata. Ludzie jak dzieci, zawsze goniący za tem co błyszczy, wyciągają autorkę z ukrycia, fetują, schlebiają — słowem, tyle pokłonów wybijają przed Ludwiką Verneuil, ile kamieni na panią Montfort rzucili.

Mimo tak wielkiego powodzenia, literatka w któréj zawsze natura kobieca przeważa, czuje czczość w sercu, tęskni za córką i zazdrości każdéj żebraczce trzymającéj dziecię na ręku.

Upływa lat kilkanaście. Pewnego razu na balu Ludwika dowiaduje się, że jéj małżonek umarł, a córka poszła za mąż; chce tedy natychmiast powrócić do córki, ale zięć opiera się temu przez obawę, żeby zbliżenie z matką nie wywarło zgubnego wpływu na lotną wyo-

braźnię Cecylii. Zakaz trwożliwego męża na nic się nie przydał. Przypadek ułatwia spotkanie matki z córką. Cecylia znudzona wsią i łaknąca miejskich rozrywek, przybywa do Paryża i staje u przyjaciół, gdzie sławna autorka często bywa. Tam zabierają z sobą znajomość. Ludwika nie wyznając Cecylii że jest jéj matką, stara się pozyskać jéj przyjaźń; wkrótce obserwując ją bacznie, dostrzega, że bezduszny bożek salonowy, niejaki Karol Muller uporczywie zaleca się Cecylii i jest przez nią dobrze widziany.

Młoda mężatka, chociaż nie dzieli jego zapałów, pewnego wieczora na koncercie słysząc oklaski sypane zewsząd artyście — widząc zapał ogólny dla talentu swego wielbiciela, doznaje zawrotu głowy, i wyznaje wirtuozowi, iż jest mu wzajemną.

W tem przyjeżdża mąż. Pozycya żony staje się trudna, niepodobna do wytrzymania... Kochanek proponuje Cecylii ucieczkę, i ażeby ją do tego skłonić, daje do czytania młodéj żonie romans matki, podkreśliwszy starannie wszystkie miejsca mogące do reszty odurzyć egzaltowaną głowę.

Ludwika odkrywa intrygę zręcznego uwodziciela. Dowiedziawszy się o umówionéj schadzce kochanków, niespodziewanie staje pomiędzy niemi. Artysta dziwi się, że genialna pisarka odradza Cecylii iść drogą, którą niegdyś sama wybrała. Ludwika dowodzi, że właśnie dla tego, iż sama zwiedziła te bezdroża, wie dokąd prowadzą, przybywa ocalić tę, która się niemi puścić zamierza. Z tego punktu wyszedłszy, literatka wymownie przekonywa córkę, że tylko głowa jéj jest zakochana, a serce zawsze wierne mężowi, który niczem na utratę jego niezasłużył.

Cecylia bada siebie — przekonywa się o słuszności uwag Ludwiki — dziękuje jéj że ją nad brzegiem przepaści zatrzymała — i odprawia z niczem swego muzykanta.

Mąż który wszystkiego słuchał z ukrycia — pokazuje się w chwili, kiedy Ludwika żegna Cecylię — i jak gdyby nigdy nic, oznajmia żonie zamiar jechania na wieś.

— Nie pojedziemy sami, dodaje w końcu, proś swojéj matki, żeby nam towarzyszyła... to mówiąc popycha

drżącą córkę w objęcia szczęśliwéj matki — i kurtyna zapada.

Sztuka ta napisana gładko, wpada w ucho przyjemnie, ale pojęcia autora nie tak dobrze jak styl jego wyrobione: mięsza on sławę z moralnością — poezyę z cudzołoztwem. Pani Verneuil, mimo widocznéj chęci naśladowania pani Sand, nie jest wcale Palladą, ale bardzo powszednim strąconym aniołem, który daną sobie przez autora aureolę nosi jak kapelusz *à là Pamela.* — Cecylia daje się kusić przez tak zwykłego uwodziciela, że ani jéj upadek ani zbawienie nie obchodzi słuchacza. Mąż energicznie deklamuje tylko przeciw niewieściéj sławie literackiéj trudno pojąć spokoju z jakim przysłuchuje się z za firanki scenie, w któréj muzykant miłosne *tutti* przed żoną jego odgrywa. Zamiast świekrze powierzyć obronę swego honoru, czyż nie byłoby naturalniéj żeby sam wyszedł i przemierzył laską śmiesznego wirtuoza, chociażby za to tylko, że tak głupią ma minę. Czyż takie rozwiązanie nie lepsze?

Oba teatra opery przedstawiają nowe sztuki: Opera wielka *„l' Ame en peine"* Flotowa, (lichota w najgorszym gatunku), opera Buffa *„Pagodę"* pana Saint-George. Opera komiczna ma, jak ci wiadomo, swoją osobną geografię. Na jéj atlasie widzisz dwie dzielnice, jedna zwie się *Skrybia*, a druga *Saint-georgia.* W tych dwóch częściach świata odbywa się mnóstwo romantycznych i fantastycznych awantur, wcale historyi naszego świata nieznanych. Osoby nowéj opery mieszczą się w *Saint-georgii*, a o *Pagodzie* wspomnieć warto chyba dla tego, że modna i mnóstwo ludzi chodzi uczyć się na niéj mitologii indyjskiéj, uważając iż ciężka ta nauka ułożona w balety, najłatwiéj się w pamięć wdraża.

Od *Pagody* do Chińczyków tylko krok. Otóż powiem ci, że od czasu krwawego starcia Europy z Chinami, pojawiły się tu nowe próbki ślicznéj populacyi Państwa Niebieskiego. Można czasami napotkać Chinkę na bulwarach. Sam widziałem przypadkiem, dwa takie karłowate monstra uchodzące za najpiękniejsze egzemplarze rasy niewieściéj w Kantonie.

Jeszcze jedno złudzenie, z którem się trzeba pożegnać. Zdaje się że wszystko co mówiono i pisano o piękności Chinek, jest wierutną bajką. Otaczająca je tajemnica

już się wykryła w Paryżu. Najpiękniejsze z nich mają płaskie nosy, płeć żółtą, oczy kocie, kibić koślawą, powierzchowność co się zowie odpychającą. Mówię o żonach Mandarynów, to jest o wielkich damach chińskich. Co się zaś tyczy sławnych statków kwiatowych, pływających po wodach żółtéj rzeki, do których tyle ponętnych poczyniono alluzyj, tyle powabnych napisano bredni — są to w rzeczywistości dość brudne kawiarnie, gdzie się pije herbatę, pali fajkę i gra w karty, i gdzie herbatę i fajkę podają bardzo brudne i bardzo brzydkie poczwarki. Nadto do uzupełnienia téj charakterystyki dodać potrzeba, że kobiety chińskie są najzłośliwsze pagody z całego Państwa Niebieskiego, obok tego, nie mają żadnego wstydu w oczach, kłamią jak najęte, a w dodatku kradną — nie z potrzeby — ale przez zamiłowanie téj sztuki. Obrzydliwie słuchać, co o nich Francuzi opowiadają.

Jedynym szczegółem oryginalnym, który w charakterze chińczyków uderza, jest pogarda śmierci. Posuwają oni to uczucie aż do manii: nietylko nie chodzi im o zachowanie życia, ale bez potrzeby szukają śmierci. Przyrzecz tylko Chińczykowi, że mu postawisz porządny nagrobek, a gotów natychmiast się zabić. Jednakowoż, musi mieć pierwéj pewność że będzie miał nagrobek. Zdarzył się przypadek, że jeden taki amator wygodnego grobu, ciągnął Francuza do władz miejscowych, przysięgając, że skoro tylko się urzędownie zobowiąże wymurować mu grób, on natychmiast w oczach jego życie sobie odbierze.

Zkąd może się wziąść taka nadludzka odwaga w tak podłych parawanowych figurach? Boć niech co chcą mówią nowsze filozofy, samobójstwo nie jest tchórzostwem. Posłuchajmy co o niem powiada Balzak: „Jest coś wielkiego i straszliwego w samobójstwie, mianowicie jeżeli jakiś wielki człowiek się zabija... musi on spadać z wysoka — musiał się podnieść aż do nieba i dojrzeć jakiś raj niedostępny... nie ubłagane być muszą huragany, które zmuszają go do żądania od pistoletu spokoju. Ileż to młodych talentów ginie marnie dla braku przyjaciela w pośrodku miliona bliźnich, w tłumie ludzi znudzonych złotem. Na tę myśl, samobójstwo przyjęła olbrzymie kształty. Bogu tylko wiadomo, ile po-

mysłów wzniosłych, poronionych arcydzieł, waha się tu pomiędzy samobójstwem a nadzieją, któréj głos przywołał młodzieńca do Paryża. Na jakimże oceanie literatury znajdziesz pływającą książkę, któréjby geniusz mógł walczyć z tym lakonicznym anonsem paryzkiéj gazety: „Wczoraj wieczorem młoda kobieta skoczyła w Sekwanę z nowego mostu“ i t. d.

Ale wróćmy do kroniki. Mimo politycznych zajęć mówiono tu wiele ostatniemi czasy o potopie. Do nadania powabu téj kwestyi, nie mało się przyczyniła zapewne kwestya włoska; ten i ów bowiem w zapowiedzianym kataklizmie z przyjemnością widział ostateczne załatwienie nużących i na pozór niepokonanych trudności, które jak drugie Alpy za Alpami się piętrzą.

Prócz tego, są chwile w których świat czuje potrzebę zajmowania się swoim końcem. I tak, lat temu dziesięć z powodu astronomicznéj przepowiedni wypadłéj niepomnę już z którego niemieckiego obserwatoryum — pisano wiele o kataklizmie mającym wkrótce nasz glob pochłonąć. Teraz znowu paryzka akademia nauk zwróciła uwagę na teoryę Adhémara, który już nie przepowiada ale *zapowiada* nowy potop. Nie lękaj się atoli. Obrachowany przez francuzkiego astronoma potop nastąpi dopiero, za sześć tysięcy trzysta lat — mamy tedy czas pomówić o nim spokojnie.

Nie tu miejsae rozbierania téj naukowéj tezy, zasługuje ona na osobne i obszerne obrobienie — to tylko więc powiem tutaj, że teorya Adhémara uderza swą genialną prostotą, głowy się czepia i uwagi każdego wykształconego człowieka jest godną.

Memoryał w którym autor tak smutną przyszłość wróży światu, wyszedł jeszcze w roku 1841 w Paryżu, ale ponieważ autor jest paryżaninem, a nikt prorokiem w własnym kraju, rzecz choć nader zajmująca, przeszła niepostrzeżona we Francyi. W Niemczech dzienniki szeroko o téj książce rozprawiały w swoim czasie.

Teraz z powodu dzieł innych, a mianowicie zapisków pana Elie de Beaumont, w których szanowny członek Instytutu broni owéj teoryi podnoszenia się ziem — inni akademicy chcąc zbić to twierdzenie, powołali się na powagę Adhémara, i jakby wynagradzając mu dawny

indyferentyzm, przez dwa miesiące z rzędu teoryą jego się zajmowali.

Było tych dyskusyj aż do znudzenia. Długo rozprawiano seryo — ale że w Paryżu wszystko musi się skończyć na żarcie — jedno z pism tutejszych zapieczętowało kwestyę potopu wybornym artykułem humorystycznym. Autor artykułu opisuje najprzód katastrofę zalania Paryża. Pomiędzy pierwszym a drugim rozdziałem upływa kilka tysięcy wieków. Zapowiedziany przez Adhémara potop odbył się od niepamiętnych czasów; na osuszonych lądach powstały znów nowe miasta, nowa cywilizacya i nowe akademie. W jednéj z nich jakiś sławny uczony czyta sprawozdanie ze swych poszukiwań odbytych na gruncie, gdzie niegdyś jak podanie niesie, stała Sodoma XIX wieku, Paryż.

Na to posiedzenie wprowadza autor czytelnika. Skoro ciekawa publiczność zasiadła ławy, uczony geolog tak mówić zaczął:

„Panowie! Nauka, ta niezmordowana szperaczka która co dzień uposaża ludzkość nowemi dobrodziejstwy, dziś niepospolity łup wam przynosi. Trzy tysiące lat upływa jak ziemia nasza zalana potopem utraciła całą swoją poprzednią kreacyę. Właśnie o tym potopie mówić zamierzam. Czy glob nasz był czy niebył przed tą katastrofą zamieszkały przez ludzi — jestto kwestya, która najprzód nastręcza się uczonemu. Jeden z moich kolegów twierdzi że *tak*, drugi że *nie*, ja nie mówię ani *tak* ani *nie*... (głośne oklaski), ale z poszukiwań moich wyciągnąłem pewność, że ziemia przed potopem była zamieszkała przez olbrzymią kreacyę i dowiodę tego...

„Szperając w ziemi przez lat dwadzieścia, na miejscu gdzie stać musiało jakieś wielkie miasto, odkryłem szczątki kopalne ogromnego znaczenia. Ale trudniéj niżeli znaleść, było odgadnąć ich naturę, ukraść, że tak powiem, zniszczeniu tajemnicę przeszłości (oklaski). Pierwszy szczątek (pokazuje stalowe obręcze od krynoliny) jestto skielet wybornie zakonserwowany — forma jego jak widzicie kolista; żebra coraz zwężające się idą jak pierścienie. Zwierz ten znikły z powierzchni globu, musiał się czołgać i żyć pastwą znalezioną w błocie. — Drugi szczątek (pokazuje czaszkę eleganta z Boulevard de Gand), jestto czaszka, w któréj szczupłość komórki

mózgowéj dowodzi, iż należała do ptaka z rodzaju naszych kanarków domowych. — Trzeci przedmiot którego tu dla wielkich jego rozmiarów przynieść nie mogłem, (Obelisk Luxorski) nadzwyczaj ciekawy, jest, mam na to dowody, grzbietem olbrzymiéj ryby, która z potopem w te strony przywędrowała. Sądząc z téj ości, obok niéj nasze wieloryby wydawać się musiały jak płotki.

„Co do czwartego wykopu, ten, chociaż znaleźliśmy go bardzo wiele na pewnéj przestrzeni, (pokazuje bifstek z restauracyi paryzkiéj po 32 sous) jest dla nas zagadką. Zawsze ma on tęż samą formę i tęż twardość. Ta twardość niesłychana sprawia, iż się obronił wszelkiemu parciu zniszczenia... nie można go nawet młotem rozkruszyć. Ciekawe to ciało wymaga studiów i osobnego raportu, który późniéj szanownemu zgromadzeniu złożę. Na teraz trzy rzeczy są pewne: istnienie płazu, ptaka i ryby przedpotopowéj.

„Dumny z mego odkrycia, śmiem prosić akademię w kumy: niech ochrzci i nada imie każdéj z tych ras odmiennych, które dzięki mojéj cierpliwości zmartwychwstały."

Grzmot oklasków zakończa mowę uczonego, Akademia wotuje jednozgodnie dożywotnią pensyę dla uczonego kolegi, a zgromadzenie okrzykuje go chlubą narodu.

---

## **Londyn** w listopadzie.

Miesiąc upłyniony odznaczył się głównie przedsięwzięciami, które długo zostaną pamiętnemi w rocznikach cywilizacyi. W ciągu niego urządzono dwie nowe misye w celu rozszerzenia chrześciaństwa w Kolumbii na północno-zachodnich brzegach Ameryki, i w środkowéj Afryce; w ciągu niego uniwersytet edynburski otrzymał nową organizacyę zbliżającą go w układzie do uniwersytetów w Oxfordzie i Cambridge, a podnoszącą zarówno godność téj wszechnicy tak korzystną dla wychowania publicznego; w ciągu niego także powszechny i że tak powiem kosmopolityczny popęd uczczenia wszystkiego

co słynne geniuszem, było pobudką oddania uroczyście hołdu uwielbienia wielkiemu poecie, lubo obcego narodu.

Co się tyczy pomienionych misyj religijnych, nowe biskupstwo anglikańskie kreowano do Kolumbii i uposażono w znacznéj części przez pewną angielkę Miss Coutts, znaną zkądinąd z dobroczynności. Biskup Dr. Hills już na nie wyświęcony, w tych dniach z kilku księżmi odpłynął do téj kolonii angielskiéj dla opowiadania ewangelii dzikim w pogaństwie żyjącym krajowcom. Drugie biskupstwo ustanawia się do środkowéj Afryki, do krajów które Dr. Levingston pierwszy wyśledził i obecnie je powtórnie zwiedza. Biskupem do nich zamianowany jest ks. Mackenzie. Zbierają fundusze na uposażenie téj misyi pod powagą wszechnic oxfordzkiéj i kambridzkiéj, gdyż misya ta chrześciańska ma być uniwersytecką i jako naprzód przez nie była początkowaną, tak ma się pod wspólną ich chorągwią na przyszłość rozwijać Pierwszy projekt do téj misyi był ostatniéj wiosny w Oxfordzie przez bisknpa tamecznego Dra Wilberforce przedstawiony, — jakeśmy o tem byli podtenczas w *Czasie* nadmienili; a bieżącego miesiąca odbyło się liczne zebranie w Cambridge, na którem tenże biskup, pp. Gladstone i Walpole znajdowali się, i wspomniony wniosek zyskał jak najmocniejsze poparcie. W porównaniu z wydatkami jakie inne towarzystwa religijne zwykły łożyć na swych misyonarzy i szkoły w różnych krajach, a osobliwie w południowéj Afryce dla zaszczepienia chrześciaństwa, obliczono: że misya do środkowéj Afryki kosztować będzie na podróż i oporządzenie biskupa z sześciu misyonarzami, najmniéj 1000 fst., utrzymanie ich doroczne 2000 fst. Na to już zebrano początkowo 1610 fst. składek, a 176 fst. mających być wnoszonemi w pewnych terminach corocznie. Jest to tylko na początek, żeby bowiem zapewnić powodzenie całéj misyi, potrzeba na nią przynajmniéj 20,000 fst. Lecz i tę sumę nietrudno będzie zebrać, zwłaszcza, że tu o wielką rzecz idzie, bo o zaszczepienie ewangelii, zniesienie handlu niewolnikami i zbliżenie zdziczałych pokoleń do cywilizowanego świata. Wszystko to w Anglii znajduje, jak zawsze znajdowało, gorliwych zwolenników i czynnych popieraczy. Żaden gabinet nie robi

przeszkody tego rodzaju stowarzyszeniom; owszem rząd ułatwia im wszelkie środki wiodące do zamierzonego celu. I lepiéj na tem wychodzi niż gdyby krępował, bo spólnictwo to działania wzmacnia jego ręce, wznosi potęgę.

Po tem co się powiedziało o misyach religijnych mających w dalekich krainach rozpędzić ciemności pogaństwa, nowe urządzenia uniwersytetu w Edynburgu zasługują na szczególną uwagę. Według nich a porównywających go z uniwersytetami w Oxford i Cambridge, lord Brougham niedawno był obrany jego kanclerzem a p. Gladstone rektorem. Otwarcie téj wszechnicy szkockiéj według nowéj ustawy, nastąpiło dnia 1go listopada. Sir David Brewster, sławny profesor nauk przyrodzonych, z tytułu swego jako jéj „principal“, zagaił tegoroczne jéj posiedzenie. W mowie swéj po oddaniu należnéj czci poprzednikowi swemu prof. Lee, niedawno zeszłemu, sir D. Brewster zwrócił uwagę na korzyści jakie z nowéj ustawy uniwersyteckiéj spłynąć mają na członków wszechnicy, na profesorów równie jak na uczniów, rokując dla nich świetną erę na przyszłość. Po czem zwracając się na historyę dawniejszą uniwersytetu, daléj rzecz prowadził w tych słowach: „Za dawnych czasów katedry uniwersytetu obsadzane były duchowieństwem, i niedziw że tak wyłączny system wtenczas istniał, gdy ogólnie mówiąc, wielebny ten stan sam jeden niemal za owych dni posiadał nauki. Następnie reformacya sprowadziła wielkie zmiany w naszych zakładach naukowych; lecz jakkolwiek były one ważnemi, uniwersytety nasze wszelako zostawały długo pod władzą i zarządem kościelnym; dopiero roku 1830 komisya królewska orzekła: że uniwersytety są zakładami narodowemi dla wychowania młodzieży wszelkich wyznań i zawisłemi jedynie od króla i władzy prawodawczéj. Pomimo tego orzeczenia, zostawały z niem w sprzeczności pewne przysięgi (tests) na wierność kościołowi, wyłączające w razie niezłożenia ich, od pewnych przywilejów profesorów, choćby najbogobojniejszych i najsłynniejszych nauką, dla tego jedynie że niebyli członkami kościoła prezbiteryalnego. Późniéj wprawdzie potrzeba składania téj przysięgi była przez parlament usuniętą, lecz nawet po zniesieniu jéj zastarzała od dawna wyłączność nie dała się

do reszty wykorzenić, pozbawiając 68 profesorów, mających katedry w trzech uniwersytetach szkockich, prawa wyboru na principałów, czyli naczelników. W skutek tego najsłynniejsi mężowie w literaturze i filozofii, wyłączani bywali od piastowania téj godności w uniwersytetach których byli ozdobą. Ani David Hume, ani Adam Smith, ani Playfair, ani Dugald Stewart, ani Hamilton, ani Wilson niemogli jéj dostąpić, chociaż sława ich, gdziekolwiek język angielski jest znany, rozniosła się po świecie. Odmawiano im u nas prawa, którego prawda i sprawiedliwość w żadnym innym kraju niezaprzecza wyższym geniuszom i talentom, a posady któreby oni zaszczytniéj zajmować mogli, obsadzano ludźmi innego powołania. Jak na całym świecie, tak i w naszym kraju prawnik ma otwartą drogę nawet na wielkie kanclerstwo lub do krzesła sędziowskiego, najniższy z księży może zostać arcybiskupem, i najuboższy człowiek być pierwszym ministrem państwa, a tylko profesor szkocki otrzymawszy raz katedrę, niemógł wznieść się wyżéj. Było to wielką plamą akademicką, która odtąd na zawsze zmazaną zostaje. Izba lordów pragnęła jeszcze utrzymać te zabytki dawnych nadużyć, lecz Izba niższa oparła się wszelkim ograniczeniom, i tak bill w całości przeszedł i otrzymał moc prawa.“

W dalszym ciągu mowy sir D. Brewster mówił, jaki według nowéj ustawy będzie skład uniwersytetu. Radę jego mają składać: kanclerz, rektor, pryncypał, Provost (burmistrz) edynburski z czterema assesorami przez nich dobranymi. Rada zawiaduje sprawami uniwersytetu, obiera profesorów. A że rektor zawisł od wyboru zamatrykułowanych studentów, więc i oni pośrednio w czwartéj części wpływać będą na wybór swych nauczycieli do dwudziestu katedr akademickich. Tak dalece elekcyjny system w uniwersytecie się rozciąga, i ustawa orzeka, aby wykonywany był przez wybory sumienne, bez względu na partye polityczne i wyznania religijne, do których przedstawiający się do katedr kandydaci mogą należeć. Gruntowność ich nauki i zdatność ma głównie kierować wyborami.

Uczony mówca biorąc z tego pochop, że uniwersytet edynburski był siedliskiem filozofii szkockiéj, upominał słuchaczów, aby nieprzestając na dawnéj jego sławie,

starali się własną ją pracą pomnożyć; a wszedłszy na pole nauk przyrodzonych, których sam był jednym ze słynnych zwolenników, szczególnie nad niemi się rozszerzył. Ustęp ten z jego mowy w całości tu przytaczam:

„Dzieła stworzenia są przestworem bez granic — rzekł mówca. Nieograniczone są ich siły, niezrównana mądrość, niewyczerpana dobroć — wszędzie one was otaczają. Wielkość bez końca równie jak nieskończona małość wyprzedzać się na przemian będą, wywołując wasz podziw. W rozważaniu cudownych zamiarów stworzenia jakie się wam w skutek dociekań przedstawiać będą, niespuszczajcie z uwagi téj niemal nadludzkiéj siły, bez którejby niemożna było ich doślędzić. Z podstawy ziemskiéj na któréj człowiek się urodził i do niéj jest przywiązany, bez żadnéj inszéj pomocy oprócz swego oka i ręki, przedarł się on geniuszem swym w ciemne i najodleglejsze zakątki czasu i przestrzeni. Skończoność ogarnęła rozumem nieskończoność. Jestestwo tegodzienne przedarło się w pierwotne czasy, wyczytując z podziemnych pomników misterne napisy, sprowadzając z nich kronikę tysiącznych wieków. Śledząc po chropowatych dzielnicach i po rozpadłych powierzchniach kuli ziemskiéj, człowiek poznał działania olbrzymich sił sprowadzających zmiany mórz i lądów, w skutek których pasma gór wysunęły się z głębi oceanów, a złoto i srebro, węgiel, żelazo i wapno, dostały się rodzajowi ludzkiemu na użytek i na środek ku jego cywilizacyi. W skutek tych przyrodzonych sił, potężne królestwa zwierząt i roślin legły w warstwach ziemi pogrzebane. W swych astronomicznych dociekaniach doszedł on tego, że ziemia mieszkanie nasze, krąży w przestworzu jako kula, będąc jedną z najmniejszych planet; odbywa jak one pewne wyznaczone dla siebie ruchy i obroty, rozmierzając nam czas i pory roku. Po za okresem naszego planetowego systemu, systemu przez odkrycie Neptuna teraz rozprzestrzenionego do 3,000,000,000 mil od słońca, teleskop otwierając widok na ogromny przestwór reszty wszechświata, przedstawi wam nowe słońca i inne systemy słoneczne, światy nieskończone liczbą i rozmaitością, a wszystkie niewątpliwie mające niezliczone krocie żyjących istot, — nowe sfery dla chwały Stwórcy i uznania jego potęgi i dobroci. Wyobrażenia te i tym podobne

przedstawiając się umysłowi pragnącemu nauki, niepodobna żeby nie zachwiały jego równowagi lub nie naruszyły poprzednich jego przekonań. Jeżliby kto z was popadł w ten stan umysłowy, niech to was bynajmniéj nie trwoży. Ten rodzaj sceptycyzmu jest tylko wynikiem nieskrępowanego i szlachetnego umysłu. Niema stałości przeświadczeń bez walki z powątpiewaniem i bez uprzątnienia różnych zawiłości; wiara tylko w ten sposób za młodu osiągniona, spoczywa na niewzruszonym fundamencie. Łatwowierność przeciwnie, jest chorobą słabego umysłu lub źle prowadzonego wychowania. Biorąc wszystko na wiarę a nierozbierając niczego*) umysł obciąża się błędami, i wiara obrastając niemi przytłumia rozum. Wprawdzie ta skłonność do wierzenia może w pewnych względach zasługiwać na pobłażanie nawet filozofii, lecz gdy pogardzi wymaganiami ścisłego dochodzenia prawdy drogą indukcyjną, chcąc imaginacyę osadzić w przybytku umiejętności, takowa skłonność jest wielce szkodliwa i należy jéj się chronić,...“

„W błękicie niebios w górze nad wami, w uśmiechającéj się wam ziemi na dole, i w towarzyskim świecie naokoło, pełno znajdziecie zajęć dla szlachetnych waszych badań, i obszary przestronne dla odkryć i wynalazków. Umiejętność najmniejszéj niezdobyła prawdy, sztuki żadnego wynalazku, ani religia żadnéj warowni, ani ludzkość nieodniosła najlichszéj korzyści od zarozumiałych mistyków grzebiących w gruzach przewróconych praw przyrodzenia, kopiących wiedzę w pieczarach niewidomego świata i zuchwale wdzierających się na zdobycie przybytku przyszłych przeznaczeń. O ile to co mówię jest prawdą, o tyle obeznawanie się z zasadniczemi prawami materyalnego świata, nie przez samą tylko młodzież sposobiącą się do literatury i do stanu duchownego, ale nawet przez wszystkie masy ludności krajowéj, powinno być obowiązkiem chrześciańskiego kościoła i każdego chrześciańskiego rządu. Na jedną jeszcze gałąź nauk chcę zwrócić waszą baczność. Postępy za nowszych czasów zrobione w mechanice i pożytecznych sztukach,

---

*) Nie należy spuszczać z uwagi, że to mówi pod względem religijnym protestant, a pod względem filozoficznym zwolennik empiryzmu. P. R.

zaczęły przeważny wpływ wywierać na życie, i wołają oraz o zmianę systemu publicznego wychowania. Zwyczajne wiadomości jakie dotąd usposabiały ludzi na uczonych i pożytecznych członków społeczeństwa, nie wystarczają im dłużéj po wygórowaniu praktycznych umiejętności. Nie upłynie żaden rok, coby się nieodznaczył jakim nowym wynalazkiem. Kolosalnéj wielkości mosty wiszące przewożą ogromne pociągi przez odnogi morskie; podmorskie druty przenoszą słowa mowy ludzkiéj na 2000 mil przez ocean; olbrzymi okręt zbudowany ma na swój pokład zabierać tysiące podróżnych, a teraz ogromne wynaleziono działo mające na kilka mil ang. ciskać swe śmiertelne acz niechrześcijańskie pociski bądź na lądzie bądź na oceanie. Do tego, nowe wynalazki sztuk, jedne użyteczne, drugie służące ku ozdobie, mnogo pojawiły się za naszego czasu. Nowe siły z tajników natury wydobyto na jaw; człowiek znosi się przez morza i lądy bezpieczniéj i spieszniéj niżeli szybkością rączego rumaka lub na skrzydłach orła. Zgoła dokądkolwiek się obrócim, wszędzie nas sztuki i umiejętności otaczają. One otwarły dla wielu nowe zawody i zyskowne posady w społeczeństwie. We wszystkich naszych zamiarach i stanach życia, są nam one pomocą. Po naszych domach zaopatrują nas w ciepło i światło; w podróżach naszych napotykamy je na każdéj stacyi lądowéj i w każdym porcie na brzegu morskim. Obecne, gdy zasiadamy do stołu we dnie, i gdy kładziem się na noc do spoczynku. Myślom naszym nadają szybkość błyskawicy, zégarom punktualność słońca; a lubo udzielić nam nie mogą zawołanéj Archimedesa dźwigni, by nią podważyć ziemię, ani oznaczają punkt, na którym stojąc moglibyśmy tego dokonać, jednakowoż podały nam do rąk narzędzia tak nadzwyczajnéj siły, że za ich pomocą możemy poznawać najodleglejsze w przestrzeniach światy, i opatrzyły nas zarazem umysłową ołowianką, by nią zbadać głębokości ziemi i policzyć epoki jéj istnienia. Nie dość na tem: człowiek ufny w swoje siły, w swéj niewiadomości odważa się na daleko więcéj. Lecz, lubo nie dozwolono mu szczytami wieży wznoszonéj z kamieni dosięgnąć nieba i chociaż na próżno sili się żeglować po powietrznym Oceanie, wszelako wzbił się w empiryjską

sferę po ogniwach myśli, jakich ani błyskawice zniweczyć, ani komety rozbić nie zdolne; i chociaż niewolno mu jest cielesną ręką dotknąć się płodów innych światów ani stanąć stopą na planetach, może wszakże bystrzéj niżeli okiem orła postrzegać rozsiane w przestworzu wielkie dzieła stworzenia, i że tak powiem, przechadzać sią umysłowo po mozaice gwieździstych systemów, nie lękając się smutnego losu Faetona. Rydwan umiejętności najbezpieczniejszy — jest on niewywrotny.“

Mówiąc nakoniec o stopniach akademicznych, Sir D. Brewster ubolewał nad zupełnym brakiem nagród i zachęty od rządu dla tych co się dawniéj umiejętnościom i literaturze poświęcali. Od trzydziestu lat wszakże to się zmieniło i teraźniejsze uwzględnianie uprawiaczy umiejętności przypisywał Sir D. Brewster głównie lordowi Brougham, podczas piastowania godności wielkokanclerskiéj przez tego znakomitego męża stanu roku 1830. Za jego poleceniem król Wilhelm IV nobilitował astronoma Herschla, profesora Leslie i Karola Bell. Od tego czasu trzydziestu innych uczonych dostąpiło tego zaszczytu. W ślad tych honorowych dystynkcyj, w zwyczaj weszły materyalne dla niektórych nagrody za zasługi położone w literaturze, i na liście cywilnej znajdują się teraz zamieszczone imiona pęćdziesięciu takich osób, a między niemi stoi na czele królewski astronom jako nominalny wyobraziciel i „poeta laureatus“ wyobraziciel literatury. Te reformy stopniami prowadziły do innych, a uwzględnianie umysłowych prac i praw przez jeden gabinet, stało się pobudką do uznawania ich przez drugie ministerya, tak że udział w szczodrobliwości rządu rozciąga się teraz niemniéj na indywidua jak na instytucye naukowe. Mężowie celujący w naukach przypuszczani są do urzędów i wiele towarzystw w stolicy pobiera ze skarbu publicznego wsparcie pieniężne. Podobnież system naukowy uniwersytecki zawdzięcza swe rozszerzenie lordowi Brougham przez założenie za jego staraniem uniwersytetu londyńskiego, poczem niebawem z tym samym popędem założone zostało kolegium królewskie (King’s College). Następnie trzy kolegia formujące *Queen’s University*, założone i uposażone zostały w Irlandyi w celu wyrwania z ciemnoty téj nieszczęśliwéj krainy. Obecnie fundują kolegia i uni-

wersytety w koloniach angielskich, w Indyach i Australii, ułatwiające młodzieży nabywanie oświaty i szerzenie jéj wszędzie w najodleglejszych nawet posiadłościach berłu W. Brytanii podległych. Nie może to z postępem czasu zostać bez użytku.

Trzecim niemniéj głośnym w tym miesiącu wypadkiem był obchód dnia 10 b. m. setnéj rocznicy Szyllera w kryształowym pałacu w Sydenham. Było na nim do 15,000 osób po największéj części niemców, co dowodzi, że mieszkańcy téj narodowości nie szczupłą w stolicy angielskiéj składają kolonię; było tam wszelako także wielu Anglików. Z resztą wszystko wyglądało z cudzoziemska, z niemiecka. Wszędy przeważał język niemiecki, ich chorągiew narodowa powiewała, ich były chorągwie cechów, przemysłu i handlu, z nich się składały szeregi idące procesyą — zgoła wszystko, ruchy i obyczaje były nacechowane niemczyzną.

Program téj uroczystości składał się z następujących części: 1) Marsz „Szyllera“ skomponowany na ten obchód przez Karola Groos. — 2) Uwertura z „Wilhelma Tella“ Rossiniego. — 3) Mowa Dra Kinkla, którą zaraz sprzedawano na miejscu w niemieckim i angielskim języku. — 4) Kantata umyślnie na tę uroczystość napisana przez Freiligratha z muzyką Pauera. Po wykonaniu jéj przez towarzystwo niemieckich śpiewaków, popiersie Szyllera kolosalnéj wielkości odsłoniono. — 5) Solo na skrzypcach przez Wieniawskiego. — 6) Spiew niemiecki „Träume und Gesang“ urządzony i dyrygowany przez p. Manns. — 7) Liryczna poezya Szyllera „Dzwon“ z muzyką Romberga, wykonana przez blisko 1000 śpiewaków związku pieśniowego pod przewodnictwem p. Benedict.

Cały ten program był mniéj więcéj nie źle wykonany, bo w tym wieku zdelikaciałym i wybrednym pod względem artystycznym, nie łatwo jest ujść krytyki. Co jednak w wykonaniu programu najbardziéj uderzyło, to mowa Dra Kinkla byłego profesora literatury w uniwersytecie w Bonn, a od kilku lat wygnańca. Jego urodziwa i poważna postać, głowa osiwiała, broda zapuszczona i głos donośny, że w najdalszych zakątach pałacu mógł być słyszany, gdy mówił o geniuszu Szyllera, o sławie literackiéj germańskiéj, rozwodzenie się nad potrzebą

jedności wszystkich Niemiec i oklaski jakie mu jego słuchacze niemieccy dawali, sprawiły nawet na Anglikach wielkie wrażenie; chociaż dla nich jako nieznających niemieckiego języka, treść mowy naturalnie była stracona i byli naprawdę jak u nas mówią, na niemieckiem kazaniu. W ciągu swéj mowy Dr. Kinkel nadmienił, że właśnie w tym samym roku i dniu, w którym Szyller się urodził, Händel zeszedł z tego świata, a z nim jednocześnie urodził się Burns poeta szkocki. Anglicy jednak sądzą, iż te twierdzenia uczonego mowcy były wyrzeczone więcéj *ad captandum*, jak zgodnie z prawdą. Statystyka ówczesna daty zejść i urodzin ludzi mniéj dokładnie notowała, jak za naszych czasów.

Drugim zajmującym przedmiotem było odśpiewanie kantaty Freiligratha i odsłonienie popiersia Szyllera. Ugrupowane przy niem naokoło stały chorągwie cechów i biusta najsłynniejszych znakomitości niemieckich, jakoto: Lutra, Klopstocka, Lessinga, Wielanda, Goethego, Humboldta i Guttenberga; podle nich stał poważnéj postawy Dr. Kinkel, mając z obu stron przy sobie dwóch niemieckich wyrobników trzymających trójkolorowy sztandar narodowy, czerwony, czarny i złocisty, a za nim chorągwie różnych cechów. Amfiteatr ten ślicznie przedstawiał się dla oka. Popiersie Szyllera stało pośrodku osłonione. Pod koniec kantaty zasłona z niego spadła, i na widok szlachetnego oblicza wieszcza z wieńcem laurowym na skroniach, widzowie wszyscy jakby czarodziejską siłą dotknięci, od razu powstali, z uszanowaniem odkryli głowy, cześć pośmiertną oddając zmarłemu przed stu laty.

Po tak silnem wrażeniu jakie ten widok sprawił, *Solo* Wieniawskiego na skrzypcach, jakoteż śpiew „*Träume*“, musiały pozostać w cieniu, chociaż niepoślednio były wykonane. Po nich ocuciło się na nowo zajęcie śpiewem szyllerowskiego *Dzwonu*. Sama liczba tysiąca śpiewaków, dobrze wyuczona do oddania z precyzyą myśli tego arcypięknego utworu, uczyniła sprawiedliwość poecie i zadowolniła ze wszystkiem słuchaczów. Anglikom szczególniéj on się podobał, i znawcy porównywając go z angielskim *Alexander' s Feast* Drydena, niewahali się *Dzwonowi* przyznawać wyższość. O ile ten sąd trafny, nierozbieram, zdaje mi się tylko, że przedmiot jednéj i

drugiéj poezyi zbyt jest odrębny, aby mogły być porównywane. Uczta Alexandra, Drydena, znaną jest w naszéj literaturze z przekładu J. U. Niemcewicza.

Lecz z całego obchodu nic Anglików bardziéj niezajęło jak marsz pochodni wieczorem, bo *Fackelzug* tak nierozłączny od narodowości niemieckiéj, jak fajka i piwo. Są to najwybitniejsze jéj znamiona, bez nich tu Niemca nie pojmują. Z *fakelcugiem* swym też wydawali się nieporównani. Jak skoro się dobrze zmierzchło, za danym znakiem błyskać zaczęły w obszernym parku pałacu na dwóch miejscach ognie zapalonych pochodni. W kilka minut uformowały się dwa długie szeregi pochodniarzy przeciągające tu i owdzie po parku, jakby dwa połyskujące czerwone jaskrawe sznury, w zamglonéj atmosferze listopadowéj. Cudne i urocze to dla oka przedstawiało widowisko. Ile luda znajdowało się w pałacu, to wysypało się na tarasy, aby się temu widokowi przypatrzyć. Sznurem te dwa połyskne szeregi pochodniowe, z dwóchset osób złożone z chorągwiami snuły się po zaroślach, pagórkach i ścieżkach nad stawami, odźwierciadlając jaskrawo posępne światła na ich powierzchni i rozbijając je na krocie różnobarwnych brylantów w wodotryskach fontan które wtenczas grały. Podczas tego pochodu, z obu szeregów często odzywały się podchwytywane zwrotki narodowych pieśni. A gdy się nachodzono i pochodnie zaczęły się dopalać, pozrzucano je wszystkie na jedną kupę, tworząc z nich jedno ogromne płomieniejące ognisko, od którego światła cały krzyształowy pałac oświecony był jak we dnie.

Niekoniec na tem. Uroczystość ta przeciągnęła się długo w noc. Zakończyła ją uczta, na któréj Dr Hess prezydował. Były tu mowy, wznoszono toasty, między któremi jeden był dla Anglii, na który p. Cohen Angłik wymownie odpowiedział. Obchód trwał do północy.

Pomimo tego nieobeszło się tu bez niejakiéj zawiści dla tego obchodu rocznicy Szyllera. Objawiały ją niektóre dzienniki poniżając jego talent, zarzucając mu naśladownictwo Szekspira i innych. Tygodnik znów literacki *Athaeneum* podniósł ogólną skargę na zbyteczne samolubstwo Niemiec, w tych uszczypliwych słowach: „Za dostojną inicyatywą księcia małżonka, lista składek na fundusz Humboldta rośnie jak na drożdżach. Wpły-

wają sumy zewsząd, to po 50 to po 5 gwineów, jakby z nieprzebranego banku. Lista ich obiecuje utworzyć się w znaczny pomnik naukowego zapału; tem świetniejszy, że stać będzie samotny, istny obelisk na intelektualnéj pustyni. My niemamy funduszu Newtona, ani też doczekał się Newton posągu w stolicy, lubo będąc Anglikiem jest jednym z nieśmiertelników umiejętności. Pieniądze składane na fundusz Humboldta mają być wysłane do Berlina, aby tam służyły do rozwinięcia nauk przyrodzonych i dalekich podróży. To urządzenie jest jednem z tych, do jakich jużeśmy tu nieco przywykli. Nieraz kołatano do nas o popieranie różnych projektów na niemieckie cele: na fundusz Händla, na fundusz Mendelsona, na fundusz Szyllera, i inne tym podobne. W wielu razach złożyliśmy naszą kwotę, i przekonaliśmy się w końcu, że nasza cnota stała się jedyną dla nas i największą nagrodą. I mniejsza o to; bo taka była nasza fantazya a może taki humor, że w ten sposób działaliśmy. Ale niegniewalibyśmy się za to, gdybyż ten sam humor zakradł się i poza Ren. Byłoby to wdzięcznem, według nas, ze strony niemieckich komitetów, upraszających tylokrotnie o naszą sympatyą i nasze funty, gdyby pokazać nam mogli choć jeden literacki, muzyczny lub scientyficzny fundusz, pomnik albo obchód, do któregoby się z swoim datkiem, lub ich rodacy choć raz przyczynili. Pytamy przeto i radzibyśmy byli słyszeć, gdyby powiedział jeśli kto wie: Jaka istotnie suma przysłaną była nam z Berlina na posąg Newtona, któryśmy niedawno wznieśli dla niego w Grantham?“

---

## **Rzym** w listopadzie.

Niemasz zapewne miejsca w świecie, gdzieby Dzień Zaduszny — to smętne święto nieboszczyków — właściwiéj obchodzon był jak w Rzymie: Rzym zawdzięcza swój najpopularniejszy a może i najchlubniejszy tytuł téj wieczności, dokąd się zmarli przenoszą: zowie się on wiecznem miastem. Wieczne zaś miasto musi być

koniecznie miastem grobów, a pod tym względem zaprawdę Rzym nie lęka się porównania z żadną w świecie nekropolą. Jestto największy na ziemi smętarz; podwalinami jego są katakumby w których trupy spoczywają nad trupami jak warstwy ziemi w geologicznéj tablicy lub jak zioła w zielniku: każdy atom życia ma krocie zgonów pod sobą.....

Ciała ludzkie grubszą się tam podściołką posłały od jesiennego liścia w lasach; prawdziwemi gruzami téj ziemi są kości. Posiwiała ona od ludzkich prochów, poziom się od nich podwyższył i urosł; siedmioro wzgórz zgarbiło się i ugrzęzło w nich jak wóz w bagnisku, a dno rozdołów poczęło dorastać wierzchołka wyżyn: śmierć wypełnicielka jam grobowych nie cierpi nierówni.

Rzymianie stawiali niegdyś swe nagrobki nad pysznemi gościńcami, sadzili się na pośmiertną okazałość, mniemali że śmierć upowiną w swój marmurowy całun by się na ich pamięć nie targnęła; sądzili że nad drogą, którędy cały rodzaj ludzki przechodził, nieośmieli się zadać jawnego gwałtu ich imionom.... Ale prąd życia upłynął, imiona się poscierały, i tylko bezimienne zwaliska nagrobków pozostały nad pustym gościńcem jak kępy i ostrowy w korycie wyschłéj rzeki. W samym domu śmierci nie było im danem zamieszkać stale; śmierć zazdrośnica stłumiła ostatnią iskrę życia, którą jéj powierzano na to, ażeby nie zagasła.

Teraz zburzywszy kruchą nieśmiertelność z głazu i ze spiżu, jak sobie Rzym był utworzył, panuje ona wszechwładnie i niepodzielnie w mieście i za miastem, panuje w cyrkach i w amfiteatrach, na forum i na rostrach, w bazylikach i w świątyniach, pod tryumfalnemi łukami i wzdłuż bezwodnych wodociągów, w spustoszałych podsieniach i w termach, gdzie się jaszczurka na słońcu wygrzewa. Wieczność Romy jak ciężkie koło tryumfalnego wozu zmełło na proch i perzynę wszelki objaw życia; Roma cała podobna jest do jednego z tych ołtarzy walających się po jéj gruzach, na których pozostał jedynie ich wotywny napis: *Diis Manibus*.....

Życie nie może iść w parze z wiecznością: jakoż jest ono tylko przypadkowem zjawiskiem we wiecznem mieście, pasożytem pnącym się po tym ołtarzu....

Obraz tego nicestwa przeraża i gniecie: wśród zburzonego odmętu gruzów i kości myśl twa dotknięta zawrotem ażeby nie zwątpić o sobie saméj, paść musi w ramiona krzyża utkwionego pośród Kolosseum, jak jaskółka na pokład okrętu podczas burzy. Wyższym jeno duchom danem jest sterować na tem Martwem morzu ruin, wygrzebywać iskrę nieśmiertelności z tych popiołów, zaklinać i poprzysięgać te gruzy, tę głuszę, tę próżnię, te groby, ażeby się otwarły jak usta świadka i świadczyły o zmartwychwstaniu....

Duchy takie olbrzymich skrzydeł i orlego polotu czując iż grzęzną tutaj w prochach ludzkich jak w piaskach Sahary, iż im tutaj ziemia z pod stóp ucieka, iż trzeba przelecić na tamtą stronę grobu lub uwierzyć w nicestwo, rozskrzydlają się w nieskończoność: z tego to miejsca Dante roku 1300 podczas pierwszego jubileuszu wyruszył do Raju, i wzniósł się od tych prochów aż do gwiazd co nad niemi świecą, aż do samego podnóża tronu Bożego.

Z tego to miejsca jak Dant przez piekło przeszedłszy za życia Zygmunt Krasiński — ów Prometeusz serafickiego porządku związany w śmiertelnem ciele struną, która go brzmiąc raniła a raniąc dźwięczała, — ujrzał przedświt zmartwychwstania bielący się za rozpadłemi krużgankami Kolosseum i jak Ezechiel stojący nad kośnicą świata kazał kościom prorokować w téj cudnéj improwizacyi, z któréj kilka tylko wierszy przytoczyć możem niedomawiając onych, niby ucinki pieśni co echo powtarza:

Przechodniu! spojrzyj po rzymskiéj równinie
Co zostało z dumy:
Środkiem pustyni mętny Tyber płynie,
W okół zwalisk rumy.....

I tu chadzali w purpurze i złocie
Niesprawiedliwości,
A dziś ich świątyń marmury śpią w błocie,
Nad prochem ich kości.

I tu mawiali: Wytracim narody,
Roma jedna będzie!...

Patrz — po ich cyrkach jak pasą się trzody,
I bluszcz pełza wszędzie.....

A tchnęli rzymską tą siłą bez granic,
Co światu przykładem;
Lecz zmarli śmiercią, bo struli się na nic
Własnych zbrodni jadem.

Wyczytaj z gruzów téj kampanii Rzymu,
Że Ona nie zginie!
Moc bez miłości podobna do dymu:
Nie my — dym ten minie.....

Jak z tych Katakumb co leżą pod spodem
Krzyż wyszedł zwycięsko,
Zwycięskim z grobu wyjdziemy pochodem
Nieśmiertelni klęską!

Niechaj mi świadczy ten forum ludowy
W pusty zamienion parów,
Niechaj mi świadczą połamane głowy
Korynckich filarów ....

Niechaj mi świadczą te bogów posągi
Pryśnięte w kawały,
Te wieże, termy, łuki, wodociągi,
Przedziczałe w skały.

Niech mi te świadczą grobowce bez końca
Ze wzgórza na wzgórze,
Niech mi krąg świadczy italskiego słońca
Nad niemi w lazurze.

Niech wszystko świadczy tu zdala czy z bliska,
W górze czy w nizinie,
Światło niebieskie i ziemskie zwaliska,
Że Ona niezginie!

Że jest duch mściciel co z Bożéj zarady
Tkwi w dziejów głębinie,
Że giną fałsze, wiarołomstwa, zdrady,
Lecz Ona niezginie!.....

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .
. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Rzekliśmy że w Rzymie, gdzie odwieczna nieprzyjaciółka rodzaju ludzkiego tak przestronno panuje, Dzień Zaduszny jest patrońskiem świętem. Nie mówiemy tego jedynie w znaczeniu przenośnem, filozoficznem, ale w rzeczywistem. Rzym ma dziwny pociąg do święta nieboszczyków, po za obrębem nawet religijnego obowiązku, co zespala w jedno w dniu onym Kościół bojujący z cierpiącym Kościołem. Śmierć wywzajemniając się także swéj stolicy, nigdzie z takim cynizmem nie rozkrywa całunu, w który obwiniętym jest stary jéj kościotrup. Ażeby się o tem przekonać, dość jest zwiedzić smętarze rzymskie podczas oktawy Zadusznego Dnia, a mianowicie sklepy Bractwa Śmierci i Kapucynów. Ponury włoski zwyczaj żamienia je przez te dni żałobne w rodzaj okropnego teatru. Mrowie ci przebiega po skórze gdy tam wchodzisz, bo nastraszniejsze opisy Anny Radcliffe w *Tajemnicach Zamku Udolfa* albo w *Konfesyonale Czarnych Pokutników*, i najfantastyczniejsze pozaświatowe wybryki fantazyi Hoffmana niczem są w porównaniu z rzeczywistością jaką masz przed oczyma; i przeto kiedy się ztamtąd ratujesz ucieczką, zmora usiada ci na piersiach i dławi cię przez czas długi: mniemasz widzieć wkoło siebie to pląsające koło *Tańca Śmierci*, które pędzel Holbeina tylokrotnie i z takiem natchnieniem odwzorował....

Wyobraź sobie sklepy przestronne jak sale i przedstawiające podobieństwo do kościoła lub raczéj do pogańskiéj swiątyni. Strop opiera się na kształtnéj fryzie, na kapitelach i na kolumnach z grecka naśladowanych, w których przestworzu zdaje ci się widzieć misterne płaskorzeźby. Zbliżasz się tedy do nich, ale przebóg! zamiast płaskorzeźb i marmurów poznajesz, że ściany wykładane są ludzkiemi czaszkami, poznajesz że te fryzy — kości, że te nadsłupia — kości, że te gzemsy — kości, że te kolumny — kości: wszędzie dokoła kości, same ludzkie kości!

Kunszt sceptyczny czyli też głęboko wierzący igrał wszędzie ze śmiercią, wyrabiał ją, dłótował i szlifował, pieścił się z tem, co było niegdyś człowiekiem, jak z bryłą

marmuru, jak ze sztabą kruszcu, jak z kawałkiem słoniowéj kości, jak z kwadracikiem mozajki. Kunszt ten grabarski wdarł się jak upior do wiecznego odpoczynku zmarłych, usiłując zamienić rysy trupa znieruchomione widokiem wieczności w mizdrzącą się teatralną maskę, chciał dać zniszczeniu uśmiech, który jest tylko okropnem wykrzywieniem.

Sala ta rzęsisto jest oświecona: ze stropu, na którym kość ludzka zestrzela jak ponure źwierciadło balowe odblaski pozapalanych świec, zwieszają się pająki.... z obojczyków misternie osadzonych na dziecięcych żebrach. Żebra są także użyte jako naścianne świeczniki o kilku ramionach, a na każdem z nich utkwiona jest świeca. Inne znowu pająki naśladują starożytne lampy: na długim łańcuchu lub raczéj różańcu z ponawlekanych kłykciów i chrząstek, jak owe sznurki białych koralowych gałązek sprzedawane w Neapolu, wisi czaszka zamieniona w czarę oświetlenia, i przygrywająca w traiczny sposób do naszego potocznego przysłowia o oleju w głowie.....

Czasami lampa jest jeszcze misterniejszą: trupią głowę w całkowitości pozostawiono; czaszka jéj służy za dno i za olejne naczynie, a knot zapuszczon w otwory pali się pogrzebnym płomieniem w dziurach od nosa i ócz, zastępując straszliwie blask zgasłego na wieki spojrzenia. Na posadzce zaś stoją spore świeczniki, w których misternie zestawione pacierzowe kości tworzą kształtne postumenty rozkwitające u szczytu liściami z łopatek i ze szczęk gryzących próżnią obnażonemi zębami. Niekiedy kościotrup dziecka użyty jest za kupidynka utrzymującego świecznik wykonany w smaku epoki odrodzenia; dla wierniejszego naśladownictwa przypięto mu wijące się kędziory jasnych włosów do bladéj kościanéj skroni i przytwierdzono do ramionek wiotkich jak suche gałązki, skrzydła z kolorowego papieru naklejane złotym blichtrem.

Rzecz dziwna! uczucie rodzicielskie we Włoszech nie poczytuje bynajmniéj za zniewagę tego szkaradnego pogwałcenia zwłok dziatek swoich, kości z własnych kości; owszem — zgroza powiedzieć — ma sobie za zaszczyt takie figurowanie swych zmarłych niemowląt i podrostków w téj ohydnéj komedyi śmierci, którą bra-

ctwa rzymskie gorszą świat i obrażają godność ludzką..... Szkarada owa tak się głęboko wkorzeniła we włoskie obyczaje, iż niektóre z najprzedniejszych rodzin oddają trupy własnéj dziatwy na mozajkę do tego rodzaju pobożnych gabinetów anatomii, nieusprawiedliwionych nawet użytecznością i naukowym celem uniwersyteckim. Książęta Barberini dali swe zmarłe bliźnięta na mozajkę do Kapucynów; ojcowie dla wyrządzenia czci, nie powiadam już krwi, bo takowéj nie było, ale kościom, wprawili oboje w sufit swego sklepu dodawszy im książęcą koronę i rodzinne herbowe pszczoły na to zapewne, by jak Samsonowe robiły swój miód w ich otwartych szczękach.....

Inne znowu kościotrupy, aktorowie tego grobowego teatru, mają sobie porozdawane mniéj śmiejące role niż drobnych kupidynków z papierowemi skrzydełkami. Niektóre z nich wyobrażają samą śmierć w typie uwiecznionym przez ludowe podania i średniowieczne malowidła. Dla otrzymania zaś tego rodzaju podobieństwa nie trzeba było wielkiego zachodu: zarzucono kościotrupowi na śpiczaste ramiona biały całun udrapowany z teatralnym gustem w szerokie togowe fałdy, i dano mu do jednéj ręki kosę a do drugiéj klepsydrę, naginając niekiedy członki jego dla większego wdzięku i zgrabności jak gdyby śmierć leciała, a niekiedy wykręcając sztywne nogi kościotrupa jak gdyby śmierć dygała w menuecie..... Jestto słowem sławny jéj średniowieczny taniec, ale nie w obrazie lecz w uczynku, w straszliwéj sztuce przez szkielety granéj: brak tylko tego długiego szeregu żyjących, który Libityna skocznie za sobą pociąga w malowidłach Holbeina, tych królów i cesarzów w koronach, tych papieży w tiarach, tych biskupów w infułach, tych rycerzy w zbrojach i tych dziewic porwanych ze stopni ołtarza z pomarańczowym wiankiem na skroniach, którzy tną gęsiego w ślad za swą kosistą przewodniczką.....

Światło z tych żałobnych lamp i świeczników zlewa się na ściany, po których bieżą najfantastyczniejsze arabeski i floresy z ludzkich kości, najdziwaczniejsze piramidy z czaszek patrzące tysiącem próżnych óczw których się ciemność zbiera jak deszczowa woda.

Na tem tle żółtawem posępne oblaski rozświecają okropniejsze jeszcze trofea śmierci. Są to mumje nie obrane z ciała, kościotrupy z pargaminową skórą przyschłą do ich chropowatości. Mumifikacya padła na nie w rozlicznych kolejach śmiertelnego rozkładu.

Mnogie z nich są całkowite, doskonale dochowane, a blade te oblicza na których obraz życia pozostał gdyby barwa na zasuszonym kwiatku — jedynie jako rycina i fotograficzne odbicie — zachowują dotad wyraz, jaki miały przy zgonie, i wewnętrznym wzrokiem, pod spuszczoną na zawsze zaponą powiek, patrzą poważnie i nieruchomie w wieczność, i patrzeć nie przestaną dopóki się w proch nie rozsypią.

W innych straszna tajemnica pośmiertnych kolei naszéj znikoméj powłoki ukazuje się bez zasłon i w całéj swéj nagości: Śmierć jak ładna kobieta dała się zejść w negliżu, co urocze jéj kształty wyjawia żądnemu chłonącemu je oku.

Niektóre z tych twarzy na pół znikły jak szkic przepołowiony gąbką malarza; zniszczenie wytknęło na nich swoją granicę czarnem pasmem zgnilizny: z jednéj strony kość wolna od zwietrzałego i stoczonego ciała przełyskuje właściwym sobie szklistym połyskiem, bezdusznym glancem drewna, kamienia, martwéj rzeczy; z drugiéj zaś zarys Bożego podobieństwa pozostał jeszcze częściowo; ale śmierć pokrzywiła jego linie jak te nieumiejętne żaki co grubym ołówkiem pociągają z wierzchu kreski misternéj ryciny. Połowa ust zda się dotychczas wyrzekać niezrozumiałe jakieś półsłowo; na kawałku uschłego jak listek ciała kędzierzawi się dotąd włos w nieładzie zachowujący może jeszcze krętość, jaką mu nadało za życia perukarskie żelazko przed ucztą lub balem, w którym zgon niepamiętnego lub niepamiętną zaskoczył; brew jedyna jaka pozostała nie straciła harmonijnego swego łuku; ale oko wypłynęło i uschłe wisi na żyle jak zegarowe wahadło. Możnaby rzec że nieboszczyk oczy wypatrzył.....

Nie przesadzamy bynajmniéj: opisujemy tylko. Szczegół o wiszącem oku jest wiernie z natury przerysowanym. Niedowiarkowie za przybyciem swem do Rzymu niech go sami raczą sprawdzić. Znajduje się ono w pod-

ziemiu Kapucynów na placu Barberini, tam gdzie leży nasz książe Aleksander Sobieski, którego szczęściem na mozajkę i honorowe wiszenie na ścianie nakształt familijnego portretu użyć się wstrzymano.

W głębi zaś przystrojonéj i oświetlonéj w ten sposób sali otwiera się przez całą oktawę dnia zadusznego rodzaj żłobu lub raczéj teatru lalek. Te są wielkości naturalnéj, z wosku najczęściéj ulepione i przyodziane w drogie jedwabie i złotogłów. Treść tych grup najczęściéj jest wzięta z pisma św. Widać np. Rebekę dającą pić z konwi słudze swego narzeczonego, Judytę ucinającą głowę Holofernesowi, pojedynek Dawida z Goliatem, żonę Putyfara wabiącą Józefa do grzechu, i t. d. Lalkom tym pod względem artystycznego ugrupowania, udrapowania i sztucznéj piękności nic zarzucić niepodobna. Te nieraz sielankowe obrazy z życia pierwotnych patryarchów, te obyczajowe ustępy z pomiędzy palmy a namiotu, tchnące biblijną poezyą i świeżością, dziwnie odbijają przy okropnem widowisku co je zewsząd otacza. Nigdy niemogliśmy pojąć należycie ich związku z pamiątką zmarłych i z podziemiami, co im służą za widownię. Należy chyba przypuścić, że ta misterna wystawa figur ma na celu przyciąganie ciekawéj publiczności (albowiem sądzę, że pobożne dusze inne mają pobudki do nawiedzania smętarzy jak przypatrywanie się woskowym lalkom), i zabezpieczenie zmarłym za pomocą jałmużn okwitszych tam, gdzie większy zjazd ludzi, tego dla duszy spoczynku, którego bractwo śmierci biednym kościom odmawia, gdy je tak cynicznie rozgatunkowuje w mozajkach swoich.....

Zresztą przypisując bractwu Śmierci dzieło takowe i twórczość w tym przedmiocie, wyrządzamy mu cześć, jaka się należy niektórym tylko członkom jego, mistrzom nowego fachu i obrzydłego kunsztu: sąci bowiem we Włoszech, a mianowicie w Sycylii i w Rzymie (sztuka jak wszystko co wzniosłe i piękne miewa swe nadużycia) artyści od kości ludzkich, trudniący się wyłącznie połączeniem i zastosowaniem oddzielnych kunsztów Bramanta, Buonarottego, Celliniego i Zuccata do znikoméj części naszéj istoty, do gliny z któréj są ulepieni synowie Adama.

Gdzie indziéj takie rozpasanie artystycznéj fantazyi i kunszt przystojniejszy szakalom wygrzebującym trupy niż ludziom, zawiódłby tych panów do policyi poprawczéj; we Włoszech zaś zgadza się on przedziwnie z obyczajami narodu i z instynktem plastycznym lub, powiedzmy prawdę, grubo zmysłowym ścieleśniałych południowych plemion, w których zniewaga śmierci, jéj zgniła i obrzydliwa strona, toż czynienie trupów śmiesznemi, używane są jako bodziec do oderwania człeka od grzechu i do przypomnienia mu wielkich spokojnych prześwietnych i przepięknych tajemnic nieśmiertelności i chrześciańskiego wyrzeczenia się! Niecna ta komedya jest zakałą i sromotą dla tych, co ją wyprawują. Próżno albowiem jest myślić, iż podniesiem jedną cząstkę naszéj istoty przez poniżenie i sromotne ogołocenie drugiéj, że uszlachetnim siebie gdy z ciała uczynim nie służebnika ducha lecz błazna jego i niewolniczą małpę. Widok młodéj królowéj stoczonéj od robactwa po zgonie, mógł posłużyć św. Franciszkowi Borgiaszowi do opamiętania się, widok uciętéj głowy księżnéj de Montbazon, którą ubóstwiał, mógł stać się powodem panu de Rance do założenia zakonu Trapistów; ale biada tym, co przypadki takie zamieniając w regułę, używają zgnilizny i czaszek za podnietę do nawracania. Wszystko co jest szlachetnego, wolnego i niepodległego w człowieku oburza się przeciwko temu dziecinnemu straszeniu ludzkości. Strach był zawsze niefortunnym prawdy sprzymierzeńcem. W głębi duszy naszéj leży wieczna przeciw niemu protestacya i nieśmiertelny rokosz, jakich żadna w świecie inkwizycya nie okiełzna. Jedno spojrzenie na krucyfiks tysiące grzeszników nawróciło; nie słyszałem zaś nigdy, ażeby obrazy, których są pełne klasztorne cele i korytarze we Włoszech, i kędy widać latające smoki, buhające ognie i djabłów uwijających się z widłami około pościeli grzesznika, podobny skutek kiedykolwiek sprawiły. Zatrzymaliśmy się dłużéj może niż wypada nad tą rzeczą, albowiem uderzyła nas dążność do trwożenia, jaką się — w obecnych mianowicie czasach — odznacza pewien ponury ascetycyzm i nieroztropny mistycyzm, chętniéj się wczytujący w apokalipsę niż w pełne prostoty i cudownéj łagodności praktyczniejsze przepisy Ewanielii.

Poznaliśmy parę lat temu w Rzymie podobnego ascetyka. Byłto przedziwny typ tego rodzaju i na zawsze utkwił nam w pamięci. Miano go w całéj dzielnicy za świętego. Chcieliśmy się przekonać o téj świętości, bo cóż milszego w świecie jak ten promień łaski który czoła niektórych wybranych otacza przedśmiertną aureolą dobroci, cichości i niewypowiedzianéj słodyczy? Pośpieszyliśmy tedy do naszego cudotwórcy. Mieszkał on koło kolumny Trajańskiéj przy ulicy wiodącéj do bazyliki Konstantego, między nowym a starym Rzymem, na pograniczu życia i śmierci. Dom, którego był właścicielem, odznaczał się od wszystkich swych murowanych sąsiadów; był on nieochędożnym i groził upadkiem. Wapno co szerokiemi kiściami poodpadało było od facyaty, pokazywało nagą cegłę jak łachmany żebraka sprośne trędowate cielsko. Drzwi wiszące na jednéj tylko zawiasie i moknące w obrzydłem ściekowisku prowadziły do ciemnego korytarza, gdzie znajdowano omackiem przy końcu poręcz rozchwianych i dziurawych wschodów. Niewiadomo było, czy się wchodzi do mieszkania gospodarza, co się wszystkiego wyrzekł i żył po zakonnemu wśród marności wieku, czyli też do jednego z tych domów wątpliwéj sławy, gdzie niecni przedsiębiorcy przedają młodość i piękność za garstkę żółtéj ziemi.

Ale to wątpienie ustawało skoro się dochodziło do okienka rozświecającego trochę wyżéj wschody dwiema szybami, jedną szklaną a drugą papierową. Przy brudnym bowiem promieniu, jaki się z niego sączył, widać było z obu ston mnóstwo od much upstrzonych rycin i obrazów poprzyklejanych do ścian, które pod niemi wyglądały na połatany szlafrok. Kunszt świętokradzki gardzący pierwszemi zasadami malarstwa, perspektywy i proporcyi, rozwijał w nich długiem jak same wschody pasmem, piekielne katusze, kędy djabli zamienieni w kucharzy, cieśli, garbarzy, kowali, krawców, cyrulików, gotowali, smażyli i wędzili potępieńców, piłowali ich, płaszczyli na kowadłach, garbowali im skórę, krajali ją jak postaw sukna i robili im za pomocą piekielnych narzędzi różne operacye, którym ludzka chirurgia nie znalazła jeszcze imienia. Obok mąk piekielnych widać

było pokusy św. Antoniego i pustelników Tebaidy. Tam szatany przybierały znowu najdziwaczniejsze postacie, jakie wymarzyła kiedykolwiek połączona fantazya Owidyusza i Hoffmana, postacie smoków, chimer, pegazów, przedpotopowych potworów, skrzydlatych węży, sfinksów z obnażoną kobiecą piersią, centaurów, hippogryfów, kinocefałów, — albo też najlubieżniejsze formy i postawy starożytnych tancznic, odalisek, nimf i tych dziewic rzymskich, których czarowne wspomnienie trapiło i ścigało na puszczy św. Hieronima. W tych jednak niestwornych pędzla pociągach, była pewna grubiańska prawda, pewna cyniczna nagość, pewna *furia* włoska mściwego artysty, co jak Erostrates radby świat z ludzkością spalił w piekielnym ogniu, iż mimowolnie dreszcz cię całego przechodził..... Między obrazami wisiały krzyże i krzyżyki, i poprzybijane były różne drukowane sentencye — sygnaturki tych duchownych lekarstw — ściągające się co do jednéj do mąk piekielnych a nie wspominające nawet o raju.

Ale pośpieszmy powiedzieć kilka słów o samym gospodarzu. Był to sześćdziesięcio-letni starzec suchy jak mumia, w załojonéj czarnéj mycce, którą uchylał mrużąc oczy ilekroć pobożne jakie słowo wymawiał, w staréj wytartéj na łokciach odzieży trzymającéj środek między surdutem a habitem, kłaniający się bardzo nizko, składający ręce na piersiach i nie uśmiechający się nigdy. Trzymał on w ręku zamiast tabakierki starcom zwyczajnéj, figurkę ze słoniowéj kości osadzoną na hebanowym postumenciku, która słynną była w téj części miasta. Figurka ta przypominała wyobrażenie starożytnego Janusa: gdy ją właściciel pokręcił, przedstawiała z jednéj strony oblicze ślicznéj dziewczyny podobne do najmisterniejszych cacek w rodzaju tak zwanym *Pompadour;* ale za nowem obróceniem wychodziła na jaw straszliwa trupia głowa.....

Izba sama wysoka, ciemna i wilgotna, pełna była cuchnących wyziewów i par zbutwielizny. Ściany jéj od sufitu do podłogi znikały pod niezliczonem mnóstwem obrazków téj saméj treści co znajdujące się na wschodach i téj saméj artystycznéj wartości, bo człek ten brzydził się pięknem jak grzechem i hołdował wyłącznie szpetności i szkaradzie. Madonna wielkiego mistrza

zdała mu się pokusą. — Lubo zaś wszelki znak życia i piękności był ztamtąd wygnanym, uderzały koło obrazków krocie relikwiarzy, palm, różczek, szkaplerzy, różańców, kalendarzy ściennych zawierających imiona wszystkich świętych znajdujących się w martirologium, kropielnic, krucyfiksów różnych rozmiarów, a nawet dyscyplin i włosiennic. Krom tego trzy ołtarze w tym pokoju, jeden większy a dwa małe, na których paliły się lampy i gromnice jak przy umarłym.

Gdym starca powitał, ten zanim mię jeszcze usiąść poprosił, wyciągnął ku mnie kościstą rękę i obracając Janusa swego jak cygę, rzekł grobowym głosem:

— Młodzieńcze! patrzaj jakim jesteś a jakim wkrótce będzisz..... *Memento inferni!.....*

Dowiedziałem się niedługo, że ascetyk ów dawny lichwiarz chcąc wynagrodzić zatrzymanie cudzéj własności, która dotąd workami złota i srebra w jego kufrach się taiła, uczynił był ślub, iż nikomu nigdy pieniędzy nie pożyczy, ile że to pożyczanie omal że duszy jego do piekła nie wtrąciło. Bliscy jego krewni z głodu umierający nie mogli nigdy otrzymać grosza od bezdusznego Faryzeusza. Prawił on im z zimną krwią o niezbędności cierpienia i ubóstwa, ażeby się zbawić, i odpowiadał na łzy i zaklinania ulubioną swoję sentencyą:

— *Mementote inferni!* w piekle więcéj cierpieć będziecie jeśli się tam dostaniecie przez niepowściągliwe używanie dóbr ziemskich!

Ale dla odwrócenia ócz naszych od tych ponurych widoków i dla weselszego rozstania się z wami, winienem przed zamknięciem niniejszego listu zaprowadzić was na chwilkę na wieką *tombolę*, jaka 7go listopada miała miejsce w willi Borghese.

*Tombola* czyli loterya pieniężna uznana urzędownie przez wszystkie rządy Półwyspu, stanowi jeden z najwybitniejszych rysów narodowego charakteru. Ma ona całą ważność politycznego wypadku. Kto widział giełdowych kulisierów w Paryżu, ten tylko może mieć wyobrażenie o nawalnicy namiętności jaką wzbudza. Loterya bywa dwojakiego rodzaju; jedna stała i ciągniona kolejno co tydzień w jednem z głównych miast włoskich; druga nadzwyczajna i używająca *per excellentiam* miana *tomboli.*

Na téj to odmiennie urządzonéj ktoś z biorących w niéj udział nieodbicie wygrywa, co rzadko się nader zdarza przy tygodniowem ciągnieniu pierwszéj. Stawka na *tomboli* rzymskiéj rzadko bywa niższą od tysiąca szkudów (10,000 zł. pol.). a częstokroć wyższą. Wprawdzie na tamtéj wygrać można do 40,000 szkudów, jak to się zdarzyło we Florencyi hrabinie D. z Galicyi, a nawet więcéj, ale to są wyjątkowe wypadki.

Owóż loterya i tombola należą do głównych potrzeb włoskiego żywota. Bez nich żywot ten dla wielu, dla większości zapewne byłby smutnym, opuściałym, ścieśnionym ze wszech stron, bez widoku na przyszłość, bez czarodziejskiego widnokręgu, gdzie marzenie swobodnie bujać może, bez nęcących w dali *fata morgana*. Byłby on puzderkiem Pandory, ale bez nadziei na dnie. Loterya i tombola uprzyjemniają go, zdobią tysiącem powabnych pozorów, dodają mu idealności i skrzydeł. Są one podstawą tysiąca urojonych losów, zawodów, pragnień ba, pewnych siebie kalkulacyi. — Młodzieniec ten naprzykład opiera na téj zasadzie cały gmach z *Tysiąca Nocy i jednéj*, na szczycie którego widzi się jak Cezar w apoteozie otoczon blaskiem, znakomitemi stosunkami, czcią ludzi, godłami wysokich dostojeństw. Panienka ta bez posagu (a mające posag Włoszki nawet po szlacheckich domach są wyjątkowemi zjawiskami na Półwyspie, gdzie niemal wszędzie istnieją fideikomissa, a mianowicie we wiecznem mieście, gdzie statystyka, jak zapewniają, liczy $7\frac{1}{2}$ kobiet na jednego mężczyznę), panienka ta, powiadam, wié prawie na pewno, że nigdy za mąż nie wyjdzie jeśli nie wygra sporego *terno* lub *quinterno*.

Tak tedy wygranie ono jest wiecznem *desideratum* wszelkiego Włocha, któremu losy nie dały stu tysięcy rocznéj intraty. Książęta nawet rzymscy uporczywie grają, — ale sprawiedliwem rozrządzeniem Opatrzności nie wygrywają nigdy.

Pomocnikami zaś i doręcznikami do wygrania są senniki leżące u każdéj prawdziwéj Rzymianki obok książki do pacierza.

Nic sobie wystawić nie można bardziéj ożywionego i zgiełkliwego jak ciągnienie Tomboli. Tysiące ludzi z biletami w ręku, które znaczą coraz ołówkiem lub szpil-

kami, jak *minenti* używające na to sztyletów co tkwią w ich warkoczach — oczekują z biciem serca ukazania się każdego nowego numeru i burzą się jak fale kiedy wychodzi. Wszystko to się odbywa pod gołem niebem, albowiem żadna sala nie mogłaby pomieścić trzydziestu i więcéj tysięcy, co uczestniczą w tomboli. Wygrywający podobnym bywa do starożytnego augura nawiedzonego przez bóstwo: skacze on i pieni się, przedziera się przez tłum wściekle go rozpychając, wywracając wszystko po drodze, i wrzeszcząc żołądkowym głosem: *Ho vinto!* wygrałem!.....

Częstokroć ten zapał zamienia się w straszliwą rozpacz, gdy po sprawdzeniu biletów pokazuje się że się nasz bohater omylił!.....

Tą razą tombola wspólnie wygraną została przez kucharza, który od trzech miesięcy znajdował się bez miejsca, *a spasso* (u Włochów bowiem człek bez obowiązku lub posady nazywa się przez grzeczność człekiem używającym przechadzki), i przez żebraka, którego ta niespodziana korzyść utwierdzi zapewne w żebraninie, najpopłatniejszem, jak wiadomo, rzemiośle w Rzymie, gdzie przemysł nie istnieje, a gdzie żebracy miewają do 50,000 szkudów kapitału i dają po sto tysięcy zł. pols. posagu córkom (córki żebraków są jedynemi posażnemi we Włoszech pannami), jak to uczynił ów żebrak bez nóg siedzący na wschodach kościoła *Trinità de' Monti*, którego znają wszyscy co byli we wiecznem mieście.

*P. S.* Jeszcze słówko o smętarzach. Po napisaniu już tego listu zaszliśmy spacerem do św. Jana Lateraneńskiego i niewymowne ujrzeliśmy tam okropieństwo.

Grobowy teatr w sklepie szpitalnym urządzony przedstawiał jak zawsze biblijny fakt: „Śmierć pierworodnych“. Woskowi rodziciele z wyrazem rozpaczy przedziwnie naśladowanym załamywali ręce nad zwłokami swych dziatek dotkniętych mieczem anioła wyniszczyciela. Dla uczynienia zaś téj sceny tkliwszą i dramatyczniejszą, na pierwszym planie zamiast woskowéj figury jednego z pierworodnych, umieszczono świeżego trupa! Był to biedny młodzieniec zmarły w przeddzień na suchoty. Że zaś ciało takowe długo leżeć nie może i rychło cuchnąć

poczyna, zastępują je codzień czyli też co dwa dni nowymi pierworodnymi, których szpital dostarcza temu obmierzłemu teatrowi!

Uczucie europejskie winnoby się oburzyć na takie okropne igranie ze śmiercią.

---

poczyna, zastępują je codzień czyli też co dwa dni nowymi pierworodnymi, których szpital dostarcza temu obmierzłemu teatrowi!

Uczucie europejskie winnoby się oburzyć na takie okropne igranie ze śmiercią.

---

# GAZETKA LITERACKA.

**Kraków.** Biblioteka polska wydawana przez K. Turowskiego następujące ogłosiła przedruki: *Pisma* ks. Szymona Starowolskiego. W 3 zeszytach mieści się tu jego *Roformacya obyczajów polskich*, dzieło parę razy przedrukowane; lecz mimo tego nie tak rozszerzone, aby to nowe wydanie nie było bardzo pożądanem. Następnie w jednym zeszycie pod tytułem: *Pisma Mikołaja Ligęzy*, jest to *Votum* tegoż Ligęzy miane w senaacie na sejmie koronacyjnym Władysława IV. Takie i tym podobne *Vota* o tyle są ważne, o ile stają się ważnym przyczynkiem historyi, lub wzorem osobliwéj wymowy — a tu ani jedno ni drugie niezasługuje na tytuł: Pisma Ligęzy, jakby mowa była o jakiem wielkim dziele tego nieznanego autora. W tymże zeszycie mieści się mała broszura: *Exorbitancya i naprawa koła poselskiego* p. ks. Stanisława Karnkowskiego (1595) i druga: *Senteneya* tegoż ks. Karnkowskiego o cdjeździe króla do Szwecyi. Zamiast urywkowych tych broszur, wolelibyśmy mieć razem zebrane i wydane pisma Karnkowskiego duchowne i polityczne — to jużby miało poważne znaczenie w literaturze. Niemożna zganić przedruku *Historyi Stefana Czarnieckiego* przez ks. Krajewskiego, bo lubo ta książka dość słabą jest pod względem dzisiejszych poszukiwań historycznych, ale cała tchnie ogniem rycerskiego ducha który podnosi serca młodych czytelników. Niebawem mają wyjść Warianty do Paprockiego Herbarza z ułożonym do niego Skorowidzem, co bardzo ułatwi szukanie.

Wydawnictwo katolickie w osobie p. W. Wielogłowskiego przedsiębierze od nowego roku ogłaszać nowe pismo tygodniowe pod tytułem: *Ognisko* poświęcone interesom rolnictwa, przemysłu, handlu, sztuk i rzemiosł. Cena roczna 8 złr.

W drukarni Czecha wyszedł 3 i tom dzieła: Historya wymowy w Polsce przez Karola Mecherzyńskiego. W tomie tym mieszczą się następujące przedmioty: Okres czwarty. Epoka Jezuicka

od połowy 17 wieku do reformy Konarskiego. W okresie tym rozdział 1szy traktuje o wymowie politycznéj i przebiega pisma Jerzego Ossolińskiego, Jakuba Sobieskiego, Stefana Paca, Andrzeja Olszewskiego, Pawła Piaseckiego, Krzysztofa Opalińskiego, Grzymułtowskiego, And. Max. Fredra, Pawła Potockiego i wielu innych — w Rozdziale o wymowie religijnéj. Jakuba Olszowskiego, Mijakowskiego, Drużbickiego, Najmanowicza, Makowskiego, Lorencowicza, Alexandra a Jesu, Czartoryskiego, Młodzianowskiego, Trzebickiego, Frydrychowicza, Załuskiego, Bardzińskiego, Mojeckiego, Moczydłowskiego, Herki i innych. W Rozdziale 3cim historya wymowy sądowéj — w Rozd. 4tym wymowa przygodna — w Roz. 5tym Szkoła wymowy. Krasomowstwo — gdzie autor przebiega prace Kwiatkiowicza, Duczymińskiego, Cieleckiego, Temberskiego, Cynerskiego, Oślińskiego, Steczkowskiego — Warszawczyka, Piotra z Poznania, Kojałowicza, Tylkowskiego i t d.

W drukarni Uniwersyteckiéj wyszedł *Rocznik* Tow. Naukow. Krakowskiego, poczet trzeci tom 3ci mieści następujące przedmioty: Mowa Fr. Wężyka prezesa T. N miana dnia 26 lut. 1859 r. *Poezya*: Scen kilka z dramatu Bezkrólewie p. F. Wężyka. Zdanie sprawy komissyi wyznaczonéj celem sprawdzenia doświadczeń Dra Dropsego we względzie jego sposobu użycia elektryczności w zastosowaniu lekarskiem przez. Dra Majera. Obraz czynności kom. Balneologicznéj w r. 1858 skreślił p. Skobel. Czynności kom. Balneologicznéj w r. 1859. Badanie plam krwawych sądowo-lekarskie, ze szczególném uwzględnieniem w téj mierze heminy i użytku wodanu potasowego, przez profes. Dr. J. Majera. Przegląd Flory okolic Krakowa przez Felixa Berdau. Z oddziału Biblioteki Naukowéj wydawanéj staraniem i kosztem Tow. Naukowego wyszła 3cia część Elementarnego wykładu Matematyki przez prof. Uniw J. K. Steczkowskiego obejmująca Geometryę analityczną wraz z liniami i powierzchniami krzywemi drugiego rzędu.

**Rzeszów**. U Pellara wyszły następujące książki: *Eudoksya Czartoryska* księżniczka na Klewaniu, powieść historyczna udramatyzowana w sześciu obrazach przez Aleksandra Ładnowskiego, oraz przez tegoż samego: *Fraszki, Stefan z Pokucia* i *Berek zapieczętowany*, ze sztuk tych grywanych na naszéj scenie utrzymała się z powodzeniem farsa: Berek zapieczętowany.

**Lwów**. Zawiązane tu przed rokiem Towarzystwo Sgo Wincentego wydało: Ustawy Towarzystwa Sgo Wincentego a Paulo. Lwów — w drukarni Zakł. nar. im. Ossolińskich. Książka ta zawiera, oprócz Ustaw Towarzystwa, objaśnienie o odpustach przez stolicę apostolską, członkom i dobrodziejom Towarzystwa udzielonych; mowę Ojca św. Piusa IX, którą miał 5go Stycznia 1855 r. w Rzymie na walném zgromadzeniu Towarzystwa Sgo Wincentego a Paulo, upoważnienie JW. Najprzewielebniejszego administratora archidyecezyi Lwowskiéj do zawierania konferencyi we Lwowie, tudzież sprawozdanie téj konferencyi odczytane na walnem zgromadzeniu d. 13 marca 1859 r. Cztery arkusze druku w 16ce.

Henryk Szmitt ogłosił drukiem: Rzut oka na stosunek praw przyrodzonych społeczeństwa ludzkiego do stanowiska żydów w Polsce. Obejmuje druku arkuszów trzy i pół w 8ce.

Wyszedł temi dniami w osobnem odbiciu: Sowiński, przez Teofila Lenartowicza. Poeta opisuje szturm Woli, zdobycie kościołka przez Moskalów w r. 1831 i śmierć Sowińskiego — wiersz napisany w sposobie *Reduty Ordona*, bardzo ją przypomina, i stanowi niejako dopełnienie niezrównanéj piękności Mickiewiczowskiego wiersza.

M. Manieckiego wyszedł nakładem tegoż: Dzierżanowski, dramat w 5ciu aktach, przez J. Szujskiego. Dramat ten był w początku b. r. umieszczony w Dzienniku literackim.

Tutejsza izba handlowa wydała po niemiecku: Sprawozdanie handlowo przemysłowéj izby Lwowskiéj, podane wysokiemu c. k. Ministerstwu handlu, rzemiosł i robót publicznych, wyjaśniające stan handlu i przemysłu w obwodzie Kameralnym Lwowskim w latach 1854—1855 i 1856. Lwów str. 137 w 8ce. Książka ta napisana w skutek obowiązku izby handlowéj zdawania co trzy lata raportu ze swych czynności i ze stanu handlu i przemysłu w rówincyi, zawiera dokładnie zebrane daty statystyczne dotyczące stanu rolnictwa, przemysłu i ruchu handlowego w téj części wschodniéj Galicyi. Wykaz przywozu i wywozu płodów surowych i innych towarów — stan fabryk znajdujących się w tymże okręgu. Wykaz środków komunikacyjnych i innych w Galicyi ułatwiających obrót handlu. W końcu swego sprawozdania podaje izba w dziesięciu punktach spis ulepszeń koniecznych według niéj dla podniesienia bogactwa krajowego w Galicyi, jako takie wylicza mianowicie: zmianę praw wekslowych, nową ustawę rzemieślniczą, uspławnienie rzek Dniestru, Bugu i Sanu, zaprowadzenie szkół realnych w miastach obwodowych i t. d. Szkoda że izba handlowa nie wydała książki téj w języku polskim.

**Wiedeń.** Wyszedł zeszyt 8 na miesiąc sierpień Żywotów Św. Piotra Skargi — nakładem OO. Mechitarystów — pod przewodnictwem X. Maniewskiego Kantantego.

**Cieszyn.** Nakładem i czcionkami Karola Prochaski księgarza i drukarza wyszło dzieło: *„Tomasza z Kempis o naśladowaniu Chrystusa Pana ksiąg cztery; z łacińskiego przełożył i wydał X. Józef Guziur do czego przyłączył zbiór modlitw i pieśni najużywańszych“.* Wiekopomne to dzieło nie wiedzieć w którem już ukazuje się tłómaczeniu polskiem: Co do wydania zewnętrznego, wszystkie zalety przytoczyć o niem można. Zasługa i ztąd równie dla p. Prochaski że stronę opuszczoną zasila wydaniem dzieła pobożnéj treści i niezachwianéj powagi, bo nawet uświęconéj. — O wyjściu bardzo ozdobnym *Katedry Kujawskiéj* donosiliśmy w zeszycie przeszłomiesięcznym.

**Chełmno.** W drukarni Karola Brandta wyszła zajmująca rozprawa: O wykształceniu w języku łacińskim przez Stanisława Węclewskiego napisana pod tytułem: *De Polonorum cultu et humanitate XVI et ineunte XVII saeculo exteris testibus et arbitris advocatis. Culmae 1859.* w 4tce str. 52 (Świadectwa cudzoziemców o wykształceniu i uprzejmości Polaków w XVI i na początku XVII wieku.) Pracowicie w pisemku niniejszém zestawione cytaty zbyt jawnie okazują, w jak zaszczytnéj Polacy u cudzoziemców w owych wiekach byli reputacyi, co autor własnemi słowy najznakomitszych uczonych ak np. Justa Lipsiusa, Erazma

Roterodmczyka, Pawła Manucyusza, Antoniego Mureta, Jakuba Sadoleta, Juliusza Pogiana, Michała Brutą. Eryka Puteana, Filipa Beroalda i t. p. stwierdza.

**Wrocław.** Nakładem księgarni Edwarda Trewendt wyszło dziełko pod tytułem: *Wzory stylu romańskiego i gotyckiego z Wrocławia i Trzebnicy przez Dra Hermanna Luchs* (Romanische und gothische Stilproben aus Breslau und Trebnitz) w 4tce str. 42 z 3 tablicami litogr. Dziełko to obejmuje treściwy i wielce nauczający pogląd na dzieje i charakterystykę sztuk pięknych w średnich wiekach. W oddziale pierwszym skreślił autor (znany już poprzednio zaszczytnie z pisma: „O niektórych średniowiecznych pomnikach sztuk pięknych" w r. 1855 ogłoszonego) główniejsze zarysy dawnéj bazyliki chrześcijańskiéj o az właściwości stylu romańskiego. W oddziale drugim i trzecim opisał charaktery gotyckiego budownictwa, malarstwa i rzeźbiarstwa; przy czém teoretyczne zasady objaśnił przykładami i wzorami jakie mu starożytne świątynie w Wrocławiu i Lignicy hojną ręką książąt piastowskich wzniesione dostarczyły. Dla nas mianowicie dzieło p. Luchsa nader jest ważném i nauczającém, ponieważ przez Szląsk sztuki piękne z zachodu ku nam się posuwały. Między innemi znajdujemy wyobrażenie i opis kubka szklannego św. Jadwigi przechowanego w archiwum ratuszném miasta Wrocławia kształtem swym zupełnie podobnego do owego jaki posiada bogaty skarbiec katedry krakowskiéj. (Ob. Wzory sztuki średniowiecznéj w dawnéj Polsce. Warszawa 1855. Seria II. zeszyt I. Tabl. 2).

**Poznań.** Nakładem księgarni J. K. Żupańskiego wyszło małe lecz treściwe dziełko Dra Teofila Mateckiego: *Domowa apteczka* w 8ce str. 51, które z powodu swéj użyteczności i łatwo dostę nego wykładu w żadnym nie powinno zbywać domu.

Taż księgarnia wydała utwór bezimiennego autora (K Zubowskiego) *Dwór pański*, obrazek dramatyczny w trzech aktach, z podań gminnych napisany. Dramat ten był już przedstawiany na niektórych scenach prowincyonalnych.

Nakładem Towarzystwa przyjaciół nauk poznańskiego wydano wielce zajmującą pracę Leona Weynera pod tytułem: *Jan Ostroróg* doktor obojga prawa, Wojewoda poznański i jego pamiętnik na zjazd walny koronny za króla Kazimierza Jagiellończyka o urządzeniu Rzeczypospolitéj ułożony (1450—1501).

**Warszawa.** W listopadowym zeszycie Biblioteki warszawskiej mieszczą się następujące artykuły.

Ryszard III. tragedya Szekspira Przekład Józefa Paszkowskiego

Rys historyczny opery polskiej poprzedzony szczegółowym poglądem na dzieje dramatu muzycznego w Europie, napisał Maurycy Karasowski, Warszawa 1859 r. Przez Kazimierza Kaszewskiego.

Przegląd krytyczny rozporządzeń tak zwanego Statutu Wiślickiego podług przedmiotów ułożony, z uwzględnieniem poprawnej wersyi w dziele p. Z. A. Helcla podanej i z ocenieniem zdobyczy naukowych przez jego badania osiągniętych. Napisał Aleksander hr. Stadnicki. — Literatura współczesna w Niemczech.

Kolej trudów i namyślań jakie człowiek pokonać musiał nim z hieroglifów to jest z pisma obrazowego, przyszedł do pisania głosów i brzmień czyli dźwięków przez Feliksa Żochowskiego.

Kronika paryzka literacka, naukowa, i artystyczna Fryderyk Lemaitre.— Macocha dramat Balzaka.—I Capuletti i Montecchi opera Belliniego. — Legenda wieków Wiktora Hugo. — Historya literatury francuzkiej podczas rewolucyi pana Gerusez. — Kilka uwag do artykułów o klassyfikacyi czyli rozdzieleniu szacunku między wierzycieli w razie zbiegu hipotek specyalnych z ogólnemi.— Poezye. Piosnki Beranżera. Me powołanie — Ptaki — Moja suknia — Krawiec i wieszczka — Dziewica ludu. przez Juliana S.... Kronika literacka. O dwokrotnem zamęzciu księżniczki Ludwiki, Karoliny Radziwiłłówney i wynikłych ztąd w Polsce zamieszkach (Przyczynek do dziejów panowania Jana III.) napisał Antoni Zygmunt Helcel. Kraków 1857 przez Juliana Bartoszewicza.— La Déffaicte des Tartares et Turcs faite par le Seigneur Jean Zamojski Chevalier et Capitaine géneral de la couronne de Pologne. Paris J. Techener. Libraire. Rue de L' arbre. sec MDCCCLIX. Przez Juliana Bartoszewicza.— Zbiór śpiewów polskich z towarzyszeniem fortepianu kompozycyi Fryderyka Chopin. Ułożony z manuskryptow orygi-nalnych i wydany przez J. Fontanę. Warszawa. Rękopism Królodworski. Orędowniczka ziemi naszej. Wiersz Michała Jeziers-kiego. Odessa 1856. Wiadomości z nauk. Chemia przez I. B., Korrespondencya o drogach żelaznych w zachodnich guberniach, i stosunku ich do głównej sieci rosyjskich kolei żelaznych przez Ł. Borzenckiego.

**Wilno.** Księgarnia Józefa Zawadzkiego, już ukończyła w druku J. mera: „Podróży do Włoch,“ tom drugi, oraz wydanie w dwóch tomach zbioru poezyj Włodzimierza Wolskiego.

Redaktorka „Czytelni Niedzielnéj,“ pani Aleks. Petrowowa uwzględniając ważność i użytek tanich świstków i broszurek straganowych, przekonana, że one potrafią się przedrzéć tam niezawodnie, gdzie „Czytelnia“ jeszcze przystępu nie ma — postanowiła zająć się staranném wydaniem przystępnych utworów pisarzy polskich i rozprzedaży jaknajtańszej za pośrednictwem straganów.

— P. Aleksander Połujański, po wydaniu zajmujących Wędrówek po gubernii augustowskiéj, zamierza w podobnéj formie i rozmiarach skreślić opis gubernii płockiéj. Z serca pochwalamy ten piękny pomysł, a szanowny autor za pracę tak użyteczną znajdzie wdzięczność rodaków. Dwa te opisy będą miały organiczną całość z sobą, bo większa część ludności tych dwóch gubernij są jednoplemienne, jak Mazurów i Kurpiów z małemi odcieniami. Prosimy autora, ażeby pilnie śledził charakterystykę ludowę tak w podaniach, zwyczajach, jak obrzędach i pieśniach, a zarazem nie zaniedbał zwrócenia starannéj uwagi na język i zwroty szczególne jego i przysłowia ludowe. Przy licznych stosunkach i pomocy współobywateli może w téj rzeczy p. Połujański wielkie oddać przysługi tak dziejom wewnętrznym jak i literaturze ojczystéj.

— Nakładem księgarni G. Gebethnera i Spółki wyszła książka do nabożeństwa p. n.: „Cicha łza chrześciańska“. Druk duży i czysty, wydanie staranne, przytém cena dostępna obok wysokiéj wartości samego dzieła, zapewniają prędki pokup i upowszechnienie.

**

— Druk tomu III „Historyi literatury polskiéj w zarysach“ K. Wł. Wójcickiego, w drugiém poprawném i powiększoném wydaniu w ciągu listopada r. b. opuści prasę drukarską. Nakładca G. Sennewald trzy te tomy wyda w r. b.; ostatni obejmujący okres od r. 1825 do 1858 ukończonym zostanie w początkach roku przyszłego.

— Zbiór kompletny pism zmarłego Jana Nepomucena Kamińskiego, zasłużonego dobrze równie w literaturze jak i w utrzymaniu sceny narodowéj w Galicyi, zacznie wkrótce wychodzić w Warszawie. Z pomiędzy licznych prac zgasłego męża, wydawcy (syn ś. p. J. N. Kamińskiego artysta opery i p. Ludwik Pietrusiński przyjaciel zmarłego) wybiorą te, które odznaczają się wyższą wartością: wiadomo bowiem, że ś. p. J. Kamiński, jako dyrektor teatru lwowskiego dla podtrzymania sceny narodowéj musiał nieraz i mniejszéj wartości utwory tłumaczyć, przerabiać lub naśladować, ażeby zwabiać słuchaczy. Nowe wydanie, o którém mówimy, będzie w ten sposób urządzone, że kto zechce, może albo całkowity zbiór nabyć, lub też pojedyncze tomy czy to poezyj, czy pism prozą lub tłumaczonych dramatów. Obszerny życiorys pióra L. Pietrusińskiego pomieszczonym zostanie na czele tego wydania wraz z portretem zmarłego pisarza.

— P. Józef Gluziński, którego badania nad ludem lubelskim równie ważne jak zajmujące umieścił K. Wł. Wójcicki w swojém „Archiwum domowem,“ wydał dziełko p. n.: „Drobnostki gospodarskie z własnego czterdziestoletniego doświadczenia spisane Alfabetycznie przechodzi różne przedmioty, mające związek z gospodarstwem wiejskiém; daléj „w apteczce domowéj“ podaje z krajowych roślin wszystkie, które w niéj znaléźć powinny miejsce, opisuje ich skutki lekarskie: następnie przedstawia „Terminologią“ wyrobów towarnych w lasach Wołynia: zamyka dziełko swoje rozprawą. „O ptastwie dzikiém na Podolu,“ przechodzi także alfabetycznie każde szczegółowo i kończy: „Tablicą przylotu i odlotu dzikich ptaków na Podolu“. „Pobudką do powyższego opisania ptaków, (jak wyraża p. Gluziński) najznajomszych na Podolu, jest p. Gustaw Belke z Kamieńca Podolskiego, bardzo znany miłośnikom przyrody, który teraz jest zajęty ornitologią, któremu wszyscy w czém kto może pomagać winniśmy, a który gdyby był w stanie zebrać szkielety wszystkich naszych ptaków do pięknego swojego gabinetu, mógłby otworzyć nowe pole do dalszych badań podobieństwa i różnicy rodzajów i gatunków, jakotéż natury zwierząt napowietrznych czyli latających. On do swych wielu wiadomości potrzebował od nas rzeczy o przylocie i odlocie, a także o niektórych przymiotach niektórych téż ptaków. W zamiarach swoich nam znanych pan Gustaw Belke nie mniejszéj jest zasługi jak p. Wiktor Kozłowski, który jeszcze w r. 1835 na wiosnę w gubernii lubelskiéj w lasach ordynacyi Zamojskiéj i na polach zaczął zbierać jaja różnych rodzajów i gatunków ptaków, a tych miał około 140 egzemplarzy z gniazd całych, za które nawet drogo płacił. Trzeba było widzieć ówcześnie starego wojaka i znakomitego leśnika, z jaką starannością on przebijał w tych jajach dziureczki szpilką i wydmuchiwał skorupki częstokroć zalęgnięte, niezrażony żadnemi trudnościami i nieprzy-

jemnościami, dla rozszerzenia naukі. On to rzucił się był w nowy odmęt ornitologii, a po charakterze skorupek jaj w r. 1837 posłał 130 gatunków jaj ptasich uniwersytetowi petersburgskiemu ze stosownemi napisami. Wielką byłoby szkodą dla literatury krajowéj, gdyby pisma jego z pomysłów szczególnych nie ogłoszono drukiem, a badania jego nie doszły do wiadomości publicznéj.

— Encyklopedyi powszechnej mamy już 6 zeszytów: przed Nowym Rokiem czytelnicy otrzymają kompletny tom pierwszy, złożony z 63 arkuszy ścisłego druku. Litera A obejmuje większą połowę 2go tomu już wydrukowanego; zdaje się, że z literą B złożą trzy tomy: z ostatniéj bowiem litery, wielka ilość jest artykułów, dotyczących wyłącznie Polski. Z najściślejszego obliczenia wnosić możemy z całą pewnością, że całość Encyklopedyi Powszechnéj, nie przeniesie wyżéj nad 20 tomów, tak jak to prospekt wydawcy zapowiedział. Z ukazaniem się pierwszych poszytów zgłosiło się wielu chętnych nowych współpracowników, którzy grono na czele pierwszego tomu wymienionych, znacznie powiększą.

— Nakładem księgarni Michała Glücksberga, wyszła w 4ch tomach powieść J. I Kraszewskiego p. n. „Resztki życia.“ Drukowana dawniéj w odcinku Kroniki wiadomości krajowych i zagranicznych, teraz w oddzielném wydaniu ogłoszona. Nakładem tejże księgarni wyjdzie wkrótce przekład dzieła M. H. Baudrillar'ta: „Manuel d' Eco. nomie politique.“ Paris 1857 r., w jednym tomie.

**Petersburg.** Księgarz i typograf B. M. Wolff w Petersburgu, który dał nam już tyle dzieł ważnych, w r. b. ma wydać: 1) Kobierzyckiego, panowanie Władysława IV, przekład W. Kalinki w 2 tomach. 2) Żywoty Św. X. Piotra Skargi w 2 tomach. 3) Śpiewy historyczne J. U. Niemczewicza, wydanie illustrowane według rysunków J. Kossaka. Poprzednio B. M. Wolff wydał podręczną i tanią edycyą tych śpiewów bez nut i rycin: obecna edycya, będzie z całym przepychem typograficznym wydaną. 4) Sto bajek Stanisława Jachowicza z rysunkami Wojciecha Gersona. 5) Pamiętniki Załuskiego, wydane przez Juliana Bartoszewicza w 4ch tomach. Z pięciu wielkich foliałowych tomów listów Załuskiego, ułożone te pamiętniki: praca ta mozolna, zajęła mu kilka lat czasu. Powziął tę myśl J. Bartoszewicz dlatego, że dając proste tłumaczenie tych listów, nie uniknąłby niepotrzebnych powtarzań, rozrzuconych faktów: chciał tę zamieszkę zwyczajną w listach uporządkować, fakt każdy w całości przedstawić, i dzieło dać prawdziwéj wartości, tyle ważne dla dziejów ojczystych, w krytyczném wydaniu.

— Komedya Apollona Korzeniowskiego p. n. „Dla miłego grosza,“ która otrzymała na premium Żółkowskiego *accessit*, wychodzi z drukarni i nakładem Józefata Ohryzki w Petersburgu.

**Paryż.** Otrzymujemy wiadomość, że poezye Stefana Garczyńskiego, przyjaciela Adama Mickiewicza, które wyczerpane zostały z handlu księgarskiego, w nowém wydaniu ogłoszone wyjdą wkrótce z pod prasy drukarskiéj, w jednym tomie w 8ce.

Ant. Kłobukowski Redaktor odpow. — Ant. Rother rządca druk.

jemnościami, dla rozszerzenia nauki. On to rzucił się był w nowy odmet ornitologii, a po charakterze skorupek jaj w r. 1837 posłał 120 gatunków jaj ptasich uniwersytetowi petersburgskiemu zastosowanemi napisami. Wielką byłoby szkodą dla literatury krajowéj, gdyby pisma jego z pomysłów szczególnych nie ogłoszono drukiem, a badania jego nie doszły do wiadomości publicznéj.

— Encyklopedyi powszechnéj mamy już 6 zeszytów: przed Nowym Rokiem czytelnicy otrzymają kompletny tom pierwszy złożony z 63 arkuszy ścisłego druku. Litera A obejmuje większą połowę 2go tomu już wydrukowanego; zdaje się, że z literą B złożą trzy tomy: z ostatniéj bowiem litery, wielka ilość jest artykułów, dotyczących wyłącznie Polski. Z najściślejszego obliczenia wnosić możemy z całą pewnością, że całość Encyklopedyi Powszechnéj, nie przeniesie wyżéj nad 20 tomów, tak jak to prospekt wydawcy zapowiedział. Z ukazaniem się pierwszych poszytów zgłosiło się wielu ochętnych nowych współpracowników, którzy grono na czele pierwszego tomu wymienionych, znacznie powiększa.

— Nakładem księgarni Michała Glückaberga, wyszła w 4ch tomach powieść J. I. Kraszewskiego p. n. „Resztki życia.“ Drukowana dawniéj w odcinku Kroniki wiadomości krajowych i zagranicznych, teraz w osobném wydaniu ogłoszona. Nakładem téjże księgarni wyjdzie wkrótce przekład dzieła M. H. Baudrillart'a: „Manuel d' Economie politique.“ Paris 1857 r. w jednym tomie.

**Petersburg.** Księgarz i typograf B. M. Wolff w Petersburgu, który dał nam już tyle dzieł ważnych, w r. b. ma wydać: 1) Kobierzyckiego, panowanie Władysława IV. przekład W. Kalinki w 2 tomach. 2) Żywoty Św. X. Piotra Skargi w 2 tomach, 3) Śpiewy historyczne J. U. Niemcewicza, wydanie illustrowane według rysunków J. Kossaka. Poprzednio B. M. Wolff wydał podręczną i tanią edycyą tych śpiewów bez nut i rycin: obecna edycya, będzie z całym przepychem typograficznym wydaną. 4) Sto bajek Stanisława Jachowicza z rysunkami Wojciecha Gersona. 5) Pamiętniki Załuskiego, wydane przez Juliana Bartoszewicza w 4ch tomach. Z pięciu wielkich foliałowych tomów listów Załuskiego, ułożone te pamiętniki; praca ta mozolna, zajęła mu kilka lat czasu. Powziął tę myśl J. Bartoszewicz dlatego, że dając proste tłumaczenie tych listów, nie uniknąłby niepotrzebnych powtórzeń, rozrzuconych faktów: chciał te zamieszkę zwyczajną w listach uporządkować, fakt każdy w całości przedstawić, i dziełu dać prawdziwéj wartości, tyle ważne dla dziejów ojczystych, w krytyczném wydaniu.

— Komedya Apollona Korzeniowskiego p. n. „Dla miłego grosza,“ która otrzymała na premium Żółkowskiego accessit, wychodzi z drukarni i nakładem Józefata Ohryzki w Petersburgu.

— **Paryż.** Otrzymujemy wiadomość, że przez Stefana Garczyńskiego, przyjaciela Adama Mickiewicza, które wyczerpane zostały z handlu księgarskiego, w nowém wydaniu ogłoszone wyjdą wkrótce z pod prasy drukarskiéj, w jednym tomie w 8ce.

## SPIS PRZEDMIOTÓW

w zeszycie listopadowym zawartych.

Stronnica.